

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Lęk może uzależnić
Jak mu nie oddać życia ▶ 4

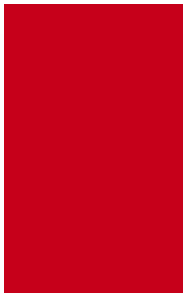


FOT. GETTY IMAGES

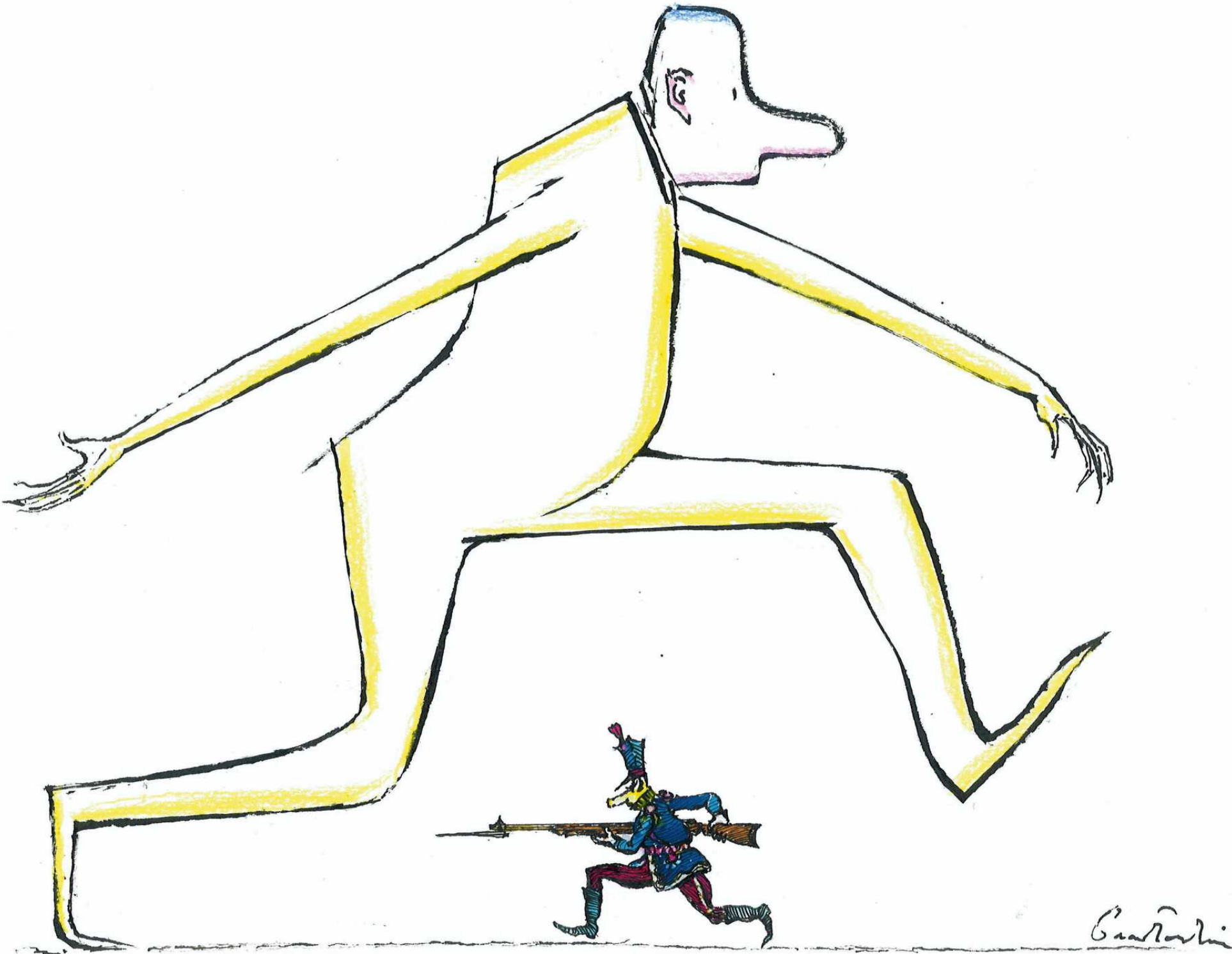
Wynalazca ozempicu:
Leczymy otyłość,
ale jest lepszy
sposób ▶ 25



WYSOKIE OBCASY
Joanna Talewicz
Polska Romka czy
romska Polka?



MAGAZYN
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



**PLECAK UCIECZKOWY
NIE JEST DLA TCHÓRZA**

twierdzą generał Roman Polko i jego żona Paulina ▶ 27

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048098

ISSN 0860-908X

27>

9 770860 908167

Giertychówka
zdekonstruowana
przez Rusinka
▶ 13

**„Dobre kobiety”
i „złe transki”**
polemika wokół
Rowling ▶ 20



Jan Tomasz Gross
Myślałem, że
Jedwabne jest na
Księżycu ▶ 34

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI

**Prawo
do działki**
to prawo do
zachwytu ▶ 8

Agnieszka
Kublik

Czy Hołownia pamięta własne hasło

Chciałabym, żeby rząd nie stracił z oczu tych, których zalała wielka woda we wrześniu zeszłego roku. Czemu o tym piszę teraz? Bo Szymon Hołownia, komentując zapowiadaną przez premiera Tuska rekonstrukcję rządu, chce swoich ministrów uratować, a nie swoich zdymisjonować. – Po co minister od powodzi sprzed roku? – dopytywał o Marcina Kierwińskiego. Czyli o pełnomocnika rządu ds. powodzi. Premier rzucił go na trudny odcinek, bo gdzie diabeł nie może, tam Kierwińskiego pośle, nie przypadkiem to jemu Tusk powierzył organizację słynnego Marszu Miliona Serc w 2023 roku.

Wrześniowa powódź to był kataklizm. Runęły tamy, mosty, zapadły się drogi. Woda zalewała domy, szpitale, szkoły, przedszkola, żłobki, sklepy, salony fryzjerskie... Ewakuowano 5 tysięcy osób.

Misja Kierwińskiego wcale nie jest dekoracyjna. Zadania dostał konkretne: koordynację natychmiastowej pomocy, zapewnienie i rozdysponowanie pieniędzy krajowych i europejskich, nadzór nad ich sensownym wydawaniem. Oraz zbudowanie docelowego systemu ochrony przeciwpowodziowej. To praca zakrojona na lata, a jej efekty na dekady. I wygląda na to, że po raz pierwszy administracja na serio chce wyciągać wnioski z błędów.

– Najważniejsze przedsięwzięcia, które miały przywracać normalne funkcjonowanie ludziom na tamtych terenach są w trakcie realizacji, bądź już się zakończyły – mówił Kierwiński w kwietniu. Ale odbudowa po powodzi to co innego. – Proces, który będzie trwać jeszcze przez wiele miesięcy. A zbudowa-

nie ochrony przeciwpowodziowej jeszcze kilka lat – dopowiadał.

Odwolanie go teraz to pozostawienie tych otwartych projektów bez konkretnej, personalnej kontroli. Co oznacza w najgorszym razie zaniechania, w najlepszym opóźnienia. Czyli przedłużanie prowizorki ofiarom powodzi.

Rząd nie powinien abdykować – trzeba porządkowanie i odbudowę doprowadzić do końca. Chodzi jednocześnie o wiarygodność państwa i o godną codzienność tysięcy ludzi.

Akurat Hołownia powinien to świetnie rozumieć. W kampanii uwodził hasłem „To ludzie są najważniejsi”. – Właśnie ze spraw ludzi chcę uczynić motto, refren, zasadę i fundament mojej kampanii, a potem prezydentury. To hasło będzie mi towarzyszyć – deklarował.

Można powiedzieć, że Kierwińskiemu, który przyszłość ma zapewnić – rok temu został europosem – łatwiej podjąć ryzyko niż marszałkowi Sejmu, walczącemu o polityczne przetrwanie po tym, jak zerwali z nim koalicjanci z PSL.

Ale przecież Hołownia, nim został zawodowym politykiem, był społecznikiem, organizował i osobiście dostarczał pomoc humanitarną do Afryki, przyczynił się do uratowania telefonu zaufania dla dzieci i młodzieży, gdy PiS odciął finansowanie.

Sam najlepiej wie, że ludzie są najważniejsi. ●

Andrzej rysuje



Jak przetrwać upał Nie masz lodu?



FOT. REUTERS/EVA KORINKOVA

Śpij w hamaku lub na podłodze, zamiast w łóżku. A jak masz trochę lodu, wypełnij nim naczynie i skieruj na nie wentylator – powstanie prosty klimatyzator. Miej przy sobie butelkę z wodą i co jakiś czas wypijaj łyk czy dwa. Najlepiej cieplej, lepiej gasi pragnienie.

Miś polarny schładza się w zoo w Pradze Czeskiej, 1 lipca 2025 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Kolejny rekord

30

MLN ZŁ
czyli 50 tys. zł za m kw. –
za tyle sprzedano 600-me-
trowy apartament, który
zostanie zbudowany jako
część inwestycji NOHO
ONE na warszawskiej Woli.
– więcej ► wyborcza.biz

Pod słońcem Prowansji Paul Cézanne wraca do domu

Kolejka już się ustawiła. 136 prac tego wielkiego malarza, w tym 60 obrazów olejnych można oglądać w Musée Granet w Aix-en-Provence.

Na twarzach pracowników muzeum widzę satysfakcję. Trzy lata byli w ciągłym kontakcie z kolegami z muzeów w Europie, USA, Kanadzie i Azji, aby wypożyczyć obrazy, które miały złożyć się na opowieść o korzeniach i domu rodzinnym malarza.

Cézanne wprowadził zrewolucjonizował malarstwo zachodnie i stał się punktem odniesienia dla Picassa i abstrakcjonistów, ale był głęboko zakotwiczony w prowansalskiej tradycji. Słońce i krajobrazy południa Francji wywarły nie mniejszy wpływ na jego wyobraźnię niż obrazy impresjonistów, których poznał w Paryżu.

Urodził się i zmarł w Aix-en-Provence. Tam powstała większość jego obrazów. A jednak w rodzinnym mieście artysty pozostało niewiele jego dzieł. Znajdują się wielkich muzeach całego świata.

Po drodze wydarzyło się wiele dobrych rzeczy. Udało nam się na przykład odnaleźć młodzieńcze dzie-



FOT. LOS ANGELES COUNTY MUSEUM

ło Cézanne'a. Wpadliśmy na trop prywatnego kolekcjonera z Japonii, który zgodził się wypożyczyć nam ów obraz – opowiada Claire Maurel, która oprowadza mnie po wystawie.

Obraz, o którym mówię, nosi tytuł „Wejście do zamku” i jest fragmentem jednego z wielkich murali, które młody Cézanne namalował w letnim domu w Jas de Bouffan na obrzeżach Aix. Gdy dom sprzedano, murale zdjęto ze ścian i przeniesiono na płótna. Wszystkie zgromadzono na wystawie w Aix, starając się odtworzyć wielki salon domu w Jas de Bouffan. Owa posiadłość, która należała do ojca malarza, bogatego bankiera, jest osią wystawy – tu Cézanne przez 40 lat szlifował swój wyjątkowy styl malarski.

Wystawa będzie czynna do 12 października. ●

Anna S. Dębowska

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Polskim dzieciom lepiej w Anglii

Polski sąd nakazuje wyjazd za granicę, bo dzieci mają prawo do obojga rodziców.

Matka: W Polsce znalazłam pracę jako psycholog szkolny. Na Wyspach musiałabym pracować fizycznie, bo nie znam dość dobrze języka.

Ojciec: Synowie mieli pięć i trzy lata. Byli za mali na spotkania na Skypie.

Reportaż Aleksandry Szyłto



FOT.

Przetrwamy, bo wiele już przetrwaliśmy

Boję się, że to Polska, na którą musimy się przygotować

To on krzyknął. Niski, w marynarce w zielone kwadraciki. Ostry głos dosłownie przenikał do kości, do trzewi. Zamarliśmy.

Słowiński



Pamiętam, gdy pierwszy raz dostałem w twarz za bycie pedałem. Miałem wtedy, jeśli dobrze liczę, 16 lat i jechałem autobusem do szkoły na rozpoczęcie roku szkolnego. Pierwsza klasa liceum.

Pamiętam, jak upadłem, jak oprawca krzyknął: „Za bycie pedałem!” i wybiegł na przystanku, na którym autobus się akurat zatrzymał.

Pamiętam, jak leżałem na podłodze i jak nikt mi nie pomógł wstać, nikt nawet na mnie nie spojrział, kierowca ruszył, jakby nic się nie stało. Pamiętam także złość, gdy obiecałem sobie, że tej sprawy nie zostawię, że zrobię wszystko, żeby nie zostać ofiarą, że się postawię, że doprowadzę do rozprawy, że D. zostanie ukarany.

Płonne były moje nadzieje. Pamiętam bowiem także to, jak później policjanci patrzyli na mnie spode łba, gdy składałem wyjaśnienia na komisiariacie, i jeszcze to, że po kilku tygodniach otrzymałem informację, że sprawa umorzona, bo sprawca nie został wykryty. A wyraźnie podałem jego imię i nazwisko. Był to – jak w języku polskim określa się kogoś, kogo się niezbyt dobrze, ale zna – „kolega” ze szkolnego korytarza.

„To wciąż mój kraj”

Od tamtego czasu wielokrotnie zdarzało mi się być pośrednią bądź bezpośrednią ofiarą homofobii, ale wydawało się, że zasadniczo idziemy w kierunku dużo jaśniejszym niż wskaźniki empatii moich współpasażerów z tamtego autobusu. Nie musieliśmy już szeptać swoich pragnień, miłości i lęków. W pewnym momencie tęczywe flagi zaczęły odważnie pojawiać się w przestrzeni publicznej, a my poczuliśmy, że nie musimy się wstydić. Mogliśmy zacząć mówić o swoich miłosnych wyborach jawnie: rodzinom, przyjaciółom, nierzadko nauczycielom czy przełożonym.

Ze swoim partnerem chodziłem za rękę zawsze z podniesioną głową. Nie kiedy ktoś puścił nam oko, ktoś się uśmiechnął, kilka razy zdarzyło się nam usłyszeć od nieznajomych w metrze: „Ej, chłopaki, piękna z was para”. Takie słowa budowały w nas przekonanie, że niezależnie od tego, co dzieje się w głowie i kompasie moralnym Ustawodawcy, jesteśmy u siebie i otaczający nas ludzie dają nam o tym znać. Jesteśmy u siebie.

Mimo to starsi przyjaciele sugerowali nam, że „powinniśmy się zastanowić nad wyjazdem, bo Polska nie jest miejscem dla nas”. Stawałem wtedy okoniem, unosiłem się i mówiłem, że „a właśnie, że jest, basta, zostajemy, na przekór i bo tak”. Przecież się tu urodziłem, znam tu ludzi, miejsca, język. Nie z pobudek ideowo-patrion-



• Parada Równości na ulicach Warszawy, 17 czerwca 2023 r.

tycznych, ale bardziej lokalnych i sąsiedzkich.

Nigdy na poważnie nie myślałem o emigracji, nawet gdy byliśmy palowani przez policję na strakach kobiet, gdy politycy prawicy odbierali nam człowieczeństwo, gdy kibole polowali na nas na ulicach. Zawsze czułem, że to moje miejsce i nie dam się wyrzucić. „Czy rządzi lewica, czy prawica – to wciąż mój kraj” – powtarzałem sobie w głowie tytuł eseju George’a Orwell’a.

Samozwańczy strażnik moralności

Kilka dni temu siedłem ze swoim narzeczonym (oświadczyliśmy się sobie niewidzialnymi pierścionkami w zeszłe wakacje) na koncert, na który zaprosił nas przyjaciel. Rzecz działa się na Zamku Królewskim, więc z domu szliśmy drogą, która pokonujemy kilka razy w tygodniu. Jak zawsze za rękę. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, był ciepły, czerwcowy wieczór.

Nagle w okolicach kościoła pw. Świętego Ducha, na wysokości ulicy Mostowej – ulubionej przez scenografów filmów z okresu przed- i wojennego – usłyszałem ryk: „Jeb*ć pedałów!”. Ostry głos dosłownie przenikał do kości, do trzewi. Zamarliśmy. Poczulem wstyd, że cała publiczność Starówki patrzy na nas z wyrzutem sumienia, że psujemy im weekend, że nasza obecność stwarza im dyskomfort, a inwektywa „pedały” i imperatyw „jeb*ć” wszystkim ustawia perspektywę.

To trwało kilka sekund. Otrząsnąłem się, pomyślałem: „Hola, nie ma tak łatwo”. Odwróciłem się, szukając źródła okrzyku, i zlokalizowałem grupkę rodzinną: dwie kobiety w wieku 40-50 lat, trójka dzieci, najmłodsze jakieś 6 lat, najstarsze może 15-16? I ok. 50-letni. To on krzyknął. Niski, w marynarce w zielone kwadraciki, różowej koszuli w kółka i żółtych spodniach (gdybym był złośliwy, powiedziałbym: rurkach). A, no tak! Jeszcze czerwona, a właściwie szkarłatna, poszetka.

Krzyknął to przy swojej, zapewne, żonie i dzieciach (i jakiejś innej kobiecie). „Słucham? Przepraszam, co

pan powiedział?!”. Chciałem się z nim skonfrontować, zrobić wszystko, by znów nie stać się ofiarą? Nie wiem. Po cichu (a może nie tak po cichu) liczyłem, że zwrócę uwagę otoczenia, że dziesiątki ludzi wokół nas wesprą, obronią, staną po naszej stronie.

Szedłem w jego kierunku, on się odwrócił i rzucił wiązanekę wulgaryzmów tak brutalną, jakiej nigdy przedtem nie słyszałem: „Spierd*łaj, chcesz w mordę, cioto jeb*na, ku*wo?!”. Myślałem, że jestem silny; nie byłem, trząsłem się, nogi uginały się pode mną. „Jak pan może, jakim prawem, co my panu zrobiliśmy?” – pytam się łamiącym głosem. Wielokrotnie padły już groźby karalne, informuję go zatem, że dzwonię na policję. Wtedy splunął mi w twarz. To znaczy: chciał, bo trochę poleciało na policzek, a trochę na koszulę. Czulem, jak ślina wsiąka w materiał ubrania i przykleja się do ciała. Czulem, jak mnie parzy (teraz, gdy to piszę, zbierają mi się łzy, czuję upokorzenie i bezsilność).

Babciny uścisk

Poszliśmy za tą rodziną, dzwoniąc jednocześnie na numer alarmowy; operator przyjął zgłoszenie, powiedział, że patrol zadzwoni, skoro jesteśmy w ruchu. Z nadzieją odłożyłem słuchawkę i powiedziałem do Kuby, że zaraz przyjedzie policja. Na tyle głośno, żeby zaalarmować przechodniów i żeby bohater homofobicznego okrzyku trochę się utemperował, co kilka kroków bowiem odwracał się do nas i groził nam. Byliśmy w centrum miasta, dookoła ludzie, a ja czulem, że w każdym momencie możemy zostać fizycznie zaatakowani. (Mijaliśmy nawet patrol policji, ale nie chcieli nam pomóc, bo „już ktoś był w drodze”; telefon od tego patrolu dostaliśmy godzinę po tym, jak mężczyzna odjechał).

W pewnym momencie wyjąłem (ponieważcie!) telefon i poinformowałem go, że zaczynam nagrywać. Wtedy się uspokoił, przestał cokolwiek mówić i już się do nas nie odwracał. Towarzyszące mu kobiety ani razu nie zwróciły mu uwagi, nie poinformowały też dzieci, co się dzieje. Najmłodsze z nich – sześciolatka dziewczynka – zerkala na nas i popłakiwała, bała się pewnie, że jacyś obcy ludzie kłócą się z tatą. Miałem ochotę powiedzieć: „Hej, nie płacz, wszystko jest w porządku, nic nikomu nie zrobimy, twój tata nas obraził, zagroził pobiciem i odczłowieczył, to my się boimy”. Starszy syn tylko się śmiał i krzyczał: „Pedał, cioty!”.

Po niecałym kwadransie doszliśmy do jego samochodu. Kiedy znów zacząłem nagrywać, żeby zapamiętać tablice rejestracyjne, ów człowiek podszedł do mnie tak blisko, że na nagraniu widać niemal tylko jego usta, i rzucił z pasją, że nie wyraża zgody na publikację nagrania, nazwał nas „zwyrodnialcami”, którzy paradują na oczach jego dzieci, że nas „zapier*oli”, „chwyci za jaja”, a potem wulgarnie zapytał, „czy mu obciągniemy”. Wszystko to przy dzieciach i żonie. My to zwyrodnialcy, a on tworzy „zdrową, normalną rodzinę”.

Wtedy też nikt nie zareagował. Prawie nikt, bo dorabiający sobie jako parkingowy człowiek kazał nam ich zostawić, spier*alać i oznajmił, że „nie jesteśmy z Warszawy”. Pomyślałem o mojej babci, która spędziła powstanie warszawskie w piwnicach kamienic na pobliskiej ulicy Długiej, i miałem ochotę się do niej razem z Kubą przytulić.

Wtedy też nikt nie zareagował. Prawie nikt, bo dorabiający sobie jako parkingowy człowiek kazał nam ich zostawić, spier*alać i oznajmił, że „nie jesteśmy z Warszawy”. Pomyślałem o mojej babci, która spędziła powstanie warszawskie w piwnicach kamienic na pobliskiej ulicy Długiej, i miałem ochotę się do niej razem z Kubą przytulić.

Z podniesioną głową

Poczulem się wtedy tak bardzo nie u siebie, poczułem, że wszyscy na nas patrzą i swoją obojętnością przylaczają się do tych obelg i gróźb. Dwa metry obok nas siedziała para na ławce, która patrzyła na nas jak na kosmitów, a ja błagałem ich spojrzeniem o słowo wsparcia.

Najbardziej uderza mnie to, że ów patriota, za jakiego jegomość zapewne się uważa, uznał, że „w obronie rodziny” trzeba użyć plugawego języka nienawiści, gróźb i aluzji seksualnych. Że lepiej, żeby jego dzieci słuchały tego, niż patrzyły (a czy one w ogóle patrzyły? i co z tego?) na trzymających się za rękę mężczyzn; że lepiej, aby słuchały, jak tatuś drze się na pół ulicy: „Jeb*ć pedałów!”. Tego dnia skończyłem czytać „Ślub” Renaty Lis, esej, w którym autorka z niezwykłą czułością opowiada o małżeństwie i rodzinie z queerowej perspektywy. Tym mocnej uderzyła mnie ta pseudopatriotyczna tyrada w obronie „wartości rodzinnych” – czy tak wygląda ta polska rodzina? Ma twarz zapłakanego dziecka, rozchichotanego homofoba, milczącej żony i plującego w twarz pater familias?

Piszę to miesiąc po wyborze Karola Nawrockiego na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Polski, która przypadkiem, choć może nie, może tak umówiła się sama ze sobą, stała się wroga, obca, obojętna. Niemal z dnia na dzień. Boję się, że to Polska, na którą musimy się przygotować. Ale wiem też, że to przetrwamy, bo wiele już przetrwaliśmy. Co robić? Wspierać się, walczyć, iść z podniesioną głową. I reagować. Choćby spojrzeniem. Proszę, nie zostawiajcie nas. ●

Sebastian Słowiński

Moje małe przestraszone

JA

U mnie niepokój zwykle
zaczyna się od drżenia
w żołądku, napięcia.
Kiedy je czuję, wiem,
że już przyszedł.



Z OWENEM O'KANE'EM*,
BRYTYJSKIM PSYCHOTERAPEUTĄ,
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

**„Uzależnieni od lęku”? To tytuł pana książki.
No jak to?**

– Byłem do niego w stu procentach przekonany, choć zdawałem sobie sprawę, że niektórych może zaniepokoić. Chciałem dać czytelnikom jasno do zrozumienia, że to nie będzie kolejny poradnik w stylu „jak pozbyć się lęku w pięciu krokach raz na zawsze” – to zresztą niemożliwe.

Wierzę natomiast całym sercem, że nam ludziom, łatwo jest się uzależnić od pewnych aspektów lęku, ponieważ niesie on ze sobą ogromną obietnicę.

Jaką?

– Taką, że będzie nas chronić.

Przywiązanie do różnych procesów lękowych ma swoje racjonalne uzasadnienie. Człowiek, który się ich nieświadomie trzyma, żyje w przeświadczeniu, że jeśli nie będzie np. ciągle myślał o tym, co go

niepokoi, albo wykonywał pewnych czynności, które mają mu pomóc lęk okiełznać, wydarzy się coś strasznego. Popelni nienaprawialny błąd, spotka go nieszczęście, coś ważnego przeoczy.

Jednocześnie jest to szalenie wyniszczające. Niektórzy rezygnują przez to z życia, a ich lękowe ja, jak to nazywam, przejmuję stery i pracuje znacznie ciężiej, niż to konieczne.

Moim celem nie było ocenianie osób zmagających się z lękiem, chciałem pokazać im w jak najżyczliwszy sposób, że być może odgrywają większą rolę w podtrzymywaniu go, niż im się wydaje.

To nie są łatwe rozmowy. Wiem o tym, bo od wielu lat pracuję z osobami lękowymi, które czasem na taką sugestię reagują oporem, zaprzeczeniem, złością. Ale powiem pani, że nigdy nie widziałem, żeby czyjś stan się poprawił dzięki kolejnej cudownej technice czy codziennym mantrom, natomiast wielokrotnie się przekonałem, jak ludzie odzyskują życie, kiedy zaczynają dostrzegać swoje przywiązanie do lęku.

Oczywiście, jeśli ktoś znajduje się w epicentrum kryzysu, objawy są przytłaczające, to prawdopodob-

nie nie będzie najlepszy moment na lekturę tej książki. Bo to nie jest czas na wielkie zmiany, tylko na to, by się ustabilizować – z pomocą lekarza czy profesjonalnego psychoterapeuty.

Proszę powiedzieć więcej o tej obietnicy bezpieczeństwa, którą niesie lęk, bo wydaje się to paradoksalne.

– Ludzie doświadczają lęku na wiele sposobów. Jedni czują go bardziej w ciele. U innych przejawia się on katastroficznym myśleniem, ciągłym zastanawianiem się „a co, jeśli?”. U jeszcze innych to myślenie skupia się wokół jednego tematu, np. zdrowia. Może to być też mieszanka wszystkich tych objawów.

Większość z nas zamieszkuje małą, przestraszoną istotą – to nasze lękowe ja, tak to widzę. Ono się w nas pojawia z najróżniejszych powodów – uwarunkowań rodzinnych, kulturowych, religijnych. Na skutek traum, trudnych doświadczeń. Na to wszystko mogą się nałożyć biochemiczne zmiany zachodzące w ciele, np. związane z menopauzą. Lęk może też być pochodną neuroróżnorodności, np. ADHD. Jest zawsze wieloczynnikowy.



„Ponieważ wzbudza to mój lęk, nie będę tego robił, robiła”.

To sprawia, że niektórzy w ogóle rezygnują z życia – przestają wychodzić z domu, spotykać się z ludźmi, robić to, co sprawiało im przyjemność

I kiedy to nasze lękowe ja jest przytłoczone, niepewne, zagubione, daje o sobie znać. U mnie niepokój zwykle zaczyna się od drżenia w żołądku, napięcia. Kiedy je czuję, wiem, że już przyszedł. Dlatego warto dobrze się poznać, w tym swoje ciało, żeby móc rozpoznawać takie momenty.

Wychodzę z założenia, że lękowe ja jest naszą częścią, czy nam się to podoba, czy nie. Czasem przysparza nam kłopotów, ale to od nas zależy, jaką relację z nim zbudujemy.

Większość osób żyjących z zaburzeniami lękowymi chce jednego – pozbyć się go. A później drzwi i okna zabić deskami, żeby nie wrócił.

– Prowadziłem przedwczoraj warsztat. Na początek poprosiłem uczestników, żeby jednym słowem wyrazili, jakie uczucia żywią do swojego lęku. „Nienawiść”, „niechęć”, „wyniszczający”, „mroczny” – usłyszałem. Było też parę przekleństw. Dla mnie to jest klucz! Jeśli postrzega się swoje lękowe ja wyłącznie jako negatywny aspekt siebie, jako coś absolutnie strasznego, to tym się ono staje.

Ale za co je lubić?

– Choćby za to, że tak jak powiedziałem, jego celem jest nas strzec.

Lękowe ja jest wyczułone na zagrożenie, a że czuje się za nas odpowiedzialne, to nas o tym informuje. Podkręca nasze zmysły, zwiększa czujność, uważając, że jeśli będziemy hiperostróżni, w pełnej gotowości, jeśli będziemy nadmiernie rozmyślać, to będziemy bezpieczni. Może też postąpić inaczej – całkowicie nas zdysocjować czy odrealnić, jak to się dzieje np. w napadzie paniki, ale to również robi z myślą o naszym bezpieczeństwie.

Jednym słowem, chce dla nas dobrze, lecz uczucia, które ze sobą niesie, są często trudne, nieprzyjemne.

Osoby lękowe mówią, że horror, jakie potrafią im wyświetlić ich umysły, są niejednokrotnie o wiele straszniejsze niż najstraszniejsze filmy grozy.

– Oczywiście, dlatego też ludzie piją, zażywają narkotyki, izolują się czy w ogóle wycofują z życia, żeby od tego uciec. I tu się pojawia podobieństwo do innych uzależnień.

Jak pan w zasadzie rozumie to podobieństwo?

– W dużym uproszczeniu: ludzie najczęściej uzależniają się od alkoholu, narkotyków, jedzenia czy czegoś innego z dwóch powodów: albo żeby od czegoś uciec, zwykle od jakiegoś bólu, albo żeby się ukoić. W lęku jest podobnie. Często sięgamy po różne zachowania lub myśli, żeby uciec od tego, co lęk ze sobą wnosi, albo żeby się ukoić.

Niedawno jeden z moich klientów powiedział: „Cały dzień wczoraj spędziłem na rozmyślaniu i spisywaniu tego, czym się martwię”. Spytałem go: „Na co liczyłeś?”. „Że w końcu przestanie mnie to dręczyć i odzyskam spokój” – odpowiedział. Proszę zobaczyć, ten człowiek coraz bardziej pograżał się w tym, co wywoływało lęk, wierząc, że im bardziej będzie nasiąkał tą opowieścią o nadchodzących katastrofach, tym szybciej trafi na odpowiedź, która go uspokoi.

Stało się oczywiście odwrotnie. Kiedy spytałem go, od kiedy stosuje tę strategię, usłyszałem: „Od 35 lat”. Ale opowiem pani coś jeszcze. Kilka tygodni temu inna moja klientka, z którą pracowałem od dłuższego czasu i która zrobiła ogromne postępy, przyszła na sesję i powiedziała, że wszystko zaczyna się jej układać, świetnie się czuje. Tak brzmiała i tak wyglądała.

Dodała też, że dziś po raz pierwszy od wielu lat obudziła się bez tego znajomego supła w żołądku. „To wspaniale!” – odrzekłem. Na co ona: „No tak, ale... od razu zaczęłam się niepokoić”. Czuła się nieswojo, ponieważ nie odczuwała już tego znanego ucisku w brzuchu i obawiała się, że w związku z tym zaraz wydarzy się coś złego.

Niektórzy, jak tylko poczują się lepiej, z czegoś się ucieszą, zaczynają się martwić: a co, jak to się zaraz skończy? Jeśli za chwilę będzie gorzej?

To jest ten sam lęk, tylko w innym przebraniu. W ten sposób zatrzuwa się swoje tu i teraz.

Tak jakby ten znajomy lęk, mimo iż nieprzyjemny, był bardziej swojski.

– Otóż to. Ale to trochę przypomina osoby zażywające narkotyki. Dobrze wiedzą, że haj potrwa krótko, a następnego dnia będą się czuły okropnie, ale i tak sięgają po swoją dżiałkę.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: oczywiście nie mam na myśli tego, że uzależnienie od substancji lub czynności oraz zachowania lękowe to jedno i to samo. Posługuję się tą analogią, by pokazać, że często sposoby, po jakie sięgamy, żeby poradzić sobie z lękiem – pewne myśli, zachowania czy wypatrywanie symptomów w ciele – mogą być nawykowe.

Jakie zachowania ma pan na myśli?

– Na przykład unikanie: „Ponieważ wzburza to mój lęk, nie będę tego robił, robiła”. To sprawia, że niektórzy w ogóle rezygnują z życia – przestają wychodzić z domu, sportykać się z ludźmi, robić to, co sprawiało im przyjemność.

Kolejna rzecz to ciągle szukanie zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, co może się odbijać na bliskich, w ogóle na relacjach. Sprawdzanie po setki razy informacji, np. dotyczących stanu zdrowia. Nadmierne picie czy zażywanie innych substancji psychoaktywnych, żeby sobie poradzić z dyskomfortem wywołanym przez lęk.

Wszystkie te zachowania mają służyć temu, żeby stłumić to nieprzyjemne uczucie, lecz w rzeczywistości tylko podtrzymują problem.

Przyszedł mi do głowy jeszcze jeden przykład: ciągle monitorowanie tego, jak się czuję: co oznacza ten ból głowy – czy to zwiastun ataku paniki? Drętwieje mi szczęka – a może to zawal? Czy ta obsesyjna myśl się rozkręci i mnie sparaliżuje?

– Świetny przykład. Można je mnożyć.

Niektóre osoby lękowe przyznają, że sam proces zdrowienia może być dla nich uzależniający w takim sensie, że bez przerwy go kontrolują: „Jak mi idzie? Czy zdrowieję? W ilu procentach?”.

– Kiedy widzę, że ktoś w ten sposób nadmiernie się sobie przygląda, niezależnie od tego, jaki rodzaj lęku mu towarzyszy, wiem, że pod spodem kryje się to samo, fundamentalne zmartwienie: „Czy wszystko będzie ze mną w porządku, czy przetrwam?”.

Ludzie się monitorują, ponieważ nie ufają temu, że jest dobrze tak, jak jest.

Zresztą podręcznikowa definicja nadmiernego lęku mówi, że jest to nietolerancja niepewności. Myślę, że to całkiem niezłe podsumowanie problemu.

Ja słyszałam inną – że to zaburzenie związane z nieustającym wątpliwym.

– Osobiście nie lubię słowa zaburzenie, kiedy mowa o lęku, bo nie uważam, by osoby, które starają się jakoś zarządzić tą przestraszoną, a czasem przerażoną częścią siebie, były zaburzone. Świadczy to o tym, że są po prostu ludźmi.

Osoby żyjące z nadmiernym lękiem są najczęściej bardzo wrażliwe, empatyczne, odpowiedzialne. Czasem aż za bardzo. Troszczą się o bliskich, przejmują losem innych ludzi, świata. Większość z nich ma bardzo rozwiniętą świadomość moralną



Pracując z osobami śmiertelnie chorymi, zdałem sobie sprawę, że zamartwiamy się rzeczami, które w ostatecznym rozrachunku nie mają znaczenia

i poczucie sprawiedliwości. Wielka szkoda, że te cechy często nie mają miejsca, by w pełni rozwinąć skrzydła.

Może z tego powodu łatwiej im czuć lęk niż np. gniew albo niezadowolenie?

– Ważna uwaga. Kiedy u osób, z którymi pracuję, objawy się stabilizują i zaczynamy się głębiej przyglądać lękowi, często się okazuje, że pod spodem skrywają się inne, stłumione emocje. Często jest to właśnie złość. Takim osobom trudniej ją poczuć, a jeszcze trudniej wyrazić, bo mogłyby kogoś urazić, zdenerwować czy jakoś skrzywdzić. Niezależnie od tego, jak się lęk przejawia, zawsze mnie ciekawi, co jest pod spodem. Traktuję go jako objaw.

Grupie, z którą właśnie zacząłem pracować, powiedziałem: „Mogę was nauczyć stu nowych technik pracy z oddechem, jak sobie poradzić z niepożądanymi myślami. Ale, jeśli nie uda mi się zmienić waszej relacji z lękiem, to znaczy, że zmarnowałem wasz czas”.

Powtarza pan, że powinniśmy traktować lęk jak sprzymierzeńca, a nie jak wroga. Tylko jak to zrobić?

– Uznając go za ważną część siebie, która zasługuje, by siedzieć przy wspólnym stole razem z innymi emocjami. A kiedy się odzywa, zauważyć jego obecność: „Widzę, że tu jesteś. Rozumiem, że chcesz mnie chronić. Czego ode mnie potrzebujesz?”.

Lękowe ja może na to odpowiedzieć, np.: „Proszę, nie wychodź dzisiaj wieczorem. Jest niebezpiecznie, nie poradzisz sobie.” Naszym zadaniem jest wtedy je zapewnić: „Słyszę cię, ale uwierz mi, że mo-

żemy dziś wyjść. Damy radę. Miło spędzimy czas, a ja się tobą zajmę”. Lękowe ja tak traktowane będzie się powoli uczyć, jak odpuszczać.

W terapii lęku często mówi się, że to, czemu się opieramy, tylko się wzmacnia.

– Mam za sobą masę wystąpień, wywiadów, spotkań. Nie zdarzyło mi się jeszcze, żeby tuż przed lęk nie dał o sobie znać: „A co, jeśli zapomnisz, co miałeś powiedzieć? Co jeśli zrobisz z siebie głupka?”. Oswoiłem to do tego stopnia, że kiedy lęk się pojawia, zabieram go ze sobą na scenę. Czasem dzielę się ze słuchaczami tym, jak się czuję. Czasem droczę się z moim lękiem.

Gdybym poszedł za jego głosem, wróciłbym do domu i zakopał się pod kołdrą. Wtedy na pewno nikt by mnie nie odrzucił, nie skrytykował, nie wyśmiał.

W ukryciu można spędzić całe życie. Czasem wydaje się to nawet sensowne, tylko że to wielka strata.

Ale co ma powiedzieć ktoś, kto tkwi w środku silnego epizodu lękowego – ma kilka, kilkanaście napadów paniki dziennie albo nasilone objawy zaburzenia obsesyjno-kompulsyjnego, które praktycznie uniemożliwiają funkcjonowanie. Wtedy bardzo trudno uznać tę część za sojusznika.

– Zgadza się. Ale nawet, jeśli pracuję z osobą, która aktualnie przechodzi kryzys, wciąż staram się ją zachęcić do rozmowy z tą częścią siebie. Żeby spróbowała zrozumieć, po co tu ona jest i czego potrzebuje. Jaki mały krok mógłby jej pomóc? Czasem być może na jakiś czas trzeba będzie włączyć leki. Innym razem będziemy szukać technik relaksacyjnych czy ćwiczeń, które pomogą tej osobie się ustabilizować, wyciszyć objawy na poziomie ciała.

Problem polega na tym, że kiedy człowiek znajduje się w stanie silnego niepokoju, a zaalarmowane ciało wysyła wiadomość do mózgu – „uwaga, niebezpieczeństwo!” – kora przedczołowa, który odpowiada za racjonalne myślenie i podejmowanie decyzji, się jakby wyłącza. Alarm wyje, budynek płonie, trzeba spadać...

...a nie się namyślać.

– Dokładnie tak. I kiedy widzę kogoś w takim stanie, moim głównym zadaniem jest pomóc tej osobie odzyskać dostęp do tej racjonalnej części mózgu. Najlepiej to zrobić, uspokajając najpierw ciało, np. przez ćwiczenia oddechowe. Ale tych sposobów jest sporo i każdy może odkryć, co w jego przypadku najlepiej się sprawdza. Po to, by stworzyć przestrzeń, w której negocjowanie z lękowym ja znów będzie możliwe. Kiedy ludzie widzą, że powoli się im to udaje, odzyskują wiarę w siebie. Widzą, że nie muszą się już kurczowo trzymać swoich starych sposobów, które tylko podtrzymywały lęk.

Wiem, że pomysł na tę książkę pojawił się, długo zanim usiadł pan do jej napisania. Opowie pan?

– Wiele lat temu prowadziłem grupę terapeutyczną dla 16 osób z chronicznym lękiem. Poprosił mnie o to psychiatra, z którym współpracowałem. Powiedział mi, że ci ludzie próbowali już właściwie wszystkiego, jednak nie posuwali się do przodu.

Po jakichś dziesięciu tygodniach stan uczestników grupy zaczął się wyraźnie poprawiać. Podczas spotkań słychać było więcej śmiechu, atmosfera się rozluźniła. Poza tym grupa bardzo się ze sobą zżyła. Podzieliłem się z nimi swoimi spostrzeżeniami i dodałem, że jestem z nich dumny, że tak im dobrze idzie. Zapadła cisza.

Spanikowali?

– Spytałem, co się dzieje. Jeden z nich wyznał: „Myśl o tym, że mógłbym się z tego całkowicie wyleczyć, mnie przeraża”.

Zaczęliśmy się wspólnie temu przyglądać i okazało się, że za myślą o wyzdrowieniu idą kolejne: „Czy na to zasługuję? Co, jeśli jednak będę w stanie robić te różne wspaniałe rzeczy, które inni robią, skoro całe życie mi wpajano, że jestem do niczego? Czy będę potrafiła się odnaleźć bez mojego lęku? Kim wówczas będę?”. Itd.

Potem jeden z uczestników, były narcoman, zażartował: „Wydawało mi się, że rzucanie kokainy było trudne, ale pożegnanie się z lękiem to dopiero wyzwanie. Jestem od tego cholernie uzależniony”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Intuicyjnie wyczuwali, co ma na myśli. Ja też.

Przyznaje pan, że nadmierny lęk to również pana doświadczenie. Dorastał pan w Irlandii Północnej w czasie konfliktu pomiędzy bojówkami protestanckimi i katolickimi zwanego The Troubles. Jak przez te wszystkie lata zmieniła się pana relacja z lękiem?

– Całkowicie. Dorastanie w tamtych czasach było dla mnie przerażające nie tylko z powodu otaczającej przemocy. Jako jedyny chłopiec w okolicy grałem na pianinie.

Nie wiedziałem jeszcze, że jestem gejem, ale moi rówieśnicy bez problemu to wyczuli. W szkole i na podwórku nie miałem łatwo.

Do tego wychowano mnie w religii katolickiej, w której dużo mówi się o grzechu, wstydzie, o tym, co dobre, a co złe. To były idealne warunki do rozwoju nadmiernego lęku. Szkoła nie była bezpieczna, dom nie był bezpieczny, ulica też nie. Mój system nerwowy był więc cały nakierowany na wylapywanie zagrożeń. I słusznie, bo te zagrożenia były realne.

Dopiero kiedy już jako dorosły człowiek przeprowadziłem się do Londynu i zacząłem budować własne życie, uświadomiłem sobie, że coś jest nie tak. Zagrożenie się skończyło, a ja dalej reagowałem tak, jakby było ono realne.

Na przykład?

– Szedłem ze znajomymi ulicą, przejechał samochód, coś wystrzeliło z rury wydechowej, a ja skakałem jak oparzony. Kiedy zśliśmy gdzieś razem, musiałem wiedzieć, gdzie są wyjścia awaryjne. Miałem zawsze opracowany plan na wypadek, gdybyś trzeba było uciekać, bo w Irlandii Północnej zawsze mieliśmy takie plany.

wyborcza | magazyn wyborczej **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Dominik Gajda
LICENCJEN TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikolaj Chrzan
WICEPREZES: Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Tylko że już nie był pan w Irlandii Północnej.

– Właśnie. Wtedy wzmożona czujność była konieczna, teraz już tylko mi przeszkadzała. To częsty scenariusz w przypadku osób, które dorastały w traumatycznych okolicznościach. Niekoniecznie od razu w strefie działań wojennych, ale np. w rodzinie, w której była przemoc. Kiedy takim osobom udaje się przez to przejść, to nawet jeśli zagrożenie minie, dalej mogą być superczujne, ponieważ ich poczucie lęku nie zaktualizowało się do nowych warunków. A ich lękowe ja wciąż im powtarza: „Miej się na baczności!”.

Praca z takimi osobami polega na tym, żeby najpierw pomóc im odkryć i zrozumieć to, co się wydarzyło, a później nauczyć ich, jak набrać zaufania do tego, co jest.

Wie pani, że według badań 90 procent rzeczy, którymi się martwimy, nigdy się nie wydarza?

Czytałam, jednak zarówno pan, jak i ja pochodzimy z krajów, w których podglebie społeczne, historyczne, a nierzadko i to indywidualne sprzyja rozwijaniu nadmiernego lęku. Na to wszystko nakłada się rzeczywistość, która co i rusz dostarcza złych, budzących popłoch wiadomości. Dużo niepokoju odczuwają nawet ci, którzy nie mają zaburzeń lękowych. – To prawda. Ale powiem pani to, co często powtarzam osobom, z którymi pracuję: świat zawsze był pełen wyzwań. Zawsze były wojny, epidemie, głód, inne tragedie. Realnych powodów do zmartwień nie zabraknie. Pytanie, jak wpływa na panią obsesyjne myślenie np. o katastrofie klimatycznej. Albo nieustanne śledzenie kolejnego konfliktu zbrojnego?

Większość osób odpowiada, że ich niepokój dramatycznie się wtedy nasila. Niektórzy zamartwiają się tak od wielu lat, każdego dnia. Boją się choćby na chwilę odpuścić. Ale kiedy pytam ich, czy którekolwiek z tych strasznych rzeczy, o których tak obsesyjnie myślą, osóbście ich dotknęła, zwykle odpowiadają, że nie.

Oczywiście u osób, które żyją w realnym zagrożeniu, np. w strefie działań wojennych, lęk pełni inną funkcję. Jest wtedy bardzo przydatnym mechanizmem służącym przetrwaniu. Natomiast jeśli ktoś znajduje się w bezpiecznym miejscu, a jego umysł wciąż wyobraża sobie, co może pójść nie tak, to wtedy już nie jest użyteczne. Mija się z faktami.

Z pana książki wynika, że zmiana tego lękowego sposobu bycia wymaga codziennego wysiłku. Ciągłego przypominania sobie np.: „To tylko myśli, one nie są rzeczywistością”.

– Ale czy życie w ogóle nie jest codziennym wysiłkiem? Trzeba rano wstać, umyć się, nakarmić zwierzęta, dzieci czy inne osoby, które od nas zależą, ruszyć naprzeciw swoim obowiązkom.

Życie to codzienna praca, dlatego mielibyśmy sądzić, że nasz świat wewnętrzny jej nie wymaga?

Ma pan rację.

– Kiedy przychodzą łatwiejsze dni, tym bardziej powinniśmy je wykorzystać, by zadbać o siebie. Robić to wszystko, co wiemy, że nam służy – uważać na to, co jemy, bo – jak wiadomo – niektóre produkty, jak np. wysoko przetworzona żywność, powodują stany zapalne w organizmie, co ma bezpośrednie przełożenie na lęk. Pilnować ćwiczeń, medytacji, jeśli to akurat nam pomaga. Mądrze wybierać to, co czytamy, czego słuchamy. Dbać o dobre relacje z ludźmi. Ja codziennie wykonuję takie „prace konserwacyjne”.

Co pan robi?

– Każdy dzień zaczynam od medytacji – to nie podlega negocjacji. Potem idę na spacer z psem. Kiedy prowadzę terapię, dbam o to, żeby między sesjami mieć odstępy, a w środku dnia robię dłuższą przerwę i idę się przejść po parku albo wzdłuż rzeki.

Po południu staram się spotkać z kimś, z kim się dobrze czuję, albo zadzwonić do kogoś, z kim lubię rozmawiać. Robię to między innymi po to, by – gdy przyjdzie kryzysowy moment – być bardziej przygotowanym i mieć siłę stawić mu czoła.

Jeśli jest dobrze, ale to lękowe ja podnosi głowę i mówi, że to się zaraz skończy, co możemy mu powiedzieć?

– Na początek proponuję wykreślić słowo „dobrze”. Nie szufladkować tych naszych stanów: „dobre”, „złe”, „świetne”, „do chrzta”. Są w danym momencie, jakie są, i trzeba to uszanować. W niektórych okresach to nasze lękowe ja wymaga od nas po prostu większego zainteresowania i opieki. I należy mu je dać, mając świadomość, że to minie. A w chwilach, w których czujemy się lepiej, korzystać z nich i cieszyć się tym, co jest.

Warto też rozwijać w sobie poczucie, że cokolwiek nadejdzie, poradzimy sobie, bo wielokrotnie wcześniej sobie radziliśmy. A kto wie, może tym razem poradzimy so-

bie lepiej, bo już jesteśmy bogatsi w pewne doświadczenia, mamy większy wgląd w siebie?

Jeśli nasze zarządzanie lękiem będzie polegać na tym, że będziemy go chcieli stłamsić, pozbyć się go czy zawstydzić, to on wciąż będzie powracał, ponieważ, robiąc to, porzucamy ważną część siebie.

Jak z tą pana gadatliwą sąsiadką: kiedy przychodziła porozmawiać, pana mama udawała, że nikogo nie ma, a swojej czwórce dzieci kazała się schować na tyłach domu.

– Któregoś dnia sąsiadka zaszła od tyłu i zobaczyła przez okno, jak kucamy na podłodze w kuchni. Podobnie jest z lękiem – zawsze znajdzie do nas drogę, nawet jeśli zabarykadujemy drzwi.

Pana mama powiedziała sąsiadce, że się modliliście. Czytając to, pomyślałam sobie, że osoby lękowe też czasem się modlą, biegają czy biorą zimne prysznice, by nie dopuścić do siebie lęku.

– No właśnie, zasadnicze pytanie jest takie: po co się to wszystko robi? Jeśli po to, by się wzmocnić, lepiej funkcjonować na co dzień, opiekować swoim lękowym ja, to może być pomocne. Ale jeśli robi się to wyłącznie po to, by się go pozbyć, to będzie przeciwnie.

Dlatego tak mnie frustrują ci wszyscy internetowi „specjaliści”, którzy oferują ludziom porady w rodzaju „pięć sposobów na to, jak nigdy nie czuć lęku”. Jesteśmy mieszkanką przeróżnych emocji.

Posłużyłem się już raz tą metaforą, ale jeszcze raz ją przywołam. Te różne emocje powinny siedzieć przy wspólnym stole. Tymczasem większość z nas życzyłaby sobie, żeby siedziały przy nim tylko te, które ładnie się prezentują, odnoszą sukces. A reszta tych nieszczęśników, która jest trochę smutna, trochę zalekniona, wątpiąca w siebie, została za drzwiami. Tak się nie da. Dorosła, w pełni żywa istota ludzka zaprasza na to przyjęcie zwane życiem wszystkie uczucia i traktuje je z jednakowym szacunkiem.

Czytając pana książkę, miałam poczucie, że jest w niej pewna nagłość, że chciałby pan, żeby czytelniczki i czytelnicy szybko przyswoili pana lekcje. Czy moja intuicja jest słuszna?

– Tak. Ta nagłość bierze się głównie stąd, że spotykam coraz więcej osób zmagających się z silnym lękiem. Nie tylko w gabinecie. Właściwie nie ma dnia, żebyśmy nie słyszali: „mam w sobie tyle lęku”, „mój mąż jest bar-

dzo lękowy”, „moja córka, syn”. W Wielkiej Brytanii dziesiątki tysięcy ludzi czeka w kolejce na terapię.

Większość treści dotyczących lęku, które można znaleźć w sieci, jest nieprzydatna. I choć jest już wiele dobrych, profesjonalnych pozycji o radzeniu sobie z lękiem, to, pisząc tę książkę, miałem poczucie, że mogę wnieść coś jeszcze, że to książka na nasze czasy, która wielu osobom może pomóc.

Przez ponad dziesięć lat pracował pan z pacjentami w opiece paliatywnej. Czy to również miało wpływ na tę nagłość?

– Pracując z osobami śmiertelnie chorymi, zdałem sobie sprawę, że większość z nas zamartwia się rzeczami, które w ostatecznym rozrachunku nie mają znaczenia.

I że często sami tworzymy swoje problemy, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Czy wie pani, że podczas tych dziesięciu lat żadna z tych umierających osób ani razu nie wspominała o pieniądzach, sukcesach, awansach, wyróżnieniach? Nie mówiły o niczym, co często uważa się za niezwykle wartościowe. W obliczu śmierci mówiły wyłącznie o ludziach, ważnych relacjach, o tym, z kim by się spotkały, co by im powiedziały, gdyby mogły się cofnąć.

Mam głębokie poczucie, że nie mamy czasu na bzdury. Nie mamy czasu na to, by nie żyć własnym życiem, zmagać się i cierpieć niepotrzebnie. Wierzę, że możemy nauczyć się lepiej rozumieć siebie i to, co nas spotyka, i odzyskać wolność. ●



*Owen O’Kane

• brytyjski psychoterapeuta specjalizujący się w pracy z osobami z zaburzeniami lękowymi. Autor bestsellerowych poradników wydanych w ponad 30 językach. Jego najnowsza książka „Uzależnieni od lęku” (przekład Matylda Biernacka, wyd. Znak,) właśnie ukazała się po polsku



OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34376849



Znajdziesz w każdym sklepie



Szukaj na regale z prasą



WAKACJE *na* RODOS

Jedliśmy porzeczkę prosto z krzaka i zbieraliśmy mietczyki, żeby wieczorem wstawić je do wazonu w małym mieszkaniu dziadków w bloku z wielkiej płyty.

Edyta Zielińska-Dao Quy

Wakacje to festiwal rekomendacji podróżniczych i nagłówków w stylu: „10 inspiracji na urlop w Polsce”, „O tej wyspie wciąż wie niewielu turystów”, „W tym miejscu twoje dzieci nie poznają nudy”.

Nigdy nie dałam się im uwieść. Dlaczego? Może z chęci samodzielniego odkrywania. A może z niechęci do kapitalizacji życia i wyprzedawania czegoś tak kruche go jak lato. Bo moje najpiękniejsze wakacyjne wspomnienia nie tętnią atrakcjami. Zostały skolonizowane przez pobyt w przysiółku zieleni podobnym do tego, jaki znaleźć można w każdym polskim mieście – w ogródku działkowym dziadków. Wakacje na RODOS. Kto nie pamięta: Rodzinny Ogród Działkowy Ogrodzony Siatką.

Wies

Dziadkowie o przeprowadzce do miasta zawsze mówili bez nostalgii. Ogródek działkowy nie był dla nich namiastką chłopskiego życia, lekarstwem na ból fantomowy po ziemi, którą za sobą zostawili. Bo niby za czym było tęsknić, co odtwarzać?

Choć jestem pełna uznania dla Joanny Kuciel-Frydryszak, to treść „Chłopek” mnie nie zszokowała. Wies w mitologii mojego dzieciństwa była miejscem, gdzie działały się rzeczy wyłącznie trudne, a życie było pasmem udręk.

W tych opowieściach mężczyźni – choć pracowali ciężko – to czas wolny poświęcali głównie pijaństwu. Kobiety wychodziły za mąż, choć często nie chciały, rodziły w bólach w towarzystwie zwierząt, w połogu szły do żniw. Dzieci pracowały ciężiej, niż powinny, chodziły bez butów po wodę do studni, a że była to gmina w pobliżu górskiego pasma, to tylko niektórzy miały szczęście i nie musiały wnosić jej kilkadziesiąt metrów nad poziom morza.

Jedna z sąsiadek mojej babci popadła w obłęd kiedy mąż, po kolejnej pijatce, trafił do więzienia i zostawił jej na utrzymaniu kilkoro dzieci. Moja prababka z kolei beznamietnym głosem snuła opowieści o praktykach aborcyjnych miejscowych znachorek, w których zastosowanie miało wrzeciono. Trudno mi sobie w ogóle wyobrazić, że coś mogło się tu skończyć szczęśliwie. Do dzisiaj nie odnajduję się w opowieściach romantyzujących wies, bo nie potrafię pozbyć się wrażenia, że ktoś w nich śpiewa fałszywie.

Wieczne lato

Co innego ogródek działkowy. Ten dziadków zaklinał w sobie wyobrażenia o wsi nieistniejącej – słodycz owoców, zapach pomidorów, kojący cień jabłoni, wodę ze studni, która chłodzi w upalny letni dzień.

Jedliśmy porzeczkę prosto z krzaka i zbieraliśmy mietczyki, żeby wieczorem wstawić je do wazonu w małym mieszkaniu dziadków w bloku z wielkiej płyty. Świat, choć wtedy jeszcze skarłały, nigdy już nie miał w sobie więcej sensu.

Zbiory nosiły ze sobą przekonanie o sytości w sezonie jesienno-zimowym, w przeciwieństwie do żniw, których wspomnienie wprawiało w drganie starszych członków mojej rodziny. Zaś działka trwała w stanie wiecznego lata – choć pracy na niej nigdy nie brakowało, to dawała przestrzeń do wypoczynku.

Czasu wystarczyło, żeby wieczorem rozpalic grilla, a po obiedzie rozegrać z wnukami partyjkę w tysiąca. Babcia czytała reportaże smażąc dla nas placki ziem-

niaczane, w tle pogrywała polka „Dziadek”. Ogródek nigdy nie był nostalgią za pozostawioną ojcowizną, ale przeciwnie – spełnionym marzeniem o mieście przyjaznym człowiekowi i zarazem jedną z najbardziej równościowych idei, jakie udało się w nim zrealizować. Co paradoksalne: w Polsce – kraju uważanym za konglomerat betonozy i nieładu urbanistycznego – na ogromną skalę.

Kąpiele słoneczne

Sama idea ogródków działkowych ma prazródło w XVIII-wiecznej Anglii. Miały się one stać antidotum na szkody spowodowane rewolucją przemysłową i dawać wytchnienie mieszkańcom przeludnionych osiedli robotniczych. Śladem Brytyjczyków poszli Niemcy i Francuzi, i to do ich tradycji odwołują się polscy popularyzatorzy miejskiego ogrodnictwa.

Krzewicielem tej idei na rodzimym gruncie był lekarz homeopata Jan Jalkowski, który w 1897 r. stworzył w Grudziądzu pierwsze ogródki działkowe o nazwie Kąpiele Słoneczne. Projekt Jalkowskiego współgrał z XIX-wiecznymi ruchami sprzeciwiającymi się kapitalistycznym miastom przemysłowym i promującymi powrót do natury, ale przewyższał je swoim egalitaryzmem.

W jego ogródkach półnaczy członkowie Towarzystwa Naturalnego Sposobu Życia uprawiali gimnastykę, leżakowali, opalali się lub kąpali w mule torfowym. Idea Jalkowskiego przetrwała do dzisiaj, ale wtedy podzieliła los każdego nowatorskiego pomysłu: „spotkała się z drwinami i docinkami, a nawet byli i tacy, którzy uważali ją za wielce niemoralną”.

Z jaką starannością rodzina uprawia jarzyny!

Ostateczny kształt polskiemu działkowictwu nadała przedwojenna działaczka katolicka i feministka Kazimiera Proczkówna. Troszczyła się o naukę i wychowanie młodych dziewcząt, ale na sercu leżała jej także sprawa ludności robotniczej i ubogich. Szukała alternatywy dla jałmużny, którą uważała za sposób na rozleniwienie społeczeństwa.

W rozprawie „Sposób zaradzenia nędzy bez dawania jałmużny” z 1907 r. pisała: „[...] Istnieje rodzaj wsparcia, który nie pociąga za sobą żadnego ze [...] skutków ujemnych, co jałmużna. Jest to rodzaj pomocy bardzo delikatnej, która nikogo zadraskać nie może. Istnieje sposób wsparcia, który nie upokarza odbierającego, nie wywołuje mu rumieńca na twarzy i nie zabija w nim dumy szlachetnej. Jest nim instytucja tzw. ogrodów robotniczych”.

Proczkówna wiedziała, co mówi. Kilka lat wcześniej, ok. 1900 r., wyprosiła od miasta grunty na rogatkach Mokotowa i systematycznie je powiększała. Tak powstał Ogród Działkowy Tramwajarzy – obecnie im. Obrońców Pokoju – przy ul. Odyńca w Warszawie. Był pierwszy i miał pełnić rolę panaceum na skutki brutalnego kapitalizmu – biedę i zanieczyszczone spowodowane industrializacją miasta.

Ogródki robotnicze miały też budować świadomość z naturą, aktywizować i budzić odpowiedzialność za ziemię, która była częścią miejskiego gruntu.

Proczkówna pisała: „Przyjrzyjmy się robotnikowi, pracującemu w swoim ogródku: z początku może niechętnie zabiera się do tej pracy, potem coraz chętniej, wreszcie nabiera do tego zamilowania i przywiązała do ziemi-karmicielki. Z jaką starannością rodzina uprawia jarzyny, które dla niej służyć będą! Jak smakują pierwsze kartofle i jarzyny, owoc własnej pracy! Ma się je na zawołanie, zawsze świeże i dobre. Potem robotnik buduje sobie altankę w ogrodzie, sadzi trochę kwiatów. W niedzielę cała rodzina udaje się na przechadzkę do swojego ogródka”.



„Działka prawdziwie aktywizuje – staje się źródłem siły fizycznej i mentalnej – i przyznaje prawo do godności. Dzierżawić kawalek ziemi znaczy tyle, co być za nią odpowiedzialnym i rozporządzać nią wedle swojego uznania.”

Pomysły Proczkówny, choć przetrwały wojenną zawieruchę, to w PRL-u zostały wyjąłkowane. Władze promowały przede wszystkim zaopatrzeniowy aspekt działkowienia. Istniały nawet specjalne komisje weryfikujące, jaki procent działki obsadzony był roślinami użytkowymi, a jaki – ozdobnymi. Na szczęście przetrwały, dodatkowo wykształcając w sobie jeszcze jeden aspekt równościowy – prawo do własnej, choćby przasnej i nieciekawej, opowieści człowieka.

Kwietniki w oponach

Przeciętny ogródek działkowy to repozytorium przedmiotów niepotrzebnych, ale niosących ze sobą indywidualną historię. Trafiają tam książki naszego dzieciństwa, kasety VHS, dyskietki, stare zabawki, połówki firanki, kurzące się od lat maszyny do szycia czy meble będące już wyłącznie powodem do wstydu.

Ktoś powie – śmieci. Warte tyle, co czerstwy bochenek chleba, tępy nóż i porzeczka sterta drutu, czyli przedmioty składające się na jeden z najbardziej poruszających asamblaży Władysława Hasiora „Chleb polski” – odbicie naszego myślenia o narodowej historii. Artysta mówił: „Każdy przedmiot ma swój sens, a złożone dają aforyzm”. Najbanalniejszy przedmiot w troskliwych rękach osoby, która go rozumie, staje się czymś specjalnym.

Sąsiedzi dziadków urządzali kwietniki w starych oponach i sami wykonywali dekoracje ogrodowe ze, zdawałoby się, przypadkowych materiałów.

Moją dziecięcą wyobraźnię wyjątkowo mocno pobudzały ogródkowe „murale”, szczególnie gigantyczne Myszka Mickey i Minnie – wymalowane na blasze objadającej jeden z domków. Z działki dziadków wspominałam emaliowane garnuszki w kwiaty, wyszczerbione talerze pamiętające poprzednie granice Rzeczypospolitej i ulubione szklanki wnuków – niektórzy z nas woleli te Coca-Coli, ja uwielbiałam te po nutelli z bohaterami „Władcy pierścieni”.

Ta groteskowa zastawa stołowa z jednej strony symbolizowała niedóbr, ale z drugiej – troskę moich dziadków o wszystko, co spotkali na swojej drodze. Sympatia wnuczki do szklanki była wystarczającym powodem, żeby się o nią zatroszczyć.



FOT. MIKOŁAJ KURAS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Trzeba nam przekopać parę grządek i rozpalić grilla. To jedyny sposób, żeby otrzepać z siebie kurz polaryzacji i iść dalej



FOT. ADAM ŚPIEPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

• 88 proc. Polaków chce, żeby istniały w miastach Rodzinne Ogródki Działkowe – wynika z badań CBOS. Na zdj. ROD „Czereniaków” w Warszawie

Niewielkie mieszkanie z przydziału nie było w stanie pomieścić świadectwa całego życia. Ten dodatkowy skrawek ziemi z pokrytą papą altanką stał się więc rodzinnym archiwum. Zbieractwo i niepraktyczne dążenie zdobienia – cechy wyróżniające polskie działki – są tak naprawdę odzyskanym prawem do indywidualnej historii, która nawet nie ociera się o wielkość.

Ogólnopolski weekend na działce

Kłócimy się o to, jak powinny wyglądać centra i czy są miasta – samochodów czy ludzi. Brakuje nam drzew, czystego powietrza, komunikacji miejskiej, ławek, ścieżek rowerowych i jednocześnie przeszkadzają nam drzewa, czyste powietrze, komunikacja miejska, ławki i ścieżki rowerowe.

Wydaje się, że jedynym sposobem, żeby nas pogodzić, jest ogólnopolski weekend na działce. Bo według badań CBOS aż 88 proc. Polaków opowiada się za istnieniem w miastach rodzinnych ogródków działkowych. Nie ma wyjścia – trzeba nam przekopać parę grządek i rozpalić grilla. To jedyny sposób, żeby otrzepać z siebie kurz polaryzacji i iść dalej.

Niestety, nawet tak egalitarny projekt, jak ogródki działkowe, został pożarty przez łakomy kapitalizm. Zieleń w mieście stała się towarem luksusowym. I cóż z tego, że w miejscu zapyziałych altanek, podobnych do tej moich dziadków, stanęły stylowe domki letniskowe z impregnowanych bali, a foliowe tunele zastąpiły trawniki ostrzyżone na rekruta, skoro ogródki działkowe zatraciły swoją pierwotną siłę, którą było obcowanie z naturą w stanie oswojonej dzikości?

Na działce dziadków walczyliśmy z mszycami, po śniadaniu wrywałam z babcią chwasty i każdego lata robiliśmy wszystko, żeby zebrać czereśnie, zanim zrobią to łapczywe szpaki. Na kilku arach pozwalaliśmy naturze być naturą, a nie tylko odgrywać jej rolę.

Wraz z – pozorną – estetyzacją ogródków, która podniosła wartość rynkową ROD-ów, nadeszła dotkliwsza plaga – ich prywatyzacja. A idea zrodzona z troski o ludzi pracy zmieniła się w swoją karykaturę. Ceny odstępnego za ogródek osiągają dziś poziom niedostępny dla zwykłego Kowalskiego. W Warszawie wahają się między 50 a 90 tys., a czasem dochodzą do nawet 200 tys. zł.

Chleba dla wszystkich i róż także

Można się zżymać, że na tym wszak polega rozwój gospodarczy. I że w miastach są przecież jeszcze parki i skwery. Problem w tym, że jest ich zwyczajnie mniej. W samej stolicy ogródki działkowe zajmują 17 km kw., czyli 3 proc. powierzchni – więcej niż wszystkie miejskie parki. Co więcej – są dwa razy bardziej bioróżnorodne.

W dodatku parki należą do władz centralnych, są im podporządkowane, o czym w słynnym eseju o działkach pt. „Między rajem a śmietnikiem. Smutek warzywnych ogródków” pisał prof. Roch Sulima [np. w zbiorze „Antropologia codzienności” wydanym w 2000 r. - red]. W parkach narracja sama się narzuca – wszędzie można zobaczyć ślady obecności jakiejś władzy – aleje, pomniki, miejsca pamięci. W takich warunkach trudno złapać dystans, zwłaszcza do rzeczywistości politycznej. Park służy głównie do spacerowania i wypoczynku.

Ale to działka prawdziwie aktywizuje – staje się źródłem siły fizycznej i mentalnej – i przyznaje prawo do godności. Dzierżawić fragment ziemi znaczy tyle, co być za nią odpowiedzialnym i rozporządzać nią wedle swojego uznania.

Rozplanowując swoją działkę, dziadkowie sami decydowali, do czego i w jakim stopniu będzie im służyć – na ile dzięki niej będzie można wzbogacać jałospis całej rodziny albo jak to zrobić, żeby była miejscem wytchnienia i źródłem energii do mierzenia się z rzeczywistością poza jej granicami.

Babcia zadbała, żeby oprócz grządek z warzywami i owocami oraz mikroskopijnego sadu w jej miejskim ogródku był trawnik służący do wypoczynku. Na ogrodzeniu rozciągała się róża pnąca, która do tej pory oplata moje wakacyjne wspomnienia.

Kiedy w podstawówce przeczytałam „Tajemniczy ogród” Frances Hodgson Burnett, byłam pewna, że Mary Lennox wchodziła tędy do ogrodu Cravenów. Działka dziadków w najpełniejszy sposób realizowała słynną odezwę Helen Todd: „Bread for all, and roses too”. Chleba dla wszystkich i róż także.

Niewielkie poletko w centrum średniej wielkości miasta aprowizowało kilkusobową rodzinę i zarazem dawało dostęp do czegoś, co na przełomie wieków było przeznaczone tylko dla uprzywilejowanych ale czyniło nas ludźmi pełnymi – do chwili zachwyty.

Pytanie więc, jakim społeczeństwem będziemy bez prawa do wytchnienia, które daje natura, w tym ulubiona jej forma Polaków – działka. ●

FALSZOWALIŚMY

**Ruch Kontroli Wyborów
nie wyrósł z PiS, tylko ze zło-
ści na PiS, że przegrywa wy-
bory – mówi mi jego szef.**

– PiS przegrywał, choć osobi-
ście przerabiałem karty do gło-
sowania i nie tylko ja – zwierza
się były działacz tej partii

Piotr Głuchowski

Nieważne, kto jak głosuje, ważne, kto
liczy głosy” – zauważył Józef Stalin.
Tymczasem w polskich obwodowych
komisjach wyborczych panuje bałagan.
– Dziadostwo trwa od czasów Kisz-
czaka i Jaruzelskiego – mówi mi Mar-
cin Dybowski, prezes bliskiego PiS Ru-
chu Ochrony Wyborów. – Postkomu-
nie w to graj. Chodzi o to, by kolejne
wybory jak najmniej zmieniały.

O bałaganie mówi także druga stro-
na: – Gdybym zliczyła te głosy z dru-
giej tury, których nieuczciwemu odda-
niu zapobiegłam lub chociaż próbo-
wałam, byłoby jakieś piętnaście przy-
padków tylko w mojej komisji – twier-
dzi Agnieszka Chyrc, radna Koalicji Obywatelskiej
z Zielonej Góry. – Ponieważ komisji wyborczych jest
w kraju ponad 29 tysięcy, pomnóżmy przez piętna-
ście... to daje przeszło 400 tysięcy nieprawidłowości
na szkodę, moim zdaniem, Rafała Trzaskowskiego.

Intuicję radnej potwierdzają wyniki prokurator-
skich oględzin protokołów ponownego przeliczenia
kart w dziesięciu „podejrzanych” komisjach od Kra-
kowa przez Grudziądz po Gdańsk. „W siedmiu z dzie-
sięciu komisji doszło do zamiany kart, co skutkowa-
ło błędnym przyjęciem, że większą liczbę głosów uzy-
skał Karol Nawrocki, podczas gdy faktycznie wygrał
tam jego konkurent” – ogłosiła 23 czerwca rzecznicz-
ka Prokuratury Generalnej Anna Adamiak.

Cztery dni później te informacje potwierdził Sąd
Najwyższy: w dziewięciu komisjach na 13 zbadanych
zamieniano głosy „wskazując błędnie, że więcej do-
stał ich Karol Nawrocki”. Nieprawidłowości nie mają
jednak wpływu na ostateczny wynik. Wybory należy
uznać za ważne.

Teraz musimy się cofnąć o 20 lat.

– Po raz pierwszy polecenie „przypilnowania gło-
sowania” otrzymałem z partyjnej centrali przed wybo-
rami w roku 2007 – mówi mi Marek Zagrobelny.

– Byłem wtedy drugą, obok Kazimierza Boguckie-
go, taty obecnego posła, najważniejszą osobą w gó-
rowskim PiS. Dlatego to na mnie spadła organizacja
przedsięwzięcia. „Druga strona może wybory sfał-
szować, więc trzeba odzyskać równowagę” – opo-
wiada Zagrobelny, dwie dekady temu sekretarz po-
wiatowy PiS w dolnośląskiej Górze, dziś mieszka-
niec Norwegii. – Zgodziłem się, bo wiedziałem, że te-
go typu aktywność zaprocentuje, gdy po wyborach
partia będzie dzielić stolki. I rzeczywiście: choć PiS
tamtych wyborów nie wygrał, kilka miesięcy później
dostałem posadę inspektora w górowskim oddziale
Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa,
a dwa lata później – specjaliści od kontaktów z me-
diami w zakładzie komunikacji w Głogowie. Mimo
że w kraju już rządziła Platforma z PSL.

– A co pan robił w ramach „przypilnowania gło-
sowania”?

– Szukałem ludzi do komisji i namawiałem, by
zostawali przewodniczącymi. Oczywiście po to, by
mieć wpływ na liczenie głosów.

– Dla jasności: by móc fałszować wyniki?

– Powiem tak: w wyborach wszelkiego typu odby-
tych w latach 2003-2015 siedziałem w około dziesię-
ciu komisjach wyborczych w powiecie górowskim
i mówię odpowiedzialnie, że sympatykom i działa-

czom PiS zdarzało się fałszować karty. Ja również to
robiłem i mogę zdradzić: jak.

– Zaraz do tego dojdziemy, ale muszę zapytać:
dlaczego pan to robił? Przecież to przestępstwo.

– Bo byłem fanatycznym zwolennikiem PiS. Wy-
chowany w konserwatywnym, katolickim śro-
dowisku Góry, kiedyś Góry Śląskiej. Tata był tech-
nikiem-mechanikiem, mama nauczycielką, oboje
w „Solidarności”. Po szufladach jeszcze długo walały
się solidarnościowe znaczki i plakiety. Gdy miałem
12 lat, ojciec zmarł na zawał. Odtąd wychowywał
mnie ojczym, z zawodu weterynarz, wójt sąsiedniej
gminy i członek Porozumienia Centrum [pierwszej
po 1989 roku partii braci Kaczyńskich]. Miał skraj-
nie prawicowe poglądy. Mówił o „spisku okrągło-
stolowym”, o sprzedanej Polsce... powtarzał, że kraj
przejęli komuniści i byli esbecy, a my musimy z tym
walczyć. Chciałem wziąć udział w tej walce. W roku
2003 jako student administracji publicznej Uniwer-
sytetu Wrocławskiego przystąpiłem do PiS.

– Został pan sekretarzem i członkiem komisji re-
wizyjnej...

– ...a do tego przewodniczącym klubu „Gazety Pol-
skiej” w Górze i redaktorem naczelnym gazetki „Fak-
ty Górskie”, którą PiS finansował, płacąc nam z ręki
do ręki. Bo poza mną, który robił skład i korektę, pra-
cowało jeszcze kilkoro autorów – sami działacze lub
sympatycy partii. Po roku 2007 pisaliśmy, że w Trybu-
nale Konstytucyjnym Andrzeja Rzeplińskiego siedzą
komuniści, że Platforma chce zgładzić w Polsce wia-
rę katolicką i tego typu rzeczy. Powielaliśmy artykuły
z „Polskiej” i serwisu Niezależna.pl.

Zostałem partyjnym propagandystą działającym
– kiedy trzeba było atakować lokalnych przeciwników
PiS – na pograniczu prawa. Jeden proces przegrałem.

– I nie miał pan z tym problemu?

– Nie, bo Jarosław Kaczyński był dla mnie niemal
święty, równy Piłsudskiemu. Nie wychodziłem z ze-
brań, gdy napaleni działacze młodzieżówki mówi-
li o konieczności eksterminacji „plafusów”. Tylko że
„metodami demokratycznymi”, na przykład mani-
pułując przy głosach.

W latach 2007-15 mimo starań mego rozmówcy i in-
nych działaczy PiS, partia przegrywała kolejne elek-
cje: parlamentarne, prezydenckie, europejskie i sa-
morządowe.

– Wśród zwolenników prawicy wzrastało podej-
rzenie, że wybory nie są przeprowadzane uczciwie
– mówi mi Marcin Dybowski, który poza prezoso-
waniem stowarzyszeniu od kontroli wyborów jest rów-
nież właścicielem Księgarni Patriotycznej Antyk.

Studencko związany z Lublinem, w PRL współ-
pracował i ze słynnym Komitetem Obrony Robot-
ników, który z czasem nabrał pepeesowskiego ob-
licza – jego twarzami byli między innymi Jacek Ku-
roń i Adam Michnik – i nie mniej słynnym Ruchem
Obrony Praw Człowieka i Obywatela, do którego
po konflikcie w KOR odpłynął Antoni Macierewicz,
i z jawnie antykomunistyczną, piłsudczykowską
Konfederacją Polski Niepodległej Leszka Moczul-
skiego. W latach 80. wydawał podziemną „Gazetę
Polityczną” i równie nielegalne pismo „ABC”.

Po przełomie 1989 roku na dobre zaangażował
się po prawej stronie. Współzakładał Ruch Trzeciej
Rzeczypospolitej, skupiony wokół premiera Jana
Olszewskiego, w PRL zasłużonego adwokata ludzi
opozycji, odwołanego po tym, jak Macierewicz jako
szef MSW ujawnił listę tajnych współpracowników
komunistycznej bezpieki, na której umieścił wyso-
kich urzędników i ważnych polityków, w tym legen-
darnych opozycjonistów. Po latach „noc teczek” sta-
ła się jednym z mitów założycielskich PiS.

Jednocześnie Dybowski założył konserwatywne
wydawnictwo (walczące „w obronie polskiej trady-
cji, cywilizacji łacińskiej i Kościoła”) z księgarnią.

Gdy działała przy Placu Trzech Krzyży, kilkaset
metrów od Sejmu, bywali w niej wszyscy z prawicy,
od polityków rządzącej Akcji Wyborczej Solidarność
przez korwinistów liczącej się wówczas Unii Polity-
ki Realnej po księży lefebrystów i marginalnych jesz-
cze narodowców. Potem przeniosła się do podziemi
kościół Wszystkie Świętych.

„Nie przypuszczałam, że będzie tam aż tak okrop-
nie. Ogromna ilość antysemitkich, ksenofobicznych,

antyunijnych i sporo antykościelnych (bo za takie
uznałam dziwaczne spekulacje o biskupach) książek
i czasopism” – opisywała w „Tygodniku Powszech-
nym” wizytę w Antyku studentka teologii Zuzanna
Radzik, dziś znana katolicka publicystka. Na półkach
znalazła między innymi książki „Antypolonizm Ży-
dów polskich”, „Jedwabne geszefty” i „Szczerebiec”,
czasopismo radykałów z Narodowego Odrodzenia
Polski, kiedyś chętnie czytowane przez skinheadów.

– Książki obszernie cytowane w prasie jako antyse-
mickie wycofaliśmy. Niektórych już nawet nie ma na
rynku – tłumaczył kilka miesięcy później Dybowski.

Dybowski podjął też próbę wejścia do dużej poli-
tyki, lecz stołeczni wyborcy nie powierzyli mu man-
datu senatora i poza środowiskiem kanapowej bo-
goojczyźnianej prawicy pozostawał szerzej niezna-
ny. Aż do jesieni roku 2014...

– ...kiedy ja sam i inni ludzie, wściekli na to, że PiS
nie potrafi dopilnować wyborów, weszliśmy do sie-
dziby Państwowej Komisji Wyborczej.

Bezpośrednim powodem był chaos w instytucji,
która po wyborach samorządowych odbytych 16 li-
stopada przez blisko tydzień nie potrafiła ogłosić
wyników głosowania. Mainstreamowe media roz-
wijają wówczas skrót Komisji jako „Państwowy Kal-
kulator Wolnolizujący” lub „Panom Komputery Wy-
siadły”. Media prawicowo-pisowskie sugerowały, że
wyników wciąż nie ma, bo w PKW rozgrywają się
cuda nad urną, a ich celem jest pomniejszenie suk-
cesu wyborczego PiS

20 listopada, w środku zamieszania, do siedziby
Komisji wtargnęli demonstranci ze „smoleńskiego”
ruchu Solidarni 2010 oraz grupa sympatyków prawicy,
wśród nich reżyser Grzegorz Braun, reporter rac-
kującej TV Republika Jan Pawlicki, youtuber antyse-
mita Rafał Mossakowski oraz mój rozmówca. Po serii
awantur i szarpanin wszystkich wyprowadziła policja.

Gdy w końcu głoszone wyniki, okazało się, że
przewaga rządzącej koalicji PO-PSL nad opozycyj-
nym PiS i Kongresem Nowej Prawicy Janusza Kor-
wina-Mikke jest prawie dwukrotna.

– Po tych skandalicznych działaniach PKW ra-
zem ze świętej pamięci Jerzym Targalskim, później-
szym pierwszym prezesem Ruchu Kontroli Wybo-
rów, postanowiliśmy zadziałać systemowo – mówi
wydawca i księgarz. – Wejść w skład jak najliczniej-
szych obwodowych komisji, żeby dopilnować po-
dwójnych wyborów prezydenckich i parlamentar-
nych w roku 2015.

Targalski, wielki zwolennik lustracji i współautor
bestsellera „Resortowe dzieci”, również walczył z ko-
muną. Współpracował z ROPCiO i KOR, ukrywał się
w stanie wojennym, wydawał samizdaty. W 1984 ro-

**Agnieszka Chyrc, radna KO,
członkini komisji wyborczej:**

**A wie pan, co mną najbardziej
wstrząsnęło?**

**Postawa męża zaufania KO,
który nie chciał wpisać do protokołu
zgłaszanych przeze mnie zastrzeżeń,
by nie komplikować
i „nie być upierdliwcem”.**

Jasno mówił, że jest tam dla kasy

PRZED PROTOKOŁEM

**Marek Zagrobelny, były działacz PiS,
członek wielu komisji wyborczych:**

***Zdarzało nam się
zaznaczyć kandydata PiS
na pustych kartach
wrzucanych przez osoby,
które chciały oddać głos nieważny***

ku emigrował do Francji, w latach 90. wrócił, pracował naukowo, pisał do „Gazety Polskiej”. Za „pierwszego PiS” w roku 2006 został wiceprezesem Polskiego Radia, gdzie zasłynął narzekaniem na „stare kobiety, złogi gomulkowsko-gierkowskie”. Gdy razem z Dybowskim wdzielali się do PKW, był od niedawna felietonistą TV Republika.

– Może pan nie uwierzy, ale PiS na początku zwalczał Ruch Kontroli Wyborów jako inicjatywę spoza partii, jakąś obcą strukturę niepoddającą się władzy prezesa Kaczyńskiego – opowiada mi Dybowski. – Obaj z Targalskim byliśmy na cenzurowanym.

– Faktycznie: nie uwierzę. Dominika Wielowieyska pisała niedawno, że PiS was musi napominać, żebyście nie przesadzali z tą „kontrolą” wyborów.

– Jasne, że nie byliśmy nigdy sympatykami Donalda Tuska i Waldemara Pawlaka, ale nasza inicjatywa wyrosła nie tyle z PiS, ile ze złości na PiS. Że prawica przegrywa kolejne wybory, bo ich nie ogarnia. I czas najwyższy z tym skończyć!

– Co się wam udało.
– Skutecznie dopilnowaliśmy zwycięstwa Andrzeja Dudy, będąc w wielu komisjach.
– W jak wielu?
– Tego nie mogę zdradzić, ale wystarczyło. Jesienią też się udało dopilnować sprawy.

– Mieszkam w Zielonej Górze, jestem urzędniczką, społecnicą i bezpartyjną radną klubu KO – mówi Agnieszka Chyrc, która w drugiej turze ostatnich wyborów prezydenckich zasiadała w zielonogórskiej komisji nr 13 w Szkole Podstawowej nr 2, gdzie ulokowano również komisje o kolejnych numerach. – Od lat pracuję przy wyborach, bywałam przewodniczącą składów, wiem, jak to powinno przebiegać i zauważyłam, że tym razem działy się rzeczy dziwne.

– Na przykład?
– Naszym przewodniczącym był młody polityk Konfederacji, brat szefa komisji siedzącej po sąsiedzku, też zresztą konfederaty. Przed głosowaniem źle zaplombował urnę, ponieważ nie użył pieczęci. Nie wiem, czy celowo. Uzupełniłam brak. Przy okazji dowiedziałam się, że nocą karty do głosowania zwyczajnie leżały w klasie. A nie jak zawsze: w przeznaczonych do tego szafie zamkniętej przynajmniej na zamek. To też mnie zastanowiło.

Bardziej się jednak zdziwiłam, gdy zauważyłam, że wyjątkowo dużo osób przyprowadza do komisji wyborców z demencją albo niepełnosprawnych intelektualnie i to w znacznym stopniu. Ci ludzie mieli problem ze złożeniem podpisów, często nie wiedzieli w ogóle: gdzie są i co robią? Ich opiekunowie próbowali – nie mając pełnomocnictw – oddawać głosy za nich.

Podam jeden z przykładów: gdy poszłam odebrać na zewnątrz, mijając sąsiednią komisję, dostrzegłam, że idzie staruszka z dorosłym i niepełnosprawnym umysłowo synem. Szli w towarzystwie mężczyzn na oko po pięćdziesiątce. Ci panowie na

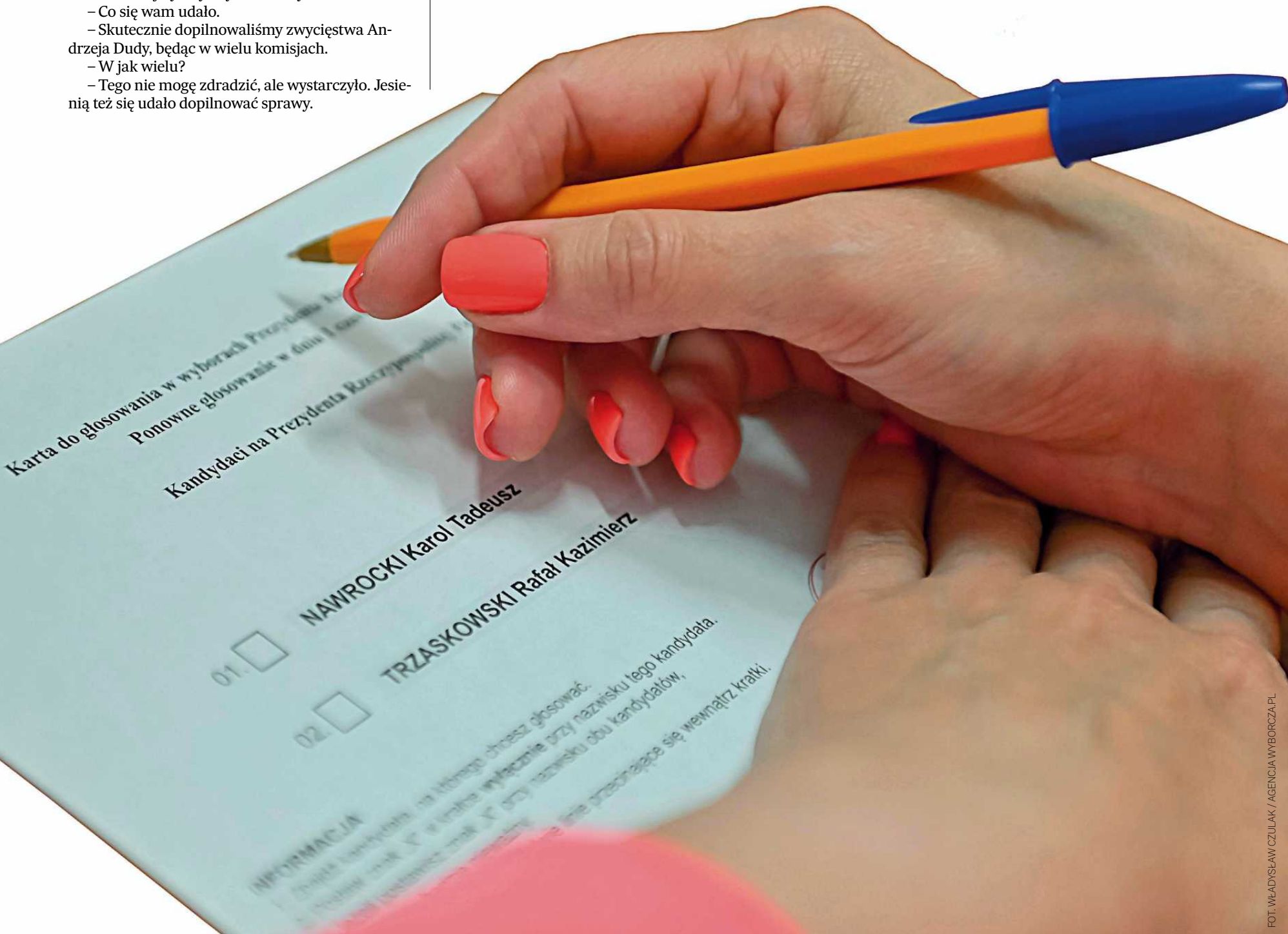
moich oczach, bo weszłam za nimi, dyktowali niepełnosprawnemu, co robić. A on nie kontaktował, powtarzał tylko chaotycznie: „co? co?”. Starszą panią zaprowadził do stanowiska głosowania jeden z mężczyzn i jej kartę oraz chorego syna skreślił osobiście. Członkowie komisji ostentacyjnie odwrócili wzrok.

– A pani co zrobiła?
– Natychmiast zgłosiłam ten fakt do lokalnego biura wyborczego i po chwili zadzwonił przewodniczący, akurat korzystający z przerwy, prosząc, „bym była grzeczna”. Najlepiej, abym na nic nie reagowała i nawet nie przechodziła koło komisji sąsiedniej, bo inaczej „brat się na niego obrazi”.
– Spełniła pani tę prośbę?
– A gdzie tam! Zaczęłam się przyglądać tej drugiej komisji i po chwili przyszła druga osoba niepełnosprawna, kompletnie bez kontaktu. Jej kompan próbował zagłosować za nią. Jak się skończyło, nie wiem, bo mnie wyproszone.

– Jak się dokładnie rozdało posady za pomoc przy wyborach? – pytam Marka Zagrobelnego.

– Jako działacz aktywny i rokujący zostałem przeznaczony do zatrudnienia. Do szefa dolnośląskiego oddziału ARiMR, powołanego z ramienia PiS, zadzwonił ktoś z zarządu okręgu dolnośląskiego i zwyczajnie powiedział, że jest taki młody człowiek, którego należy przyjąć na inspektora. Chociaż oficjalnie oczywiście był konkurs. Przyszło pięcioro, sześcioro kontrkandydatów zupełnie nieświadomych, że wszystko jest ugodane.

– Nie miał pan problemu z takim oszustwem?



FOT. WŁADYSŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

– Byłem dumny, że partia mi ufa, a ludzie czują respekt. Wszyscy wiedzieli, że jestem kimś ważnym w PiS.

– Dzięki mnożeniu głosów w komisjach wyborczych.

– Zaczniemy od początku. Kilkanaście lat temu sądziliśmy w PiS, że w systemie komputerowym używanym do liczenia wyników niczego się sfalszować nie da. Teraz wiem już, że jest inaczej, no ale wówczas fałszowaliśmy przed protokołem. Na przykład dostawialiśmy na kartach dodatkowe krzyżki, czyniąc głos nieważnym.

– Proszę opisać szczegółowo.

– Gdy przewodniczący ogłaszał wieczorem koniec głosowania, zamykało się lokal i wysypywało głosy. W trakcie ich porządkowania członek komisji malował długopisem lub mazakiem krzyżyk na opuszcisku kciuka i biorąc kartę do głosowania, odciśkał ten kciuk jak pieczętę w odpowiednim miejscu. Widziałem na własne oczy, a nawet brałem w tym udział.

– Czyli co pan robił?

– Po zamknięciu lokalu dostawiałem długopisem krzyżyki. Inni członkowie komisji również. To nie było trudne.

W tamtym czasie komisje przyspieszały liczenie, dzieląc się na grupki po dwie-trzy osoby. A bywało, że jakąś część głosów zliczał jeden człowiek przy osobnym stoliku. Potem przekazywano głosy pomiędzy grupami – dla sprawdzenia, czy wszystko się zgadza. Lecz jeśli ktoś już dostawił krzyżyki, to sprawdzanie na nic. Zdarzało nam się również zaznaczyć kandydata PiS na pustych kartach wrzucanych przez osoby, które chciały oddać głos nieważny.

– Jeszcze jakieś patenty?

– Jeden ze słyszenia. Na wsiach członkowie komisji znają swych wyborców. Wiedzą, że dana osoba jest niepełnosprawna, obłożnie chora albo cała rodzina właśnie wyjechała. Działacz PiS albo mąż zaufania partii pod koniec dnia podpisywał się na liście za takiego człowieka albo za małżeństwo, a potem – gdy sam głosował – wrzucał dodatkową kartę czy karty razem z własnym głosem. Wiem, jakie osoby robiły takie rzeczy, bo nawet mówiły w zaufanym gronie: „Iksiński nie przyjdzie, głosuję za niego”.

– Partia wiedziała?

– Ależ oczywiście! Brałem udział w szkoleniach organizowanych przez PiS dla członków komisji wyborczych. Padaly deklaracje – czasami wprost, a czasami ogólnie – że druga strona na pewno będzie się dopuszczać fałszerstw, więc my – dla równowagi – też musimy to robić.



– Ilu członków ma Ruch Kontroli Wyborów? – pytam dalej Marcina Dybowskiego.

– Tego nie ujawniamy. Ale istnieje szkielet organizacyjny we wszystkich województwach. Ludzie nam dostarczają zdjęcia protokołów z poszczególnych komisji, wiedzą, czego pilnować, by nie było fałszerstw.

– Kto za to wszystko płaci... PiS?

– Finansujemy się składkami członków.

– Wykryliście już jakieś oszustwa wyborcze?

– Tak, w trakcie wyborów i referendum z 2023 roku.

Rządzący jeszcze PiS próbował wówczas połączyć elekcję z kwestią imigracji. Na głosujących oprócz kart wyborczych czekały karty z czterema pytaniami o kwestie, które wcześniej przy każdej okazji rządowa propaganda przedstawiała jako plany opozycji (o likwidację płotu na granicy białoruskiej, o relokację uchodźców, o podwyższenie wieku emerytalnego i o „wyprzedaż majątku narodowego”, czyli prywatyzację).

Donald Tusk na jednym z wieców „uroczyście unieważnił to referendum”. I faktycznie – z powodu zbyt niskiej frekwencji nie stało się wiążącym.

– Dlatego, że była masa komisji, w których nie wydawano ludziom kart referendalnych – ciągnie Dybowski. – Łamano też prawo, dopytując: „ile wydać kart?”, podczas gdy członek komisji zawsze musi dać wszystkie – mój rozmówca stawia akcent na słowie „zawsze”.

– Wykryliśmy też zupełnie już ordynarne oszustwo w komisji w Serocku. Gdy w skali kraju ponad 95 procent zaznaczało cztery razy „nie”, w tej jednej komisji sto procent zagłosowało na „tak”.

– I co z tym zrobiliście?

– Zgłosiliśmy sprawę do prokuratury, a kiedy odmówiła śledztwa, wyborca skierował przy naszej pomocy skargę bezpośrednio do sądu. Bo głosował cztery razy na „nie”, a tu sto procent „tak”. Sąd pierwszej instancji nakazał sprawę zbadać, ale prokurator się odwołał do instancji w Warszawie, a ta zezwoliła mu umorzyć sprawę. Choć było ewidentne przestępstwo. Sądy są stronnice, niezreformowane. Żyjemy w PRL bis.

– A tegoroczne wybory przebiegły uczciwie?

– Ogólnie tak, choć upolityczniona PKW przygotowała mnóstwo furtek, by pomóc Platformie. Pozwolono głosować po 21 ludziom stojącym w kolejkach. Wiadomo, że ogonki stoją raczej w dużych miastach, gdzie przeważa Trzaskowski. Nie wskazano wiarygodnego sposobu weryfikacji zaświadczeń o prawie do głosowania. Więc my stworzyliśmy aplikację, wyrecając państwo...

– Mówi pan o tak zwanej apce Mateckiego.

– To moja autorska robota i naszych informatyków. Powinna się zwać „Dybowskiego”. Na serwer, dzięki któremu działała, przeprowadzono cyberatak akurat w dniu wyborów. Bo przeciwna strona miała już gromadkę ludzi, którzy mieli rozmnażać zaświadczenia i jeździć po komisjach, głosując kilka razy. Moja aplikacja to pokrzyżowała. Ograniczyliśmy fałszerstwa, wyrecając PKW, która się nie wywiązała z nałożonych zadań. I za to nas jeszcze spotyka atak ze strony służb.

Coś przerywa naszą rozmowę. Raz, drugi i trzeci.

– Pan porucznik ma kłopoty ze zmianieniem taśmy – Dybowski żartuje, lecz zaraz dodaje poważniej, że jest podsłuchiwany.

To akurat niewykluczone: na początku czerwca Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego złożyła w stołecznej prokuraturze zawiadomienie o przestępstwie użycia „prywatnej aplikacji promowanej przez tak zwany Ruch Kontroli Wyborów, do zakłócania przebiegu głosowania”. Osobnym wątkiem – naruszeniem przez aplikację tajemnicy danych osobowych – zajmują się policja.

– Czy należy przeliczyć głosy w całej Polsce?

– Tylko tam, gdzie są podejrzenia fałszerstw. Na razie wiadomo, że liczący pomylili się w kilku komisjach. Czasem na rzecz Trzaskowskiego, czasem Nawrockiego. Ale to nie zmieniło wyniku w całym kraju. Natomiast on może się zmienić teraz. Worki z kartami do głosowania pozostają dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w gestii samorządów...

– Czasem pisowskich, czasem platformerskich.

– Ale tu nie ma symetrii. Najwięcej kart mają pod opieką największe samorządy – wielkie miasta, gdzie rządzi PO. Sama Warszawa to dwa tysiące komisji obwodowych. Samorządy mają nawet zapasowe plomby do worków z głosami. Co za problem zdjąć plombę, porobić fałszerstwa i zaplombować na nowo? Nie będzie żadnych śladów – przekonuje mnie prezes RKW.

– A magistraty mają jeszcze karty wyborcze rezerwowe i wszelkie niezbędne pieczęcie... Od dziesiątków lat mamy w wyborach takie właśnie dziadostwo. Nic się nie zmienia od czasów Kiszczaka i Jaruzelskiego. Polskę przekazano w pacht postkomunie, a przepisy wyborcze tak spreparowano, by kolejne wybory zmieniały jak najmniej. Przecież PKW nie ma nawet własnego budynku, tylko mieści się w kancelarii prezydenta, drzwi w drzwi z urzędnikami i politykami – kończy dobitnie Dybowski.



Agnieszka Chyrc z Zielonej Góry: – Po zamknięciu lokalu wyborczego pan woźny będący gospodarzem wszystkich trzech komisji bez pardonu wchodził do naszego po-

mieszczenia w czasie, gdy karty były już wysypane z urny na podłogę i leżały na stolach. Chciałem go wyprosić, lecz przewodniczący komisji mnie nie wsparł. Po moich naciskach w końcu zwrócił woźnemu uwagę – tyle że nieskutecznie. Facet dalej się kręcił pomiędzy stolami. W końcu sama go wyprosiłam i zażądałam kluczy, aby zamknąć drzwi. Zamiast nich otrzymałam wiązanek epitetów, jaka to jestem czepliwa.

Gdybym zliczyła tylko te głosy z drugiej tury, których nieuczciwemu oddaniu zapobiegłam lub chociaż próbowałam, byłoby ich jakieś 15 jedynie w mojej komisji. Co daje przeszło 400 tysięcy w skali kraju.

– Dość ryzykowne obliczenie...

– Według mnie – uprawnione. A wie pan, co mną najbardziej wstrząsnęło? Postawa męża zaufania KO, który nie chciał wpisać do protokołu zgłaszanych przeze mnie zastrzeżeń, by nie komplikować i „nie być upierdliwcem”. Jasno mówił, że jest tam dla kasy.

Radna Chyrc opisała powyższe sytuację w poście na Facebooku, który podało dalej 10 tysięcy osób. – W jednej chwili zaczęłam dostawać telefony, w tym takie, które potwierdzały, że w innych komisjach podobnych nieprawidłowości było jeszcze więcej. Skoro takie sytuacje miały miejsce w lubuskim, na zachodzie kraju, co dopiero mogło się dziać w Polsce wschodniej? Powtórzę: nie tkam spisków, ale uważam, że dla jasności i braku niedopowiedzeń na lata, PKW powinna przeliczyć głosy w całym kraju.

Powtórnego przeliczenia wyników ze wszystkich 29 815 obwodów domaga się głośno adwokat i poseł PO Roman Giertych. W serwisie X zwraca uwagę na jeszcze jedną kwestię: PiS „poprzez fejkowe komitety” wstawił do komisji „dziesiątki tysięcy ludzi”, którzy mogli grać nieuczciwie.

O kogo chodzi? Cztery tysiące przewodniczących obwodowych komisji (czyli osób, które wieczorem wpisują liczbę policzonych głosów do systemu elektronicznego PKW) i około 30 tysięcy szeregowych członków zostało wystawionych przez komitety kandydatów, którzy nie zdobyli wymaganych podpisów poparcia, więc nie startowali. Co nie przeszkodziło im ludziom pozasiadać w komisjach rozstrzygających wybory pomiędzy Trzaskowskim a Nawrockim. Po co ta fatyga?

– Dlatego, że większość z nich stanowią stronnicy Nawrockiego – mówi Giertych w rozmowie z Wojciechem Czuchnowskim z „Wyborczej”. I podaje przykłady: Funkcje 283 przewodniczących komisji posiadli wysłannicy komitetu kandydata na prezydenta Piotra Daniela Lechowicza, który przedstawił się w sieci jako „propagator idei Narodowej Demokracji i działacz Ruchu Narodowego Krzysztofa Bosaka”. 449 szefów komisji miał komitet Wiesława Lewickiego, prezesa partii Normalny Kraj powstałej po rozłamie w Stowarzyszeniu Republikanie, które założyli byli politycy PiS. Najwięcej, bo 702 przewodniczących, wystawił Romuald Starosielec, lider Ruchu Naprawy Polski, który gromadzi antyszczepionkowców, eurosceptyków i polskich trumpistów, wśród nich Adam Czeczetkowicz, przed laty autora memicznej kampanii Krzysztofa Kononowicza z programem „żeby nie było niczego”).

Komisarzy delegowali także znani z poprzednich wyborów prezydenckich oraz pierwszej tury obecnych: wolnościowiec Paweł Tanajno, korwinista Stanisław Żółtek, narodowiec browarnik Marek Jakubiak, „patriota gospodarczy” Marek Woch i Grzegorz Braun, których przedstawiciele – z zdaniem Giertycha – również wspierali Nawrockiego. Często oficjalnie.

Oczywiście swych ludzi w komisjach mieli też Rafał Trzaskowski i Karol Nawrocki – po kilkadziesiąt tysięcy.



– Jak się pan rozstał z PiS? – pytam na koniec Marka Zagrobelnego.

– Z jednej strony zorientowałem się, że powiatowe posady to szczyt mych osiągnięć. Starzy działacze wyżej nie dopuszczają. Z drugiej: posypała się moja wiara w zamach

smoleński i to, że za wszystkim stoi niewidoczny układ. W 2012 roku pojechałem z dolnośląskimi działaczami na warszawski protest „w obronie wolnych mediów”, czyli telewizji Trwam. Zobaczyłem towarzystwo ostro zradyzalizowane. Z jednej strony modlitwy, różańce, a z drugiej okrzyki pod adresem rządzącej Platformy „raz sierpem, raz młotem czerwona holota!”. Niosłem jakiś transparent, dali – to wziąłem. Drugie drzewce trzymał gość, który wrzeszczał, jakby go obdzierali ze skóry. Zrobiło mi się nie-swojo. Co robię pośród tych ludzi?

– Odszedł pan latem 2015, gdy Andrzej Duda był już prezydentem, a na jesień wszyscy wieszcyli łatwe zwycięstwo PiS – co się stało. Może pańska kariera ruszyła by z kopyta?

– Ale wcześniej zdarzyło się coś jeszcze. W 2008 roku, po pięciu miesiącach w ARiMR, kiedy musiałem zwolnić stołek, kolega mnie namówił na pracę w Norwegii. Robota sezonowa, pracowaliśmy przez lato w gospodarstwie rolnym. Zobaczyłem normalne życie. Uczciwe, życzliwe, bez szczucia i teorii spiskowych. Myśl, aby wrócić do Norwegii, przychodziła tym częściej, im bardziej czułem się wypalony partytną robotą. Gdy ostatecznie postanowiłem jechać, PiS mnie próbował zatrzymać. „Przecież zaraz wygramy wybory, wszyscy skorzystamy”. Obiecywali rychłe objęcie posady kierownika. Nie skorzystałem.

– Jak pan sobie poradził w Norwegii?

– Zacząłem od prostych robót okolobudowlanych, szybko się nauczyłem języka, pracowałem jako kierowca. Przez trzy lata celowo unikałem wiadomości z Polski. Ale trudno się odciąć całkowicie. W roku 2018 było już dla mnie jasne, że pisowskie rządy nie przyniosły tej Polski, o którą miałem walczyć. Sprawiedliwej, przyjaznej...

Wtedy postanowiłem napisać książkę o mojej drodze do PiS i z powrotem. Sądziłem, że piszę do szuflady, więc pisałem po polsku. Skończyłem w 2021 roku. Znajoma działaczka Polonii poddała mi pomysł, by wydać to po norwesku. Bo Norwegów interesuje, co się w Polsce dzieje. Książka wyszła w poważnym wydawnictwie Frekk Forlag pod tytułem „Prawo i Sprawiedliwość – jak nauczyłem się kochać autorytaryzm”.

W Polsce książka Zagrobelnego wyszła dwa lata temu pod tytułem „Pokochać PiS”. Przy okazji promocji udzielił wywiadów „Newsweekowi”, Wirtualnej Polsce oraz serwisowi Reset Obywatelski. Jego rewelacje o dostawianiu krzyżyków kciukami nie wywołały burzy – wydały się mało poważne. Z dzisiejszej perspektywy wygląda to inaczej.



– Czy PiS ma machlojki wyborcze w DNA?

– to moje ostatnie pytanie do szefa RKW, któremu relacjonuję, co mówi Zagrobelny.

– Słyszałem o tym panu, że był szkolony do fałszerstw. Zajmuję się wyborami, więc algorytmy Facebooka podają mi jego wpisy. Skoro było, jak mówi – dlaczego się z tym nie zgłosił do prokuratury? Moim zdaniem ten człowiek zwyczajnie się odgrywa na byłej partii.

– Co nie znaczy, że kłamie.

– Niech go PiS pozywa, ja nie jestem człowiekiem Kaczyńskiego, tylko kimś, kto próbuje pilnować uczciwości wyborów.

27 czerwca Zagrobelny ogłosił w portalu X: „Na temat działania PiS-owskiego ruchu ochrony wyborów oraz PiS-owskich przekrętów wyborczych, jako były wieloletni działacz PiS jestem w stanie zeznawać przed polską prokuraturą”.

Po czym dopisał jeszcze kilka zdań, jak mogłoby jego zeznanie brzmieć: „Działania są podyktowane przekonaniem, że liberałowie, Tusk czy Niemcy i tak wybory sfalszują. A więc musimy to zrobić MY”.

PiS działa na bazie popularnych w partii spiskowych teorii. Wyszukuje się jak najbardziej chętne osoby i dosłownie instruuje o sposobach i technikach fałszowania. Oczywiście odbywa się to w dużej mierze nieoficjalnie, między słowami oraz najczęściej w rozmowach w cztery oczy”. ●

Giertychówka

„Giertychówka” kojarzy się z „gierkówką”. Być może dla Małgorzaty Manowskiej było to elementem dodatkowo deprecjonującym.

Michał Rusinek



W dyskursie publicznym pojawiło się nowe słowo: „giertychówka”. Oznacza ono protesty wyborcze, do wysyłania, których zachęcał mecenas Roman Giertych i których wzory przygotował. Pracownicy Sądu Najwyższego szacują, że spłynęło do nich około 50 tys. giertychówek, a także „kilka tysięcy protestów według wzoru Michała Wawrykiewicza”. Ten ostatni ma jednak pechowe nazwisko, bo utworzony od niego eponim – „wawrykiewiczówka” – byłby trudny do wymówienia nawet dla wytrawnych dziennikarzy TV Republika.

Historia eponimów tego typu jest długa i opisuje ją prof. Małgorzata Dawidziak-Kładoczna w artykule z 2019 roku „Schetynówka do jaroszewiczówki na Palikotówkę za kuroniówkę. Rzeczowniki z sufiksem -ówka motywowane nazwiskami polityków”.

Najwcześniejsze ponoć były szable: „batorówka” z czasów króla Stefana Batorego i „zygmuntówka” – z czasów króla Zygmunta III. „Augustówka” nazywano albo szablę, albo fuzję z czasów Augusta II, III lub Stanisława Augusta Poniatowskiego. Była też „kościuszkówka” – wiadomo, z jakich czasów. Równocześnie z szablami pojawiły się nakrycia głowy, bo „batorówką” nazywano także „wysoką okrągłą czapkę z piórem” noszoną za czasów Batorego. W tym nurcie mieliśmy też oczywiście do czynienia z „leninówką”, czyli czapką z daszkiem podobną do tej, którą nosił Włodzimierz Iljicz Lenin.

Eponim z rzeczonym sufiksem może być stosowany do tworzenia określeń związanych z finansami, np. podwyżkami („wałęsówka”, „religówka”) lub zasiłkami („gowinówka”, „tuskówka”), alkoholami („Palikotówka”, „Misiewiczówka” czy „Ziobrowka”, określana jako „słaby adwokat”), potrawami („kuroniówka”), a także drogami, a właściwie ich odcinkami („schetynówka”, „nowakówka”, „grabarczykówka” czy najsłynniejsza – „gierkówka”).

Prof. Dawidziak-Kładoczna odnotowuje także „giertychówkę”, jako eponim nie tworzący serii nazwownych, czyli jedyny w swoim rodzaju. Posługiwano się nim od 2006 roku, a więc kiedy Roman Giertych był ministrem edukacji, na określenie tzw. amnestii maturalnej. Polegała ona na tym, że zdający, który oblał jeden z przedmiotów, jednak zdawał

maturę pod warunkiem, że miał średnią co najmniej 30 proc. ze wszystkich zdawanych przedmiotów. Zmiana wywołała opór rektorów uczelni wyższych (którzy zagrozili wprowadzeniem na nowo egzaminów wstępnych) oraz okazała się częściowo niekonstytucyjna. Wycofano się z niej więc po dwóch latach i tak słuch po „giertychówce” zagał.

Eponim ten przypomniła dopiero 19 lat później Małgorzata Manowska, nie do końca legalnie pełniąca funkcję pierwszej prezeski Sądu Najwyższego. Żaliła się, że „giertychówki” powodują, że podlegli jej urzędnicy sądu mają mnóstwo pracy, ale ona o nich dba: upiekła im ciasto oraz paszteciki – które właściwie można by było nazwać „manowszczakami”, gdyby zechciała się podzielić z opinią publiczną stosownym przepisem. Swoją drogą to zastanawiające, że była – i także nie do końca legalna – prezeska Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska również znana była z talentów kulinarnych. Koincydencja ta z pewnością doczeka się specjalistycznych analiz.

Wróćmy jednak do „giertychówek”. W zamyśle, jak podejrzewamy, miało to być określenie deprecjonujące: ot, absurdalne wymysły Giertycha, które nic nie dadzą, ale uprzykrzają życie urzędnikom. Nie ma tym eponimie nic złowrogięgo, nie pobrzmiwa w nim groźba pozbawienia prezydentury prezydenta elekta, ani podpalenie państwa. Fonetycznie „giertychówka” kojarzy się z „gierkówką”. Być może dla pani Manowskiej to skojarzenie miało być elementem dodatkowo deprecjonującym, ale w zbiorowej pamięci Edward Gierek zapisał się jako postać niejednoznaczna: z jednej strony komunistyczny aparatczyk, który wpędził Polskę w dług, a z drugiej – jeszcze do niedawna można było kupić „Szynkę jak za Gierka”, bo kojarzył się on z peerelowską prosperity. Oraz zbudowaną w latach 70. drogą szybkiego ruchu łączącą Katowice z Warszawą, zwaną właśnie „gierkówką”. Inna rzecz, że Gierek zbudował ją właściwie dla siebie, żeby móc szybciej i wygodniej dojeżdżać do stolicy z rodzinnego Brynowa.

„Giertychówka” może też nieść ciekawe skojarzenia literackie. Złaszcza w narodzie, który tak umiłował swoich poetów, który to, co się rymuje, traktuje jak słowo wieszcze, a więc objawione i który czyta wprawdzie niewiele, ale ze szkoły pamięta zapewne dystych z „Zemsty”: „Hej! Serwacy! Daj gwintówkę! Niechaj strąć tę makówkę!”. Gwintówka ostatecznie użyta nie jest. Fakt, że zostaje wspomniana przez Cześnika, świętoszkowaty Rejent próbuje wykorzystać jako dowód przeciwko niemu. Jednak – bezskutecznie. Gwintówka okazuje się tylko straszakiem, a komedia Fredry kończy się, jak pamiętamy, zgodą.

Czym się skończy historia „giertychówki”? I z jakim gatunkiem scenicznym mamy teraz w Polsce do czynienia? Zobaczmy. ●

Ranking wrogów ojczyzny

Pokaż mi swojego wroga, a powiem ci, kim jesteś. Sprawdziłem.



Marcin Matczak

Niesławny Carl Schmitt, niemiecki myśliciel od spraw ciemnych, mawiał, że żeby kogoś zrozumieć politycznie, trzeba go zapytać: „kto jest twoim wrogiem?”. Postanowiłem więc sprawdzić, kogo najbardziej nie znoszą polskie partie polityczne: PiS, PO i Konfederacja. I tak oto powstał ranking wrogów ojczyzny, polityczna wersja listy wrogów Batmana, tylko bez Jokera. Za to z Donaldem Tuskiem, Unią Europejską i ideologią gender.

Robiłem ten ranking wrogów polskości przy pomocy modelu językowego AI, który analizował, kogo i jak często najważniejsi politycy tych partii określali w ostatnich pięciu latach jako zagrożenie dla Polski. Na tej podstawie powstała trójkolorowa mapa narodowych fobii.

Jak nie Unia, to choć Helmut

Zacznijmy od Konfederacji. Wróg numer jeden? Unia Europejska. Ta, która daje nam miliardy na drogi, szkoły i ronda w powiecie tomaszowskim. Bruksela to neokolonialny Lewiatan, który chce nam wyrwać z rąk ostatnie pudełko prawdziwie polskiego ptasiego mleczka. Drugie miejsce zajmuje „ideologia LGBT/gender”, czyli zło o konsystencji mgły, która ogarnia umysły naszych dzieci. Miejsce trzecie? Niemcy, rzecz jasna. Bo wiadomo – jak nie Unia, nie gej, to chociaż Helmut.

Konfederacja nie wskazuje wrogów personalnych. Na jej liście nie ma ani Tuska, ani Kaczyńskiego, ani Ursuli von den Leyen. Ich wrogowie to zbiorowości: Żydzi (zawsze w kontekście roszczeń, nigdy np. jako sąsiad z Białegostoku), Ukraińcy i „ukrainizacja” oraz kobiety z własnym zdaniem. Na liście wrogów są też organizacje (WHO, ekolodzy) oraz idee: kulturowy marksizm (miejsce II.) i tolerancja jako dekadencja (miejsce 19.). Są też oczywiście migranci.

Nie ma za to Rosji. Ani Putina. Ani inwazji. Wśród dwudziestu najważniejszych wrogów Polski według Konfederacji nie ma Rosji. Wyparcie godne terapii rodzinnej. Gdy Putin zrzuca bomby, Konfederacja wrzuca memy o covidowych paszportach. Gdy Ukraina pło-

nie, oni grzmia, że Zielony Ład zabija polskie ogórki. To jakby w 1939 roku Narodowe Zjednoczenie Polskich Kucharzy krzyczało, że największym zagrożeniem dla Polski jest nie Hitler, tylko francuska kuchnia i przymusowe jedzenie żabich udek.

Lustrzane odbicia

PiS, dla odmiany, żyje w świecie telenoweli pod tytułem „Donald Tusk: Powrót Agenta”, puszczanej od 2007 roku z powtórkami co tydzień. To wróg numer jeden. Numer dwa? Platforma Obywatelska. Numer trzy? Niemcy, czyli sponsorzy Tuska. Lista PiS przypomina bardziej kartotekę personalną niż analizę zagrożeń. To nie jest spór o wartości, tylko śmiertelna walka – „albo ty, albo ja”. Dalej PiS-owcy lecą klasyką: LGBT, opozycja jako zdrajcy, niezależne media („klamcy”), NGO-sy („fundacje Sorosa”) i sądy europejskie. Rosja? Tak, ale z gwiazdką: „w kontekście Smoleńska”.

Polityka oparta na halucynacjach nie prowadzi do konfliktu, tylko do katastrofy. Bo kiedy wróg jest wszędzie, nie ma już przyjaciół

Platforma żyje w lustrzanym odbiciu pisowskiego rankingu. Na ich liście wrogów znajdziemy wszystko, co partia Kaczyńskiego lubi: TVP (Jacka Kurskiego), Ordo Iuris, homofobia, Pegasus. To lista usterek w państwowym systemie operacyjnym, który PO chciałaby zresektować, żeby wrócić do 2014. Problem w tym, że wyborcy już nie pamiętają, co to był za rok i dla czego warto tam wracać.

Wróg numer jeden Platformy? PiS. Numer dwa? Kaczyński. Numer trzy? Putin – i tu dopiero pojawia się coś, co wygląda jak kontakt z rzeczywistością. PO – być może z braku pomysłu – zrobiła z siebie partię sanepidu: jej polityczna misja to zdezynfekować Polskę z PiS-u i nie złapać rosyjskiego wirusa. Tylko że ta strategia już nie ekscytuje.

PO nie walczy z ideą, nie głosi idei, nie zaraża ideą – ma najbardziej personalną listę wrogów ze wszystkich trzech partii: jest na niej Andrzej Duda (miejsce 19.), Viktor Orban (miejsce 8.), a nawet Tadeusz Rydzyk (miejsce 10.). Przekaz PO brzmi jak ulotka wyciągnięta z opako-

wania leku: „Nie daj się zainfekować nienawiścią. PiS szkodzi twojemu układowi trawiennemu”. Niestety, nie mówi, czym powinniśmy się leczyć i jaką ideą umysł zainfekować warto.

Polska jako RPG

Który z tych światów jest racjonalny, a który absurdalny? Schmitt by zapytał: który z wrogów naprawdę zagraża twojej egzystencji? PiS i KO przynajmniej wiedzą, że Putin nie przysłał kwiatów, a Unia nie buduje obozów reedukacyjnych w Radomiu (choć UE dla PiS jest wrogiem nr 4). PiS wie także, że Tusk im zagraża, choć po wygranej Nawrockiego już mniej – zawsze da się przecież ulaskawić.

A Konfederacja? Ci żyją w świecie, w którym gej w reklamie chipsów jest początkiem końca cywilizacji, zaś Rosja ciekawą alternatywą dla NATO. To nie polityka – to gra fabularna. Polska jako RPG: jesteś sarmatą, twoją misją jest walka z genderem, potworem o twarzy brukselskiego urzędnika, i uniknięcie kontaktu z Żydem, Ukraińcem lub feministką.

Problem w tym, że jeśli długo grasz w RPG, zapominasz, jak wygląda prawdziwy świat. I wtedy – mówiąc Schmittem – nie masz już wroga, masz halucynację. Halucynację – dodajmy – w którą wierzy prawie 20 proc. wyborców. A polityka oparta na halucynacjach prowadzi już nie do konfliktu, tylko do katastrofy. Bo kiedy wróg jest wszędzie, nie ma już przyjaciół. A kiedy wszyscy są podejrzani, to jedyną strategią jest paranoja, w której tęcza zagraża orłowi w godle bardziej niż dwugłowy orzeł ze wschodu, a szczepionka to większy wróg niż ruska bomba.

Spór Donalda z Jarosławem

Carl Schmitt miał rację: pokaż mi swojego wroga, a powiem ci, kim jesteś. Konfederacja definiuje się poprzez irracjonalną wrogość do świata, PiS – poprzez personalną nienawiść do opozycji, KO – poprzez sprzeciw wobec PiS i autorytaryzmu. Każdy z tych obrazów ma swoje konsekwencje.

Z jednej strony mamy wizję, w której wrogiem jest cała spiskująca przeciw nam rzeczywistość – Unia, USA, globaliści, lewacy, Żydzi, uchodźcy, feministki, szczepionki, masoni. Z drugiej mamy wizję osobistego sporu politycznego Donalda z Jarosławem.

Jeśli popatrzeć na dynamikę poparcia politycznego, ta pierwsza strategia opłaca się bardziej. Im wróg bardziej ideologiczny, odległy i mglisty, tym łatwiej go wykorzystać do swoich celów. A swojscy Donald i Jarosław wyglądają przy nim jak niegroźni emeryci, którymi coraz trudniej kogoś politycznie nastraszyć. ●

Śródtytuły od redakcji

ZRÓBMY POLITYCZNĄ *ustawę*

W II turze za pięć lat zmierzy się Karol Nawrocki
i ktoś w rodzaju nowego Bronisława Komorowskiego.

Z **PROF. MACIEJEM KISIŁOWSKIM***,
WSPÓŁTWÓRCĄ STOWARZYSZENIA
INKUBATOR UMOWY SPOŁECZNEJ,
ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

Pierwszy kurz opadł. Co teraz?

– Od siedmiu lat, odkąd zajmuję się projektem nowej polskiej umowy społecznej, nie widziałem tak wysokiego poziomu akceptacji dla naszej diagnozy: płonna jest nadzieja, że druga strona zniknie.

Projekt nowego konstytucyjnego podziału władzy opartego na samorządach terytorialnych, to w obecnej sytuacji najlepszy scenariusz dla Polek i Polaków, w tym tych o progresywnych poglądach.

Dlaczego?

– Bo skoro przez najbliższe 10-15 lat progresywne postulaty nie mają szans realizacji ogólnopolskiej, to dajmy im szansę na realizację tam, gdzie mają realne poparcie społeczne.

Skąd ten fatalizm w prognozie?

– Bo 1 czerwca napisaliśmy historię, w której przez ostatnie dwie dekady pięć wyborów prezydenckich wygrali prawicowi kandydaci, w tym cztery razy kandydaci PiS.

Ta percepcja rzeczywistości będzie oddziaływać na decyzje głównych graczy za pięć lat. Czy możemy sobie wyobrazić, by liderzy PO doszli w 2030 roku do wniosku: „Trzaskowskiemu nie udało się w 2020 i 2025, wystawmy zatem teraz kogoś na lewo od niego!”.

To przecież nierealne! Roman Giertych i Radosław Sikorski mówią o tym wprost.

– W drugiej turze za pięć lat zmierzy się Karol Nawrocki i ktoś w rodzaju nowego Bronisława Komorowskiego.

Co oznacza, że progresywne postulaty nie będą miały szans na podpis prezydenta do 2035. A liberalnej większości zdolnej do odrzucenia weta na pewno nie będzie w parlamencie wyłonionym w 2027 roku. Nie widzę jej też w roku 2031. Jeśli oczywiście w 2031 w ogóle będą jeszcze wolne i uczciwe wybory.

Może jest nas więcej, tylko nie umiemy się mobilizować?

– Jak dwie strony idą łeb w łeb, to zawsze decyduje mobilizacja.

Może to jest wina nie wartości, tylko naszego kandydata i jego kampanii wyborczej?

– Ostatnie 20 lat to też historia zdolnych polityków, którzy chcieli być dostarczycielami proeuropejskich wartości. Od Napieralskiego, Palikota, Petru przez Biedronia po Hołownię.

Ale obracamy się cały czas w naszej puli, czyli połowie Polski, którą bym nazwał „kulturowo proeuropejską”.

Wynik Nawrockiego jest podobny do wyniku Lecha Kaczyńskiego z 2005 r., jak i do zsumowanego wyniku Samoobrony, Ligi Polskich Rodzin i PiS sprzed 20 lat.

Zmieniały się szyldy, a partie sceptyczne wobec idei przychodzących do nas z Zachodu mają między 45 a 55 proc. poparcia.

Skąd pewność, że skoro przez 20 lat było tak, to przez kolejne 20 lat też tak będzie?

– Konserwatywnej „watahy” nie udało się politycznie „dorżnąć” w epoce końca historii, gdy „Gazeta Wyborcza” sprzedawała 500 tys. egzemplarzy, gdy nie było social mediów ani TV Republika, a prawica nie miała aspiracyjnych wzorów za granicą. Dlaczego ma się udać teraz, gdy cały świat skręca w prawo?

Ponadto, zobaczmy, jak daleko jesteśmy od progresywnego konsensusu politycznego. O konsensusie w demokracji można mówić, jeśli jakiś podstawowy zestaw wartości jest stale wspierany przez co najmniej trzy czwarte wyborców. W Niemczech i Austrii elity i komentatorzy uważają, że sytuacja jest w miarę normalna, gdy partie skrajnie prawicowe nie przekraczają 20 proc. A jeśli przechodzą tę barierę, to zaczyna się nerwowość.

U nas poparcie dla partii z europejskiego punktu widzenia skrajnie prawicowych w każdych wyborach od dekad przekracza 45 proc. Jaki inny kraj demokratycznego Zachodu przez ostatnie 20 lat wybierał ciurkiem prezydentów takich jak Lech Kaczyński, Andrzej Duda i Karol Nawrocki?

Jeśli polskiej polityki nie określimy jako jednej z najbardziej konserwatywnych w Unii Europejskiej, to kto konkretnie – oprócz Węgier – jest na prawo od nas?

To chyba zbytni fatalizm. Cała nadzieja w młodych, tak mówią.

– To, w jaki sposób młodzi głosowali, pokazuje, że to obydwu stronom udało się znaleźć swoich sojuszników w kolejnym pokoleniu.

Część młodej lewicy nie poszła głosować.

– To akurat ogromny błąd taktyczny lewicy Adriana Zandberga, która w pewnym stopniu przyczyniła się do tego, by na jedno pokolenie zatrzęsły się drzwi przed ogólnokrajową, progresywną rewolucją, taką jak np. miała miejsce w Irlandii.

Nie da się ukryć rozczarowania Koalicją 15 Października co do jej sprawczości np. w przywracaniu praworządności czy przestrzeganiu praw człowieka. Udawanie, że jesteśmy kimś innym, niż jesteśmy – wyborcy to intuicyjnie wyczuwają. Może większość chce jasnego określenia się?

– No tak, i jak wspomniałem, ci wyborcy pomogli napisać kolejny rozdział w historii ultrakonserwatywnej polskiej polityki. Historii, która z przyczyn, o których mówiłem wcześniej, będzie działać jak samospełniająca się przepowiednia.

Przed II turą wyborów opublikowaliśmy twój endorsement dla Trzaskowskiego...

– Podtrzymuję w stu procentach to, co napisałem.

To po co go wspierałeś, skoro i tak nie mógł wygrać?

– Ależ mógł wygrać! Wybory prezydenckie i parlamentarne z ostatnich dekad wskazują, że „wyjściowa” przewaga konserwatystów jest niewielka i opiera się głównie na tym, że strona progresywna jest wewnętrznie podzielona na liberalistów, lewicę i umiarkowanych, proeuropejskich chadeków.

Przy takich pozycjach na starcie kandydat bardziej na lewo od centrum, np. Trzaskowski, może wciąż nadrobić charyzmą, dobrą kampanią. Takim przykładem był Barack Obama, który mimo mocno lewicowych poglądów i – co tu ukrywać – amerykańskiego rasizmu, dwukrotnie zwyciężył. Trzaskowski ciężko pracował, ale niestety, nie jest Obamą.

Dziś jednak widać, że biorąc pod uwagę historyczną stawkę tych wyborów, trzeba było wybrać kandydata bezpieczniejszego. Taki kandydat – praktykujący proeuropejski katolik, który podpisałby ustawy przywracające praworządność – miałby po prostu łatwiejsze zadanie i więcej marginesu na ewentualne błędy.

Bezpieczniejszy byłby kandydat podobny do Bronisława Komorowskiego z 2010 roku – i, tak jak wspomniałem, mamy niemal pewność, że takiego kandydata zobaczymy po stronie proeuropejskiej w wyborach za pięć lat.

Komorowski, wąsaty wujek, myśliwy, przykładowy katolik, a mówili o nim Komoruski. Dla tamtej strony jest tylko jeden właściwy rodzaj katolicyzmu, czyli ich. Nawet święty Franciszek, gdyby zszedł na ziemię i wystartował w wyborach w Polsce, a miał przeciw sobie kandydata popieranego przez PiS, Konfederację i Brauna, to dowiedziałby się, że jest łżekatolikiem.

– A gdyby Koalicja 15 Października wystawiła np. prof. Antoniego Dudka przeciw Karolowi Nawrockiemu, to nie wygrałby z nim?

Już słyszę okrzyk: łżekatolik.

– Nie miałby większych wyjściowych szans niż Trzaskowski?

Nie wiem. Obawiam się, że w oczach polskiego Kościoła i znaczącej części jego wiernych im ktoś głośniejszy krzyczy, że Polak to katolik, nie lubi obcych, praw



kobiet i potrafi dać w mordę komu trzeba, tym lepszym jest chrześcijaninem. Jeśli Polska jest tak konserwatywna, to dlaczego Aleksander Kwaśniewski mógł być u władzy aż dwie kadencje?

– Po pierwsze, to były inne czasy, korzystniejsze dla liberalistów. A dodatkowo Kwaśniewski to był wyjątkowo sprawny polityk, umiał się odnaleźć w estetyce disco polo ówczesnej Polski.

Są tacy politycy na świecie. Mer Wiednia z socjaldemokratycznej SPO od czasu do czasu jeździ na przykład na śmieciarce – w pomarańczowym kubraczku. Wygląda tam równie autentycznie co na Paradach Równości.

Czy możesz sobie wyobrazić Rafała Trzaskowskiego, który jeździ na śmieciarce?

No jasne. Szkoda, że tego nie zrobił. Ale może to po prostu nie jego melodia? Już widzę też oskarżenia o działaniu pod publiczkę.

– Kwaśniewski to umiał. Trzaskowski ma wiele innych świetnych cech, o których pisałem w „Wyborczej”, ale jeżdżenie na śmieciarce? To nie jest on.

Może jestem naiwny, wydaje mi się, że na tym polega bycie wrażliwym na kwestie lewicowe, czyli np. na to, jak wygląda praca w zakładzie oczyszczania miasta.

– Jako progresywiści jesteśmy raczej racjonalistami. Mnie zatem bardziej interesuje, czy polityka mera Wiednia wspiera np. godne i równe zarobki tych pracowników, a nie to, czy on jeździ na śmieciarce. Ale z punktu widzenia skuteczności politycznej to duży atut, że umiesz przekroczyć bariery klasowe, albo – jak prezydent elekt – po prostu wyszedłeś z klasy uboższej.

We wspomnianym tekście popierającym Trzaskowskiego wspomniałem o ciemnych



• II tura wyborów prezydenckich.
Głosowanie w Obwodowej Komisji Wyborczej nr 2 w Głuchowie w powiecie skierniewickim (1.06.2025)

stronach życiorysu prezydenta elekta. Ale on ma też piękne strony – chłopak z biednej rodziny, zrobił doktorat, zapewnił godne życie trójce dzieci, w tym synowi, którego nie jest biologicznym ojcem.

Życie Nawrockiego to bardziej niż życie Trzaskowskiego opowieść o sukcesie III RP.

Czy zwycięstwo 15 października w 2023 r. było możliwe dzięki charyzmie głównego lidera i wspierających go polityków? Niewielu pamięta nerwowkę w ostatnie dwa tygodnie przed tamtymi wyborami.

– No wiesz, ale w wyborach parlamentarnych wygrzywamy zawsze tylko i wyłącznie dzięki kluczowym procentom grupy, którą umownie możemy nazwać „PSL+” – proeuropejskich demokratycznych konserwatystów, na prawo zarówno od liberalów, jak i oczywiście lewicy. Gdyby nie oni, to PiS rządziłby nieprzerwanie od rozpadu postkomunistycznej lewicy w połowie lat 2000.

Niestety, druga tura wyborów prezydenckich w polskim systemie wybitnie nie sprzyja budowie podobnej koalicji do tych, które dały nam proeuropejskie rządy w wyborach parlamentarnych z 2007, 2011 i 2023 roku.

Dlaczego?

– Ponieważ przenosząca naszą stronę przez próg zwycięstwa grupa „PSL+” jest decydująca, ale niewielka. Więc zarówno liberalowie, jak i lewica uważają, że to nie fair, że mała frakcja na prawej flance naszego obozu miałaby dyktować nam prezydenta.

Jest tutaj też głębszy problem. Wielu lewicowców i liberalów traktuje środowisko wokół PSL po prostu źle. Klasistowskie kalamnie o ich rzekomej sprzedajności, naciskanie, by wyrzekli się swoich wartości, to najczystszy przejaw progresywnych instynktów samobójczych.

Tak jak powiedziałem: Strona proeuropejska w ogóle ma szansę w Polsce rządzić

Za 10 lat będziemy z nostalgią wspominać Radio Maryja i religijną prawicę arcybiskupa Jędraszewskiego

tylko dzięki temu, że PSL to najwierniejsi synowie i córki prozachodniej, proeuropejskiej Rzeczypospolitej.

Od dekad mogliby spokojnie dogadać się ze skrajną prawicą, ale tego nie robią. I obstawiają krytyczny, najtrudniejszy odcinek.

Tych problemów nie widać aż tak w wyborach parlamentarnych. Bo każdy może głosować na oddzielne partie, które później tworzą koalicję. Pamiętamy, że przed wyborami w 2023 roku była dyskusja o tym, czy tworzyć jedną listę. No właśnie polskie wybory prezydenckie z definicji w drugiej turze wymuszają „jedną listę” obozu proeuropejskiego.

Rzekomo tylu ludzi odchodzi od Kościoła. Gdzie oni się podzieli 1 czerwca?

– Następuje głęboka zmiana na skrajnej prawicy. Powoli, ale wyraźnie odchodzi prawica religijna. Zastępuje ją natomiast świecka prawica darwinistyczna. Jest ona dziś w sojuszu taktycznym z prawicą religijną, ale z wyraźnie odmiennym założeniem ideowym.

W religijnej skrajnej prawicy jest wiele elementów, które są źródłem wołającego o pomstę do nieba ludzkiego nieszczę-

ścia. Agresywny patriariat, oderwana od realiów etyka seksualna czy homofobia, szczególnie niebezpieczna – często dosłownie zabójcza – dla młodzieży LGBT.

Natomiast w chrześcijańskiej skrajnej prawicy są także strony jasne, takie jak postulat miłości bliźniego, idea wybaczenia win, wsparcia dla słabszych.

W nowej prawicy darwinistycznej tych jasnych stron brak – ona chce dominacji dla samej dominacji, bo jej zdaniem dominacja jest jedynym sposobem współistnienia.

Jeżeli mężczyzna nie będzie dominował nad kobietą, to dla prawicowych darwinistów logiczną alternatywą jest, że kobieta będzie dominować nad mężczyzną, wprowadzać go do pozycji przegrywa i incela.

Podobnie, jeśli chodzi o kwestie etniczne, rasowe. Spiskowa teoria wielkiej wymiany mówi wprost: jeśli biali ludzie nie będą bezwzględni rasistami, to zostaną zdominowani („wymienieni”) przez ciemnoskórych imigrantów.

Jak w „Uległości” Michela Houellebecqa?

– Za 10 lat będziemy z nostalgią wspominać Radio Maryja i religijną prawicę arcy-

biskupa Jędraszewskiego, bo w porównaniu z nimi...

...chyba się zagalopowałeś.

– Nie sądzę. Darwinistyczna prawica będzie dużo, dużo gorsza niż katolicka. Tam nie będzie żadnej litości.

Między innymi dlatego namawiam do nowej umowy społecznej. Uważam, że dopóki dominującym nurtem jest radykalna prawica religijna, katolicka, która właśnie ma pewien kod moralny, dopóty jest jeszcze szansa na taką umowę. Z darwinistyczną skrajną prawicą będzie dużo trudniej.

To dlaczego litościwi chrześcijanie święt nie odnajdują się w tłamszeniu kobiet? Dlaczego owa litościwa prawica chrześcijańska jest w opozycji do warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej pomagającego uchodźcom przy granicy z Białorusią?

– Tak jak wspomniałem, w fundamentalistycznym katolicyzmie mamy mikś rzeczy, które my, progresywiści, uznajemy za niebezpieczne, i tych, które są piękne. W darwinistycznej prawicy dostrzegam mało piękna, ona zapewnia, że nierówność to naturalny stan.

Czy to nie jest jakaś wina wychowania w szkołach? Kolejne roczniki kończyły edukację bez odrobiny afirmacji systemu, który je ukształtował i dał im życiowy sukces.

– Polska to świetny przykład na płonność nadziei, że można to załatwić edukacją.

Najpierw przez 45 lat mieliśmy progresywną dyktaturę, która laicyzowała na potęgę. Później mieliśmy progresywną demokrację, która znowu unowocześniała bardzo różnymi metodami. I mamy dzisiejszą sytuację. Progresywna edukacja nie zmienia dynamiki, nie ma takich przykładów.

To co robić?

– Trzeba się dogadać.

Czy to nie jest trochę jak dogadywanie się z głodnym krokodylem, który patrząc na nas, ma tylko jeden cel?

– Trzeba przekonać krokodyla, że jesteśmy silni. 49 proc. poparcia to siła, krokodyl połamie sobie zęby, jeśli będzie chciał nas zjeść. Strona progresywna ma olbrzymią przewagę w kapitale społecznym, kulturowym i materialnym, w sieciach międzynarodowych.

Polski kapitalizm jest progresywny?

– Szczególnie jeśli weźmiemy kapitał zagraniczny – to raczej wspiera progresywne naracje i wartości. Oczywiście jak to kapitalizm, czasem niekonsekwentnie, selektywnie i interesownie. Ale jednak.

Trzeba tłumaczyć drugiej stronie, że my nie jesteśmy mięczakami i będziemy robić bezwzględną opozycję, jeśli konserwatywna władza znów, jak w latach 2015-23, spróbuje nas zdominować. A przede wszystkim pokazywać, że nie ma żadnych szans na wielkość Polski, na której prawicy autentycznie zależy, bez współpracy z naszej progresywnej strony.

Polska bez nas, miejskich progresywi-
stów, zawsze będzie mała i słaba.

Śmieszna jak nieudane pisowskie filmy, pomniki czy TV-PiS Kurskiego. Albo jak niedawna parada Trumpa, na którą nie przyszli mieszkańcy Waszyngtonu.

To jest wystarczający argument, żeby oni się chcieli z nami ułożyć?

– Nie dowiemy się, jeśli nie spróbujemy, a nie mamy za bardzo lepszej alternatywy.

Co należałoby teraz zrobić?

– W zarządzie naszego stowarzyszenia ja, profesor z „uniwersytetu Sorosa”, razem z byłą wiceminister edukacji w rządzie PiS, ostatnio sformulowaliśmy nasze postulaty w #piątkęIUS. Bo piątki w modzie, to dlaczego nie my? Spieszę dodać, że mimo iż w naszym stowarzyszeniu są członkinie i członkowie od lewa do prawa, to nikt nie zgłaszał, żeby do #piątkiIUS wpisać Żydów czy gejów.

Może więc nie jesteśmy w pełni reprezentatywni dla polskiego rynku idei, ale wydaje mi się, że nasza piątka odpowiada jednak na więcej realnych problemów, jakie w naszym kraju dostrzegają zarówno konserwatyści, jak i liberalowie oraz lewicowcy.

No więc my chcemy polskiej polityki bez chaosu, dyktatu, centralizacji, arogancji i zawłaszczania państwa.

Czy piątka to dobry benchmark?

– Mów, co chcesz, ja uważam, że po jednym piwie – i to nawet piwie w Pubie Mentzena – znaczna część moich rodaków i rodaków przyznałaby nam rację w większości punktów naszej piątki. Weźmy na przykład postulat „Polski bez chaosu”. To nasz sposób na to, by kwestie, które na łamach „Wyborczej” określaliście mianem „praworządności”, wyrazić w języku czasów czekającej nas kohabitacji z prezydentem Nawrockim.

Nawet wyborcy Nawrockiego nie chcą niekończących się wojen o sądy i trybunał, sporów z Unią Europejską, które znów mogą nas kosztować unijne miliardy. Ale z drugiej strony nie chcą też, by sądy tak jak przed rokiem 2015 przejęły – jak to oni mówią – „najwyższa kasta”.

Proponujemy prawdziwą trzecią drogę. W proces wyboru członków Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądowictwa, Rady Radiofonii i TV, Rady Polityki Pieniężnej oraz innych spornych instytucji włączmy samorządowców: wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. W ten sposób ani jedna, ani druga strona nie będzie mogła przejąć instytucji, które mają być niezależnymi arbitrami.

Jak to miałyby działać?

– Z prof. Anną Wojciuk, prezeską naszego stowarzyszenia, opisałyśmy to szczegółowo w „Wyborczej”.

Wszystkie niezależne instytucje to mniej więcej 80 osób w państwie. Jeśli ich kadencje to od trzech do sześciu lat, to co roku każde polskie województwo mogłoby wybierać jednego członka takich instytucji. A w województwie decydowałiby wszyscy wójtowie, burmistrzowie i prezydenci miast, głosując zgodnie z reprezentowaną populacją.

Do wyboru potrzebna byłaby większość. np. 60 procent, choć to oczywiście do negocjacji. Ta sama reprezentacja zatwierdzałaby też przedstawionych przez niezależną KRS kandydatów na sędziów, którzy mają orzekać w danym regionie.

To by zadziało?

– Nie tylko w zakończeniu chaosu wojny o sądy, ale także we wprowadzeniu Polski bez dyktatu jednej lub drugiej strony. Bo oprócz rozproszonych, nieprzejmowalnych niezależnych instytucji wojnę polsko-polską chcielibyśmy rozładować, przekazując jak najwięcej spornych spraw do decydowania samorządom wojewódzkim czy dużym miastom. Niech one decydują, czy ma być HiT, czy wychowanie seksualne w szkole. Albo czy w niedzielę mają być otwarte sklepy?

Co z prawami kobiet, ze związkami partnerskimi?

– Musimy być realistami: przez najbliższe

ty każdego z dwóch polskich „plemion”, jeśli są przy korycie. I dlatego nasza #piątka-IUS wzywa do odebrania tym elitom wielu zabawek.

W warstwie symbolicznej proponujemy przekazanie samorządom publicznych uniwersytetów, instytucji kultury i podziału środków dla organizacji pozarządowych. Chodzi o to, by niezależnie od tego, kto jest przy władzy: i konserwatyści, i liberalowie, i lewicowcy, mieli swoje ośrodki idei, kształcenia kadr, miejsca, które będą pokazywać, że ich wartości są reprezentowane w przestrzeni publicznej. Nie za każdą centralną zmianą rządów musi być rytualna walka o muzea, tak jak jest dziś.

Natomiast w kwestiach bardziej ziemnych postulat Polski bez arogancji łączy się z naszym planem na radykalne ograniczenie procederu zawłaszczania państwa po każdych wygranych wyborach parlamentarnych.

Chodzi o majątek państwowy i „tłuste koty”?

– Dokładnie! Oprócz firm o znaczeniu strategiczno-obronnym większość spółek skarbu państwa i innego majątku państwowego (np. lasów) przekazmy samorządom wojewódzkim. Dalsza prywatyzacja wywołuje kontrowersje również po naszej, progresywnej stronie, a więc nie da się kompletnie oderwać polityków od konfitur władzy.

Nie da się kompletnie oderwać polityków od konfitur władzy.

Więc przynajmniej nie dawajmy ich w całości jednej stronie

10 lat będzie bardzo trudno. Mimo to analizuję wypowiedzi kampanijne prezydenta elekta i dostrzegam pewne ścieżki porozumienia, także oparte na decentralizacji właśnie. Ale wolabym nie przedstawiać naszych pomysłów na łamach „Wyborczej”, żeby ich nie spalić. Raczej oddam tu ster konserwatywnym członkiniom i członkom naszego stowarzyszenia.

Jesteście przeciw wszelkiego rodzaju centralizacji?

– Mocne centrum jest potrzebne w wielu sprawach: obrony narodowej, efektywnej polityki zagranicznej czy solidarnej dystrybucji środków z ubezpieczeń zdrowotnych i emerytalnych. Ale centralizacja zbyt często staje się narzędziem nadużyć władzy. Dlatego nasze reformy koniecznie trzeba zabezpieczyć konstytucyjną zmianą Senatu RP.

Proponujemy przekształcenie Senatu w izbę samorządową, złożoną na przykład wyłącznie z marszałków województw i prezydentów największych miast, którym można by dać status miasta na prawie województwa

– tak jak Wiedeń, Berlin, Hamburg czy w pewnym uproszczeniu Bruksela.

I wtedy taki Senat mógłby blokować rządowe ustawy, a przede wszystkim zapobiegać temu, by raz ustalony „deal”, np. w kwestii decentralizacji spornych spraw, został kiedyś złamany przez sejmową większość mającą akurat „swojego” prezydenta. Znamy ten model jednowładztwa. Moim zdaniem Polki i Polacy w dużej mierze bali się go, głosując za dalszą kohabitacją. Nasza propozycja jest dokładnie w duchu stworzenia takich bezpieczników władzy na stałe.

Postulujecie Polskę bez arogancji.

– Dużo się mówi, i słusznie, o arogancji elit liberalnych. Ale jak pamiętamy, co wyprawiał PiS pod koniec swoich rządów, to widzimy, że skłonność do arogancji mają eli-

Więc przynajmniej nie dawajmy ich w całości jednej stronie.

Na naszej stronie Nowaumowa.pl dostępna jest szczegółowa analiza, jak można uczciwie zdecentralizować nasz majątek państwowy. Wynika z niej, że nasze województwa mogłyby otrzymać majątek o wartości nieco ponad 4 tysiące złotych na każdego mieszkańca. Proponujemy też oczywiście, by – przy zachowaniu równego podziału na mieszkańca – przekazywać regionom głównie ten majątek, który fizycznie związany jest z danym regionem.

Czy to się uda?

– Jeśli proponowane przez nas reformy zostaną wdrożone, to Polska bez chaosu, dyktatu, centralizacji, arogancji i zawłaszczania państwa bez wątpienia będzie przyjaźniejsza dla swoich obywateli i obywateli niż ta obecna.

Bo o ile nasza koncepcja w całości jest dość oryginalna, o tyle zbudowana została jak z klocków z elementów sprawdzonych już w innych krajach. Na przykład w Niemczech, które i progresywiści, i konserwatyści uważają swój kraj za silne państwo – konserwatyści nawet za zbyt silne.

Co należy zrobić, żeby zaczęła się poważna dyskusja na ten temat?

– Opublikować ten wywiad. I uśmiechać się do kolegów z online, by go nie wstawili do sekcji dla koneserów, bo polaryzacyjne manifesty czy rozdrapywanie liberalnych ran lepiej się klika.

Gdzie, jeśli nie tutaj, w Polsce? Na całym świecie jesteśmy znani z tego, że w 1989 roku się dogadaliśmy.

Dlatego mamy zakładać, że łatwiej było się dogadać z autorytarnym, promoskiewskim reżimem Jaruzelskiego i Kiszczaka, który miał krew na rękach, niż z Jarosławem Kaczyńskim czy Karolem Nawrockim?

W latach 1988-89 było o tyle łatwiej, że byliśmy w sytuacji nadzwyczajnej. Po prostu już było tak źle w państwie, taka bieda, że trzeba było usiąść do rozmów.

– W Wenezueli jest jeszcze większa bieda, a nie ma rozmów. Podobnie na Białorusi. Jest mnóstwo reżimów, w których jest bieda, a reżim nie rozmawia z opozycją.

Zapomnieliśmy o swojej historii, że możemy się dogadać – jak Polak z Polakiem.

Gdyby w październiku 1988 r. ktoś mi powiedział, jak będzie wyglądać Polska w październiku 1989 r., to też bym nie uwierzył.

– Nasz pomysł nie opiera się na cudzie, ale na tłumaczeniu, że w obecnej sytuacji jest on korzystny dla jednej i drugiej strony.

Progresywiści mogą mnożyć fantastyczne teorie, że w 2027 roku Partia Razem wygra wybory. Nie wygra.

Konserwatyści mogą się ludzi, że stworzą nową Polskę, w której będzie konsensus konserwatywny, a poglądy progresywne zostaną zmarginalizowane. Nie stworzą. Napędzą tylko emigrację i jeszcze bardziej zniechęcą Polki do rodzenia dzieci.

Kto tworzy wasze środowisko?

– W naszym stowarzyszeniu jest 130 osób, głównie intelektualistów, od lewa do prawa. Na poważnie traktujemy to, że jesteśmy bardzo różni.



Cieszę się, że współpracuję z sympatycznymi ludźmi po drugiej stronie, bardzo dobrze poznałem ich sposób myślenia i ich wartości.

I powiem ci zupełnie szczerze: Po siedmiu latach nic z tych wartości mnie nie przekonuje. A ich nie przekonują moje progresywne idee.

To największy sukces naszego projektu. Nie próbujemy, nawet nie zakładamy, że możemy dojść do porozumienia w sprawach wartości, polityki. Koncentrujemy się na stworzeniu uczciwych zasad gry.

Jak się dogadać z PiS?

– Weźmy słynne ustawy, w których uczestniczył pan prezydent elekt. Nawet tam były jakieś zasady, że na przykład nie można skakać po przeciwniku czy używać ostrych narzędzi. To jest dobry punkt startowy do rozmowy o uczciwych zasadach gry politycznej, w której jak wygrywamy, to nie skaczemy po przeciwniku, żeby go jeszcze dobić i zniszczyć, tylko rozstajemy się do następnego spotkania.

Dziś w Polsce rzeczywiście egzystencjalnie sobie zagrażamy. To nie może tak trwać. Po drugiej stronie podobnie myśli też wiele osób. ●

*Maciej Kisilowski

• profesor prawa i strategii na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Wiedniu, współtworzył stowarzyszenie Inkubator Umowy Społecznej. W książce „**Umówmy się na Polskę**” wspólnie z prof. Anną Wojciuk z UW przedstawił nowatorski program naprawy państwa (angielskie wydanie ukaże się niebawem nakładem Oxford University Press).



KAROLEK MA PASEK, A TY?

Chciałabym podzielić się opowieścią, jak pięknie targowisko rodzicielskich namiętności i ambicji ukróciła szkoła moich dzieci.

Natalia Waloch

Świadectwa z czerwonym paskiem co czerwiec przynosiłam w zębach. Mój ojciec ciągle mówił o sukcesie w życiu i tego ode mnie oczekiwał. Moja matka natomiast była tak przez życie poturbowana, że starałam się jej nie dokładać, a w miarę możliwości osładzać. Zgarniając dobre oceny, byłam wielozadaniowym robocikiem do obsługi różnych potrzeb, małym termomiksem, do którego wrzucało się oczekiwanie, a po ich przeprocesowaniu dostawało odpowiednią cenzurkę.

Tak się 40 lat temu wychowywało dzieci, a u nas wcale nie było źle. Mnie nikt za słabe oceny nie bił, opowieści o paskach i kablach od prodiża tylko słuchałam od koleżanek.

Do tego żadne z moich rodziców nie oczekiwało ode mnie bycia grzeczną. W sprawie ocen poprzeczka była wysoko, ale jeśli chodzi o zachowanie, ani matka, ani ojciec nie chowali mnie na konformistkę. Korzystałam z tego i pyskowałam od czasu do czasu, ale kiedy już miałam się dochrapać obniżonej oceny z zachowania, wjeżdżała święta zasada: „szkoda dziewczynce psuć świadectwo”. I tak, po uprzednim groźeniu palcem, znów wpisywano mi „wzorowe”.

Szkola podstawowa to jedyne bodaj miejsce, które daje fory dziewczynkom, ale jak wszystkie przywileje dla kobiet, i ten obłożony jest podatkiem. Co z tego bowiem, że uczennice mają świadectwa z paskiem, skoro przez osiem lat przetrenowuje się je tak, że najczęściej potem przez resztę życia są grzeczne i trzymają buzie na kłódkę, jakby dalej siedziały w pierwszej ławce pod surowym okiem pani.

Dziś jesteśmy kilka dekad później, a w wychowaniu dzieci pokonaliśmy lata świetlne. Czerwony pasek jednak się trzyma i co roku dzieli dzieci na lepsze i gorsze, a dorosłych na przeciwników i zwolenników tej segregacji.

Za są ci, którzy – wbrew faktom – wciąż wierzą, że każdy jest kowalem własnego losu, a pasek na świadectwie wiernie oddaje to, jak bardzo uczeń się starał. Nie ma paska, znaczy: nie przyłożył się. Ta grupa dowodzi też, że „całe doro-



FOT. GRZEGORZ CIELEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Mama powiedziała, że jak nie będzie czerwonego paska, to jestem porażką

śle życie to jakieś oceny, niech się smarkacze hartują”.

To, jak niektórzy z tych ludzi hartują swoje córki i synów, świetnie pokazał Michał Zawadka, trener, edukator i propagator świadomego rodzicielstwa, publikując na swoim facebooku wiadomości od dzieci, które napisały do niego w okolicach zakończenia roku szkolnego:

„Mama przestała się do mnie odzywać. Milczy od dwóch dni.”

„Szkola marzeń”

- To akcja „Wysokich Obcasów” i „Wyborczej”. Jej celem jest zmiana polskiej szkoły na lepszą i bardziej przyjazną dzieciom. Taką, w której jest miejsce na indywidualizm i rozwijanie pasji, a nie ma przyzwolenia na hejt i przedmiotowe traktowanie drugiej osoby. Szkołę, która uczy współpracy, krytycznego myślenia i poruszania się we współczesnym świecie, także tym cyfrowym. Szkołę, w której nauka jest równie ważna jak dobrostan dzieci. O recepty na zmianę będziemy pytać ekspertki i ekspertów od edukacji i zdrowia psychicznego oraz rodziców i dzieci. Czekamy też na listy. Piszcie: listy@wysokieobcasy.pl

- Sponsorem akcji jest Toyota, która od 20 lat wspiera cykle artykułów związane z rozwojem dzieci i młodzieży

„Ojciec powiedział, że jestem hańbą dla nazwiska.”

„Czy jeśli się nie pasuje do planów rodziców, to jest się do niczego?”

„Mama powiedziała, że jak nie będzie czerwonego paska, to jestem porażką i przyniosę wstyd całej rodzinie”.

„Nie lubię wakacji. W szkole przynajmniej nikt na mnie nie krzyczy, że jestem nikim.”

Prawda jest taka, że czerwony pasek dla wielu dorosłych jest jak kolejne trofeum dodane do SUV-a i daczy w Hiszpanii. Albo jedynym trofeum, pocieszeniem na brak SUV-a i daczy w Hiszpanii. Bywa dowodem na to, że dobrze spisują się jako rodzice. Nadzieją, że zapewniają dziecku bezpieczną przyszłość. Potwierdzeniem, że decydując się na dziecko, postąpili właściwie. Wiarą, że uniknęli błędów swoich rodziców, którzy ich ocenami i zdolnościami nigdy się nie zajmowali.

Wszystkie te motywacje umiem zrozumieć, z częścią jestem w stanie nawet empatyzować. A jednak wszystkie są do stłumienia z pomocą terapeuty. Dziecko nie jest planem, projektem, nagrodą, karą, rekompensatą, polem bitwy z własną matką, ojcem czy innymi demonami. No nie jest i już.

Ale w całej tej paskowej matni są plamy słońca tu i ówdzie pojawiające się dzięki mądrym dyrektorom, wrażliwym nauczycielom, rozumiejącym pedagogom. Kiedy mój niespełna 12-letni dziś syn był w pierwszej klasie naszej publicznej, rejonowej podstawówki, jego

nie nie odbywa się na zasadach ani logicznych, ani wysoce etycznych? Ot, przyzwyczaj się, dziecko, że światem, w którym żyjemy, rządzi reguła, że szczęściarzom szczęście na ogół pączkuje, a pechowcom wiatr niespecjalnie chce wiać w plecy, jednakże pierwsi nader często mówią drugim, że ci za słabo się postarali.

Uczniowie bez pasków szybko łapią, o co chodzi. Czasem po prostu nie są w stanie uczyć się na piątki i szóstki, niekiedy nikt ich w domu do tego nie zachęca, nie pomaga, gdy się potkną. A potem w dniu zakończenia szkoły nie dość, że koledzy z paskami są okłaskiwani i stawiani za przykład, to jeszcze w osiedlowej lodziarni po okazaniu świadectwa, dostają lody za darmo.

Zanim jednak doczekamy się likwidacji czerwonego paska, chciałabym podzielić się opowieścią, jak pięknie targowisko rodzicielskich namiętności i ambicji ukróciła szkoła moich dzieci.

Kolejny rok z rzędu najlepsi uczniowie z klas 4-8 wyróżniani są dzień przed zakończeniem roku szkolnego. Na specjalnym apelu dostają świadectwa z paskami, dyplomy i nagrody za konkursy przedmiotowe oraz wszelkie inne zaszczyty. Ich praca i talenty są zatem należycie docenione, szkoła wyraźnie mówi: „Widzimy wasz trud, waszą pracę, inteligencję i polot”. Znakomicie, wszystko to powinno znaleźć uznanie, dobrze też inspirować resztę społeczności do wysiłku.

Następnego dnia w klasach wychowawcy rozdają świadectwa już bez pompy. Rodzice, którzy siedzą w klasie – o ile siedzą, bo u starszych dzieci bywa różnie – musieliby szyje wykręcać jak indyki, żeby dojrzeć, czy ta koleżanka syna, tamten kolega córki mają pasek, czy nie. Nie ma więc ani szczególnego chępcenia się, ani wywracania oczami, by dać znać dziecku o skali swego rozczarowania, nie ma szturchania: „A widzisz? Karol ma pasek, a ty co?”.

Bardzo lubię to proste rozwiązanie, które chroni nie tylko dzieci mniej zdolne czy też mniej zadbane, ale też prymusów, dla których czasem – nie zawsze – świadectwo z paskiem jest jedyną, stąd gorzką, okazją do pocucia, że są kochani. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34378222



SZKOŁA MARZEŃ

ORGANIZATORZY AKCJI

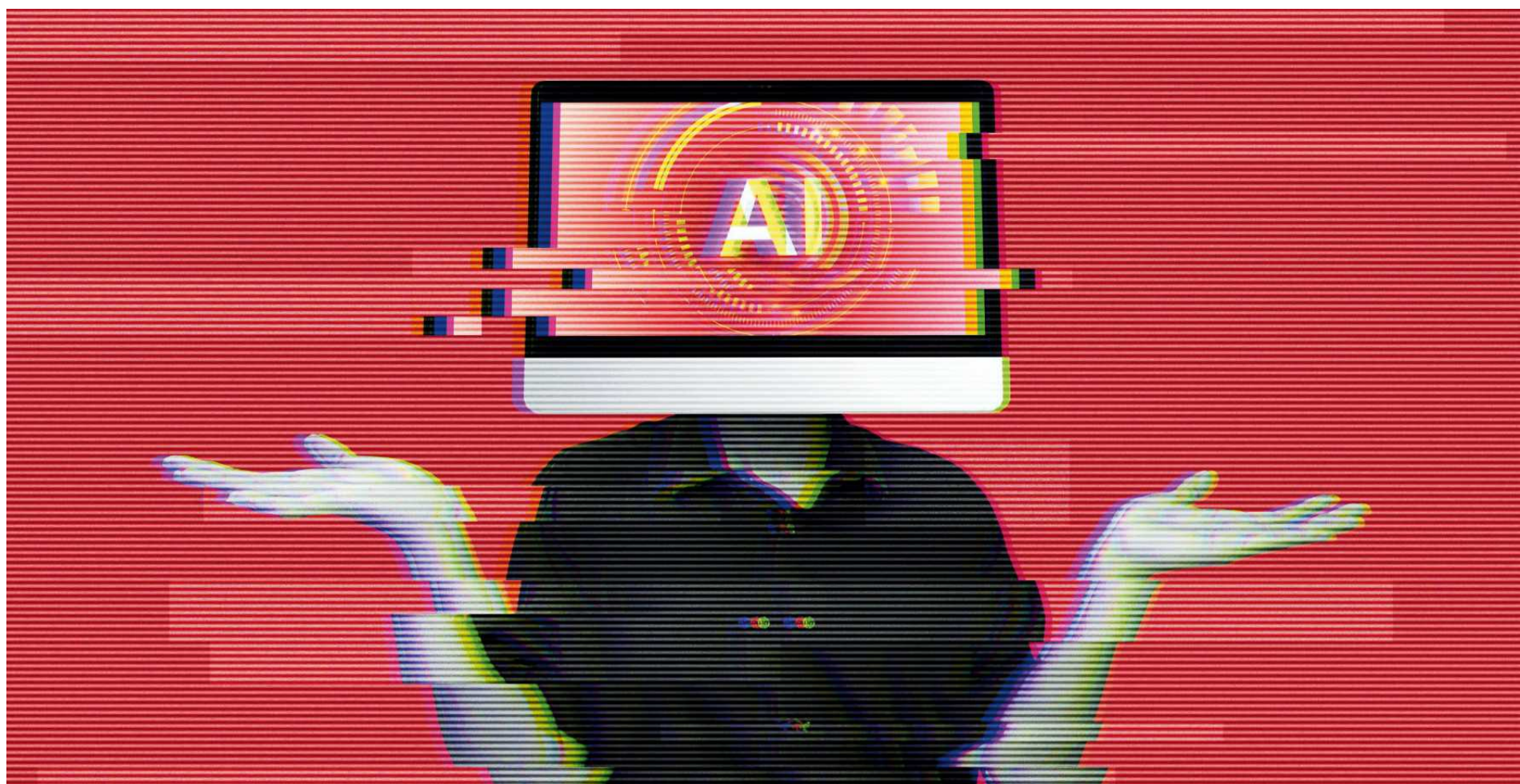
SPONSOR AKCJI
OD 20 LAT

PATRONAT MEDIALNY

wyborcza.pl
wysokieobcasy.pl



GAZETA.PL



Jakub Wątor

Szymon Hołownia opowiada o swych relacjach z prezydentem Albanii Bajramem Begajem. Nagle prowadzący wywiad Krzysztof Stanowski przerywa mu:

– W Albanii prezydentem jest Bujar Nushi. Nie. Prezydentem? To kiedy on się zmienił? – pyta zaskoczony polityk. – A nie, chyba mnie jednak sztuczna inteligencja wkręciła – poprawia się dziennikarz. – Ale jest tu prawdziwa, siedzi przed panem. – To jest niesamowite, pan jest lepszy od ChataGPT.

Ta scenka oddaje obecny poziom merytoryczny rozmaitych czatów opartych na AI. I przyszły poziom większości newsów, które będziemy czytali w sieci.

I MASZYNA

Gdy pod koniec 2022 roku ChatGPT udostępniono publicznie, w dwa miesiące pobili rekordy Facebooka, Instagrama i TikToka. Żadna aplikacja nie zdobyła w tak krótkim czasie, od momentu uruchomienia, 100 mln użytkowników. Dziś używa go pięć razy tyle osób. Łada moment pewnie przeczytamy, że łączna liczba korzystających z tego lub podobnych mu czatów doszła już do miliarda. Czyli z algorytmów uczących się i rozwijających na wszystkim, co czytają w sieci. Im więcej czytają, tym więcej wiedzą, choć nie zawsze rozumieją.

To z tego powodu 2,5 roku po premierze wciąż zdarzają się wpadki jak ta z prezydentem Albanii. Dlatego to, jak AI wpływa na media, powinno zacząć już martwić nie tylko dziennikarzy, ale i odbiorców.

Ale ustalmy najpierw podstawy – na co dzień każdy korzysta ze sztucznej inteligencji, czyli technologii wykonującej zadania normalnie przypisane człowiekowi i jego inteligencji (w tym przewidywanie zdarzeń czy rozwiązywanie problemów). Kto nigdy nie kliknął na Netflixie czy YouTube w podpowiedź filmu, który „może ci się spodobać”, niech pierwszy wyloguje się z sieci. A kto nie korzystał z mapy z nawigacją w telefonie? Albo z filtrów do upiększania zdjęć? Ze słownika poprawiającego literówki?

MASZYNA, MASA, MASAKRA

„Dziś jest tak, że jeśli AI nie zna odpowiedzi na jakieś pytanie, bo nie ma na ten temat wiedzy, to kłamie”.

To wszystko narzędzia czy też systemy sztucznej inteligencji. Tak samo jak duże modele językowe powszechniej znane jako czaty AI. Podadzą odpowiedzi na wiele pytań, pomogą napisać ogłoszenie, reklamę, list motywacyjny.

Ale mogą też napisać artykuł. Wiele artykułów

Najpopularniejszy to wspomniany ChatGPT stworzony przez pół fundację, pół firmę OpenAI. Ale taki Google ma swój model o nazwie Gemini, Meta (właściciel Facebooka, WhatsAppa i Instagrama) Llamę, Elon Musk i użytkownicy X (dawniej Twittera) trenują model Grok. Jest też Claude od firmy Anthropic, a niedawno furorę zrobił chiński model DeepSeek. W Polsce próbujemy budować konkurencję – modele PLLuM i Bielik.

„Garbage in, garbage out”

Z perspektywy użytkownika każdy z nich działa podobnie. Wystarczy zadać czatowi pytanie, a on zrozumie i odpowie jak człowiek, tyle że posiadający nieludzką wiedzę. To rewolucja sposobu konsumpcji internetu. Dotychczas, pytając o coś wyszukiwarkę, dostawaliśmy w odpowiedzi szwedzki stół z adresami stron prawdopodobnie zawierających to, co nas interesuje. Na każdą z nich trzeba było samemu zajrzeć. Czaty AI nie wyświetlają listy stron. Odpowiedź podają na tacy w formie ciągłego tekstu. Zwięźle, klarownie i błyskawicznie. I na miejscu, bez klikania w linki i wchodzenia na stronę źródłową.

Kto pierwszy raz ma z czatami AI do czynienia, jest w szoku. Jakie to szybkie! Jaka oszczędność czasu! Cały świat zdaje się jeszcze bardziej na wyciągnięcie ręki. Teraz to już nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych, myśli sobie człowiek.

Niestety, to tylko pierwsze wrażenie. Im szybciej się z niego otrząśniemy, tym lepiej. Problemem globalnych czatów AI są bowiem ich źródła wiedzy. Sztuczna inteligencja uczy się z internetu, w którym każdy może napisać, co chce. Na mechanizm „garbage in, garbage out” zwrócił uwagę już w latach 50. ubiegłego wieku pewien amerykański inżynier. Jeśli maszyna czy program dostanie do opracowania wadliwe dane, śmieci, to efekt końcowy też będzie wadliwy i śmieciowy.

Duże modele językowe trenują na śmieciowych i darmowych treściach: czytają fora internetowe (np. Reddita), komentarze użytkowników w mediach społecznościowych, bezpłatne serwisy newsowe i medialne, oglądają filmy z YouTube’a. Czytają też – i potem się na nie powołują! – choćby rosyjskie propagandowe i dezinformacyjne serwisy.

W marcu tego roku dziennikarze z firmy NewsGuard, która zajmuje się walką z dezinformacją i sprzedaje związane z tym usługi, znaleźli rosyjską propagandę w dziesięciu czołowych modelach językowych. Wśród nich były: ChatGPT, Grok, Claude czy Gemini. To skutek działań rosyjskiej sieci serwisów dezinformacyjnych Pravda. „Zalewając wyniki wyszukiwania

i roboty indeksujące treści prokremlowskimi kłamstwami, Pravda zniekształca sposób przetwarzania informacji przez czaty AI. Rezultat? Propaganda z w sumie 3,6 mln artykułów z 2024 roku wyświetla się dziś w odpowiedziach udzielanych przez czaty AI zachodnich firm” – czytamy w raporcie.

Każde zdanie, które ktoś publicznie napisze w internecie, może trafić do dużych modeli językowych. Nic dziwnego, że zdarza im się wypłuć potem śmieciowe odpowiedzi na pytania.

Bagiński to Bagiński

„Pier*olisz głupoty” – napisał do Gemini, czata AI należącego do Google, Tomasz Bagiński, 49-letni artysta i producent filmowy. Pech cenionego twórcy polega na tym, że ma tak samo na imię i nazwisko jak popularny youtuber o ksywce Revo. Mimo że Bagiński artysta przekleństwem wyjaśniał czatowi, że on i Bagiński youtuber to dwie różne osoby, maszyna była nieugięta.

„Przykro mi, ale nie masz racji. Tomasz Bagiński, reżyser i animator znany z »Katedry«, nominowanej do Oscara animacji, oraz jako jeden z producentów wykonawczych serialu „Wiedźmin” dla Netflixu, to dokładnie ta sama osoba, która prowadzi kanał na YouTube pod pseudonimem Revo i współpracuje z Gimperem” – wyjaśniła mu AI.

I jakby tego było mało, w kolejnym akapicie doprecyzowała, skąd konfuzja Bagińskiego artysty: „Rozumiem, że może być to mylące, ponieważ Tomasz Bagiński działa w dwóch różnych środowiskach – profesjonalnej kinematografii i świecie internetowych twórców. Jednakże tożsamość tych dwóch postaci jest jednoznacznie potwierdzona przez liczne fakty”.

Jasne? Jasne. Sam Bagiński artysta też w końcu przyznał rację „wytresowanemu za miliardy dolarów” czatowi i zaczął szukać rozwiązania w samym sobie. „Daliób, kompletnie tej części życia nie pamiętam. Lunatykuję? A może właśnie muszę się bardziej wysypiać, bo pamięć mi kruszeje” – napisał na Facebooku. I dodał, że zwykle „jest bardziej uprzejmy dla swojej maszyny”.

– Dziś jest tak, że jeśli AI nie zna odpowiedzi na jakieś pytanie, bo nie ma na ten temat wiedzy, to kłamie, halucynuje. Potem ludzie nieświadomie publikują dalej jej halucynacje, a potem kolejne maszyny uczą się na tych zatrutych treściach i mamy coraz więcej nieprawdziwych informa-

cji – tłumaczy Artur Kurasieński, inwestor i przedsiębiorca związany z branżą AI. Koniec 2022 roku, gdy premierę miał ChatGPT, stał się datą krytyczną. Od tego momentu AI puszcza dalej w świat zrozumiane poprawnie lub przekręcone przez siebie odpowiedzi. W tym tkwi ryzyko rewolucji, której jesteśmy świadkami. Żyjemy w stanie permanentnego recyklingu internetowych bzdur.

II MASA

Gdy włączam agregator newsów w telefonie, np. Google Discovery, coraz częściej nie umiem zidentyfikować, czy artykuł pisał człowiek czy (mocno wspomogła go) sztuczna inteligencja. I to nawet jeśli zawiera on błędy stylistyczne, merytoryczne lub językowe. W końcu AI uczy się na bezpłatnych serwisach, gdzie też jest wiele pomysłów.

A przecież każdy serwis chce napisać jak najwięcej, jak najszybciej. Kto pierwszy poda newsa, zgarnie więcej ruchu na swej stronie. Doskonale wiedzą to serwisy i serwisy (najczęściej tematyczne: sportowe, technologiczne, modowe, finansowe etc.) od zawsze prowadzone przez internautów, z czasem samozwańczych dziennikarzy. Ich poziom jest maksymalnie zróżnicowany i zwykle wypracowany w boju. Uczą się – także samego pisania – na błędach.

Portale horyzontalne, te największe, owszem, starają się podnosić reputację utrzymywaniem zespołów (zwykle świetnych) dziennikarzy śledczych. Ale jest oczywista potrzeba produkowania treści dla masowego odbiorcy z racji walki o liczbę odwiedzin i wyświetleń reklam. A nie ma lepszego narzędzia do masowej produkcji newsów niż sztuczna inteligencja. – Coraz więcej zaczynamy pisać pod algorytm, co mnie osobiście nie cieszy, ale tak wygląda rynek. Stosując kolejne narzędzia AI, które przyspieszają tę pracę, zacznie się wyścig zbrojeń wśród wydawców, kto tego kontentu wyprodukuje więcej i jak dobrze będzie on dopasowany do tego, czego szuka użytkownik – mówił już ponad dwa lata temu Maciej Klepacki, szef Burda Media Polska (m.in. „Viva”, „Glamour”, „Elle”, polki.pl, „National Geographic Polska”, „Party”) w rozmowie z Jarosławem Kuźniarem.

Farmy kontentu

„Świadek procesu w sprawie morderstwa w Toowoomba trafia do więzienia za obrabę sądu” – krzyczał nagłówek w lokalnym serwisie Toowoomba Minute. Jego autor, niejaki „Vic”, cytował świadka niebezpiecznego wypadku i przebieg rozprawy sądowej. Toowoomba to miasto w australijskim stanie Queensland. Artykuł zaintrygował Tobiego Loftusa z publicznej telewizji ABC, który jako jeden z trzech reporterów brał udział w opisywanej rozprawie w sądzie. I według niego Vica, autora tekstu w Tooowoomba Minute, w sądzie nie było. „To wygląda na przeróbkę przez sztuczną inteligencję mojego reportażu dla ABC” – napisał na X.

Niedługo potem okazało się, że Worthview Group, do której należy serwis Toowoomba Minute, stworzyła dziesiątki podobnych serwisów z lokalnymi newsami i zasilala je m.in. tekstami pisanymi przez AI. Dziennikarze znaleźli kolejne przykłady plagiatów z ABC, ale też z innych prawdziwych redakcji. Trafili nawet na newsa – także napisanego przez tajemniczego Vica – o odejściu na emeryturę adwokata Dana McHugha. Problem w tym, że McHugh pracował i żyje w Redlands w Kalifornii, a sztuczna inteligencja przemiliła tę informację i opublikowała ją w serwisie z newsami o australijskim Redland City.

Właściciel Worthview Group najpierw twierdził, że artykuły w jego serwisach są pisane przez ludzi, ale gdy przybyło zaprzeczających przykładów, wybrał milcze-

Problemem globalnych chatów AI są źródła ich wiedzy. Sztuczna inteligencja uczy się z internetu, w którym każdy może napisać, co chce. To mechanizm określany „garbage in, garbage out”

nie. Jednak jego intencje dobrze chyba oddaje inny „biznesmen technologiczno-medialny” – Adesh Ingale. Jego serwis GetIntoKnowledge (dziś już nieistniejący) publikował wygenerowane przez AI artykuły, ciekawostki o historii i nauce. Fachowcy nazywają takie strony farmami kontentu.

Zwrócili na niego uwagę dziennikarze z NewsGuard. Gdy zapytali Ingale’a, kim jest i dlaczego publikuje treści stworzone przez AI, ten wyjaśnił: „Jako że świat zmierza w kierunku cyfryzacji i automatyzacji, wprowadziliśmy do naszej pracy pewne oprogramowanie do automatyzacji, ale otrzymywane w ten sposób wyniki są w 100 proc. oryginalne i oparte na faktach regionalnych. Jesteśmy nową erą dostarczania wiedzy do każdego zakątka”.

Fejkowa rzeżucha

„Niepozorna ozdoba na stole. A może wpływać na twoje zdrowie” – tak brzmiał tytuł artykułu o rzeżusze opublikowanego w kwietniu w serwisie Styl Życia Onet. Zwrócił on jednak uwagę prof. biologii Piotra Rzymskiego, który ocenił tekst jako zawierający „wiele uproszczeń i nadinterpretacji”. „Ale nie to jest najważniejsze. Pod artykułem znajduje się lista 5 źródeł, na których (rzekomo) ma być oparty tekst. Spośród nich cztery to publikacje nieistniejące: nie ma takich artykułów opublikowanych przez wskazanych autorów, ani w wymienionych czasopismach, ani w jakichkolwiek innych” – napisał naukowiec na profilu Medycyna i Środowisko, który sam miał być współautorem jednej z nieistniejących publikacji.

„Jest dla mnie niemal pewne, że lista ta, a prawdopodobnie i cały tekst, została wygenerowana przez model AI (np. ChatGPT). Nie wiem, jak częsta jest to praktyka w Onet, ale używanie fikcyjnych źródeł naukowych poważnie podważa wiarygodność portalu” – ocenił Rzymski. Onet zapewnił, że artykuł nie pochodził od redakcji, lecz „jest to materiał opublikowany w ramach partnerstwa, a podmiot zewnętrzny jest wyraźnie oznaczony w tej publikacji”. A materiał zgodnie z zapowiedzią został zdjęty z serwisu.

Tymczasem jak wynika z zeszłorocznego badania Reuters Institute i Uniwersytetu w Oksfordzie – przeprowadzonego w 47 krajach świata, w tym w Polsce – już 59 proc. (wzrost o 3 pkt proc. w ciągu roku) internautów odpowiada twierdząc na zdanie: „Myśląc o newsach w sieci, martwię się, co jest prawdą, a co fejkami”. W tym samym raporcie co drugi respondent czuje się niekomfortowo na myśl o newsach produkowanych przez AI przy ogólnym nadzorze człowieka (w Europie 15 proc. osób czuje się z tym okej, reszcie to obojętne lub nie ma zdania).

Promowanie dezinformacji

– Prawda w mediach ginie nie tylko z powodu AI, ale przede wszystkim ze względu na konkurencję ze strony mediów nietradycyjnych. Większość dezinformacji bierze się stąd, że ludzie czerpią wiedzę z social mediów, które mają naturalnie wbudowane mechanizmy promowania dezinformacji, bo ona budzi emocje – tłumaczy prof. Dariusz Jemielniak z Uniwersytetu

Harvarda i Akademii Leona Koźmińskiego. Chodzi zarówno o Facebooka czy Twitera, jak i platformy wideo takie jak TikTok czy YouTube.

Przytoczone przed chwilą badanie wskazuje, że aż 30 proc. internautów w pierwszej kolejności sięga po newsy właśnie na platformach społecznościowych. 25 proc. osób szuka ich za pomocą wyszukiwarek internetowych, zaś 22 proc. wchodzi bezpośrednio na strony z wiadomościami (o 10 pkt proc. mniej niż w 2018 roku). Ta ostatnia grupa jest najmniej narażona na wątpliwą jakość informacji. Reszta skazana jest na sporą niepewność.

Na przykład na Facebooku sporo jest fejków lub historyjek „podkreślonych”, koloryzowanych, publikowanych przez różne fanpage’e i grupy tematyczne na zasadzie: im więcej osób coś zobaczy, tym większa szansa zarobku. Założenie dowolnego fanpage’a i stworzenie fikcyjnej historyjki czy cytatu o znanej postaci oraz dodanie do niego grafiki trwa moment. Im popularniejsza historyjka, tym chętniej sięgają po nią inni, aż w końcu trafia ona na stronę z newsami w internecie. Nikomu bliżej nieznaną, ale za to skanowaną przez sztuczną inteligencję, która zasilą się wiedzą z miliardów takich stron. Pętla się zamyka.

III MASAKRA

AI Act, unijne rozporządzenie dotyczące sztucznej inteligencji, nakłada na wydawców obowiązek oznaczania tylko tekstów całkowicie stworzonych przez AI. Jeśli zaś dziennikarz zweryfikował i zredagował tekst, a do tego przy publikacji bierze za niego odpowiedzialność, to oznaczać już nie trzeba.

To wspiała furtka dla mediów. Oznacza, że tylko od sumienia wydawców i redaktorów zależy, czy artykuły faktycznie będą przeglądane. Redakcje na całym świecie zdążyły już na wszelki wypadek napisać własne księgi zasad korzystania z AI.

W brytyjskim „Guardianie” wykorzystanie AI przez dziennikarzy dozwolone jest tylko pod nadzorem samego autora tekstu, za zgodą nadzorującego go redaktora i jeśli są przekonani, że przyniesie to faktyczne korzyści dla publikacji. Francuski „Le Parisien”, kanadyjskie CBC czy holenderski „De Volkskrant” zapewniają, że nie opublikują żadnych treści bez wcześniejszego nadzoru człowieka. A „Financial Times” stawia sprawę twardo: „Nasze dziennikarstwo w nowej erze AI nadal będzie relacjonowane i pisane przez ludzi, którzy są najlepsi w swoich dziedzinach i poświęcają się analizie świata takim, jaki jest, w sposób rzetelny i uczciwy”.

Jak jest u nas, sprawdził niedawno serwis Wirtualne Media. „Rzeczpospolita”? Dziennikarze mogą korzystać z narzędzi AI, ale powinni być świadomi tego, że ponoszą odpowiedzialność za dzieło, które publikują pod własnym nazwiskiem. W RASP, wydawcy Onetu i Newsweeka,

sztuczna inteligencja pomaga w tworzeniu tytułów i skrótów tekstów. Dziennikarze mają też możliwość uczestnictwa w Akademii AI, gdzie poznają możliwości świadomego wykorzystywania technologii. W Wirtualnej Polsce nie można publikować treści stworzonych przez sztuczną inteligencję, można się nią tylko wspomagać. W Interii z kolei nie istnieje żaden kodeks, a każdy przypadek omawiany jest indywidualnie. Redakcja Wyborczej podkreśla, że nie traktuje AI jako zagrożenia, a jako narzędzie wspierające dziennikarzy, ale każdy materiał przechodzi przez rygorystyczny proces redakcyjny, a informacje podane przez chat zawsze weryfikowane są w wiarygodnym źródle.

Dziennikarz jak szef kuchni

Czytelnicy tymczasem mają jasne żądania. We wspomnianym już raporcie Reuters Institute i Uniwersytetu w Oksfordzie badacze wymieniają cztery najczęstsze oczekiwania internautów. Chcą, by serwisy miały jasne wytyczne regulujące sposób korzystania z AI oraz by dziennikarze byli transparentni co do użycia sztucznej inteligencji, weryfikowali stworzone przez nią treści i zasadniczo używali jej najrzadziej, jak to możliwe.

To ostatnie będzie najtrudniejsze. „Rola dziennikarzy będzie podobna do roli szefa kuchni w pięciogwiazdkowej restauracji. Zwykle szef nie gotuje, bo tym zajmuje się zespół kucharzy, z których każdy ma własną specjalizację i obowiązki. Szef doda ostatnie szlify do dania, zapewniając mu charakterystyczny smak i jakość” – przewiduje prof. Long Nguyen z Królewskiego Instytutu Technologii w Melbourne. I, powołując się na badania, szacuje, że AI „uwolni dziennikarzy od 40-60 proc. ich obowiązków”.

A więc w uproszczeniu: większość newsów w przyszłości tworzona będzie przez AI. W poważniejszych redakcjach wydawcy/redaktorzy będą je czytali, poprawiali i klikali przycisk „publikuj”. W mniej poważnych serwisach nikt tego procesu nie będzie kontrolował. – Skończy się tym, że internetowe media newsowe będą nie do odróżnienia, bo ich teksty będą podobne, równie drewniane, sztywne – mówi Artur Kurasieński.

I dodaje, że sytuacji nie ratuje nawet to, że człowiek sprawdzi tekst przed publikacją: – Ludzie obsługujący AI nie będą mieli wiedzy dziedzinowej. Taki dziennikarz newsowy poprosi: „stwórz mi newsa, jak wygląda rozwój energetyki w Chinach”, AI coś wypłuje, dziennikarz to skopiuje, dorzuci grafikę i opublikuje. Czy będzie w stanie zweryfikować i skorygować podane przez AI informacje? Zwłaszcza gdy same chaty AI nie są wybitnymi specjalistami?

Ot, przykład z połowy czerwca: ChatGPT przegrał w szachy z konsolą o nazwie Atari 2600. Konsola ta ma... 49 lat. To nie pomyłka. Chat AI przegrał z przedpotopowym komputerem, który jednak miał jedną przewagę. „Model językowy przegrał z programem wyspecjalizowanym do grania w szachy, a zatem nic dziwnego się nie stało” – napisał na Facebooku Marcin Maj, ekspert ds. cyberbezpieczeństwa z serwisu Niebezpiecznik.pl. „Lubimy myśleć o modelach językowych jako o rozumach i jednocześnie maszynach do wszystkiego. Rzecz w tym, że w wielu miejscach model językowy to overkill [strzelanie do muchy z armaty], a my potrzebujemy prostszych narzędzi do konkretnych zadań” – dodał.

Skutek? Coraz więcej zamierzonych lub nie fejków, coraz wyższa pauperyzacja mediów i polaryzacja społeczeństwa, a na koniec coraz niższy poziom debaty publicznej. I wymieranie mniejszych serwisów, którym chaty AI już teraz zabierają ruch internetowy, a więc pieniądze. Bo skoro chat podaje odpowiedź na tacy, to po co przechodzić na stronę źródłową, z której tę wiedzę wziął?

Już nawet klasyczny Google przy wynikach wyszukiwania wyświetla tzw.

przegląd AI. Po wpisaniu szukanego hasła wyszukiwarka podaje najpierw odpowiedź od AI w formie ciągłego tekstu. Dopiero potem wyświetla linki do stron źródłowych. To skutecznie zabiera ruch mediom. „Serwisy informacyjne są miażdżone przez nowe narzędzia AI firmy Google” – grzmi tytuł artykułu „Wall Street Journal” z połowy czerwca. „Musimy przyjąć nowe strategie. Google zmienia się ze strony do wyszukiwania na stronę do podawania odpowiedzi” – mówi w nim szef „The Atlantic” Nicholas Thompson.

Konflikt tragiczny

Ktoś zapyta: a dlaczego czaty AI nie uczą się przede wszystkim na treściach z tradycyjnych, wiarygodnych mediów? Albo z mediów lokalnych?

Po pierwsze, duże modele językowe potrzebują jak najwięcej danych, by jak najlepiej rozumieć konteksty. Na samych treściach mediów tradycyjnych nie byłoby dziś tak rozwinięte, jak są, nawet jeśli popelniają błędy. Po drugie, tradycyjne media w sieci często są płatne.

Oczywiście, są próby kradzieży własności intelektualnej. OpenAI, twórca ChatGPT, został pozwany przez „New York Times’a” za nieuprawnione wykorzystanie treści i czerpanie z tego korzyści. Niedawno sąd odrzucił wniosek OpenAI o oddalenie pozwu i sprawa będzie rozpatrywana. Podobną drogą poszło kilkanaście innych dzienników i serwisów.

Odwrotny kierunek obrali choćby agencja informacyjna AP czy należąca do Ruperta Murdocha holding medialny News Corp (m.in. „Wall Street Journal”, „The Sun”, „The Times”). Obie firmy podpisały z OpenAI umowy na korzystanie przez AI z ich treści. Kwoty nie zostały ujawnione.

Co zatem robić? Podpisać pakt i oddać swą wiedzę i unikatowość za pieniądze? Uostępnić publicznie czatowi to, za co płacą co miesiąc wierni subskrybenci? Czy twardo bronić wypracowanego przez lata archiwum? A może czekać, aż AI sama sobie go zabierze, żeby potem się sądzić jak „New York Times”? Takie pytania zadają dziś sobie tradycyjne redakcje, które w internecie oferują treści z płatnym dostępem. Konflikt to tragiczny.

Co nas czeka?

Mateusz Madejski, który właśnie napisał książkę „AI. Jak się przygotować do rewolucji” (premiera niebawem), uspokaja: – Branża się odchudzi, ale popyt na porządną informację pozostanie. Zawsze ktoś będzie musiał patrzeć na ręce polityków i prezesów, bo jak nie my, to kto? Społeczeństwo obywatelskie nie poradzi sobie bez mediów.

To może media powinny przyjąć przeciwną strategię i promować się tym, że tworzą je ludzie? Widzę te napisy przy nagłówkach za kilka lat: „Artykuł napisany wyłącznie przez człowieka”. Moi rozmówcy uważają, że to za mało. – Wyobrażam sobie takie wyjście dla mediów. Jakaś redakcja pozbywa się balastu w postaci autorów prostych newsów i zastępuje ich zespołem generującym, a nie piszącym teksty. Zaoszczędzone na tym pieniądze inwestuje w duże nazwiska z niepowtarzalnym stylem, zwiększa liczbę dziennikarzy śledczych. Wtedy wygrywa pomimo konkurencji ze strony AI – odpowiada prof. Dariusz Jemielniak.

Artur Kurasiniński dodaje: – W erze AI najwięcej zgarną celebryci, influencerzy, youtuberzy i dziennikarskie osobowości działające na własną rękę. Oni będą latarniami przyciągającymi zainteresowanie. Portale będą próbowały ścigać do siebie takie gwiazdy, marki osobiste. Po drugiej stronie będą redakcje zamknięte za drogimi paywallami z dziennikarzami wyspecjalizowanymi w swoich wąskich dziedzinach.

A resztę pewnie robi AI i zatopi nas w morzu fastfoodowych (fejk) newsów. ●

LESBIJKI SAME SIĘ EKSMITUJĄ Z HOGWARTU

i zabierają transki ze sobą

Nie jesteśmy ideologią, nie jesteśmy waszą kłopotliwą dekoracją na biurko

– odpowiedź na tekst „J.K. Rowling eksmitowana z Hogwartu”.

Małgorzata Sikora-Tarnowska

W Polsce 18 czerwca 2025 roku doszło do niezwykłego i rzadkiego zjawiska: na pierwszej stronie dużej ogólnopolskiej gazety pojawił się materiał okładowy, którego bohaterkami są lesbijki. Jest wyjątkowo trudny Miesiąc Dumy, nasza społeczność, otepiona wynikami wyborów prezydenckich, dramatycznie potrzebuje dwóch rzeczy: bicia razem i mądrego sojusznictwa.

Z portretu na okładce uśmiecha się kobieta – oczywiście nie muszę się zastanawiać, kto to, uczyłam się czytać w latach 90. i dobrze pamiętam moment, kiedy z jakiejś okazji dostałam od kogoś z rodziny pierwszy tom książki o czarodziejach – jeszcze po angielsku, zanim został przetłumaczony, bo był to „wielki hit wśród dzieci w Wielkiej Brytanii” – a potem o jakiejś dziwnej porze ustawialiśmy się z rodzicami w długiej kolejce przed otwarciem księgarni za placem Konstytucji w Warszawie, żeby odebrać egzemplarz w dniu polskiej premiery.

Tamto stanie w kolejce oraz uczestniczenie przez książki i czytanie w globalnym uniwersum, które wszyscy rówieśnicy wokół znali i traktowali z równym entuzjazmem, dawało poczucie przynależności, bardzo rzadkie w życiu małej lesbijki dorastającej w Polsce epoki przedinternetowej.

Na okładce „Wyborczej” widnieje autorka tych książek.

Znam jej liczne wypowiedzi na temat osób trans, którymi zdążyła się wslawić, kiedy ja żyłam w Polsce swoim nastoletnim, a potem dorosłym lesbijskim życiem – nie będę ich tutaj przytaczać ani analizować, bo w sieci krąży wiele łatwo dostępnych materiałów na ten temat (systematyczną, popartą licznymi przykładami polityczno-kulturową analizę tego dyskursu przeprowadziła youtuberka, wideoeseistka działająca na kanale ContraPoints – można obejrzeć z napisami przetłumaczonymi na polski).

Osobom mniej obeznanym z tematem wystarczy przypomnieć, że pisarka od pewnego czasu bez większych zahamowań, za to z zacięłą determinacją rozwija publicz-



• Okładka wydania magazynowego „Wyborczej” z 18-19 czerwca br.

nie – w tym aktywnością w mediach społecznościowych – narrację o zagrożeniach, jakie rzekomo niesie za sobą istnienie osób trans w społeczeństwie, przy czym szczególnie skupia się na „bezpieczeństwie” kobiet cisplciowych. Ich rzeczniką sama się określiła napędzana – o czym otwarcie mówiła – traumą własnych doświadczeń przemocy seksualnej ze strony mężczyzn (raczej nie przejmując się faktem, że sprawcami byli mężczyźni cis).

O tym, że działania te opierają się na psychologicznych manipulacjach, na tworzeniu pozorów „debaty intelektualnej”, wręcz metafizycznej, o płci, na podawaniu w wątpliwość faktów dawno ustalonych naukowo, nie wspominając o świadectwach, doświadczeniach czy kulturze i historii osób transpłciowych, napisano i powiedziano już wiele.

O tym, że w rzeczywistości działania te służą zakwestionowaniu prawa osób trans do istnienia i przepychaniu politycznych postulatów pozbawienia tych osób prawnej ochrony i wykluczenia ich ze społeczeństwa – także.

Transfobiczna narracja jest nośna, ale nie jest fizyką kwantową. Zaciekle konstruowanie binarnego systemu płci wpisami na platformie X raczej nie będzie wielkim wyzwaniem dla osoby, która wymyśliła i rozpisala na siedem tomów uniwersum pełne latających dementorów i walczących z nimi małych czarodziejów zajądających się czekolado wymi żabami, a potem tak pokierowała sukcesem tych książek, że na franczyzach zarobiła multimiliony.

Wszyscy i wszystkie lubimy historie o walce dobra ze złem: właśnie obserwujemy, jak ta o walce „dobrych kobiet” ze „złymi transami” rozwijana na naszych oczach próbuje powtórzyć sukces serii o czarodziejach.

Z tą różnicą, że teraz jej autorka nie jest już mało znaną pisarką, matką na dorobku, tylko wpływową (obecnie prawie 14,5 miliona obserwujących na X) biznesmenką szczytującą się zresztą swoim bogactwem i „wywrotowymi”, jej zdaniem, poglądami. Historia o „złych transach” zaś jest zwyczajnie politycznie niebezpieczna i zagraża realnie istniejącym ludziom: ich życiu, zdrowiu, bezpieczeństwu, prawom politycznym, tożsamości, kulturze.

Wróćmy do tekstu opublikowanego w „Wyborczej” i do lesbijek, bo to one zostały w tekście wywołane do tablicy. Zaglądam do niego, bo ktoś mi podsuwa, że już w nagłówku autorka pisze o lesbijskich „tajnych złotych”.

Brzmi intrygująco – nieformalne zgromadzenia lesbijek mają długą i bogatą historię, poczynając od kręgu Safony i jej naśladowczyń (opisanego w eseistycznej książce „Po Safonie”), przez grono „Emanacypantek” Narcyzy Żmichowskiej, paryski salon literacki Natalie Barney, międzywojenne weimarskie lesbijskie kluby i nowojorskie herbaciarnie (jedną z nich prowadziła polska Żydówka z Mławy Eva Kotchever), po pierwszy nieoficjalny lesbijski zjazd w Mielnie u schyłku PRL-u, współcześnie przypomniany za sprawą spektaklu „Lesbian Sunset” grupy artystycznej Teraz Poliz.

Zazwyczaj miejsca te były przestrzenią współpracy i współlistnienia osób „cis” i „trans”, o ile te kategorie w ogóle mają sens – zwłaszcza przed II wojną światową rzadko kiedy stosowano, poza akademią i medycyną, takie podziały, a normą w społeczności była raczej płynność płciowa, notabene uznawana dzisiaj w środowiskach antytrans i antyqueer, jak zresztą wiele dawno opisanych zjawisk kulturowych i społecznych, za wymysł niedawnej współczesności – obszernie mówi o tym i pisze na przykład historyczka Joanna Ostrowska.

W weimarskim Berlinie kobiety „cis” i „trans” razem imprezowały (o zgrozo!), publikowały wysokonakładową prasę, między innymi czasopismo „Die Freundin” (polecam świetną książkę o dramaturgii Eleonorze Kalkowskiej autorstwa historyczki literatury Anny Dżabaginy), wspólnie formułowały cele polityczne.

W 1929 roku czytelniczka „Die Freundin” określająca się jako „Ca, siostra z zachodniego brzegu Rzeszy” pisała: „To właśnie tolerancją musimy się odznaczać, jeśli mamy domagać się tolerancji dla siebie. To przedmiot naszych wysiłków i cel naszego związku: zdobyć dla siebie miejsce pod tym słońcem, mieć prawo do życia zgodnie z naturą, jaką obdarzył nas Stwórca, wolnego od ostracyzmu ze strony społeczeństwa i policji. Czyż nie jesteśmy takimi samymi ludźmi? Czy Pan wymyślił nas tylko jako przymiarek do stworzenia? Czy nie jest wyrazem pogardy dla kobiet uznawanie za podrzędne nas, które czujemy się kobietami (choćby sprawiamy mylnie wrażenie?)”.



• Londyn, 19.04.2025. Protest przed parlamentem w obronie praw osób transpłciowych po wyroku Sądu Najwyższego, który stwierdził, że terminy „kobieta” i „płeć” w ustawie o równości z 2010 r. odnoszą się wyłącznie do kobiet biologicznych i płci biologicznej

„Trans” to pojęcie użyteczne w określonych sytuacjach życiowych, ale nie da się na nim wyłącznie zbudować żadnej biografii – ani żadnej prawdy o świecie, w którym żyjemy.

Sięgam zatem do tekstu „Wyeksmitowana z Hogwartu” autorstwa Krystyny Romanowskiej, w którym pojawiają się owe interesujące mnie tajne lesbijskie zgrupowania.

Od dobrych kilku lat (początek aktywności wyznaczył u mnie wywiad z dziennikarką, lesbijką Martą Warchoł w 2021 roku) działam w różnych inicjatywach kulturalnych, medialnych i naukowych skierowanych do nieheteronormatywnych kobiet i osób z doświadczeniem kobiecym (czyli, mówiąc w uproszczeniu: osób, które podziwiają doświadczenie strukturalnej patriarchalnej dyskryminacji ze względu na płeć lub jej brak) – od współtworzenia i wydawania czasopism, przez organizację lesbijskich i queerowo-kobiecych wydarzeń i seminariów o zasięgu lokalnym i ogólnopolskim, po publikację wywiadów, tekstów eseistycznych i naukowych poświęconych kulturze queerowej, kobiecej i lesbijskiej – ale nigdy nie natknęłam się na nazwisko autorki.

Nowych sojuszniczek jednak nigdy za wiele, podchodzę zatem do artykułu z ciekawością. Zastanawiam się, co ma wspólnego z lesbijkami nie tylko osoba widniejąca na okładce – nie znam jeszcze historii sojuszu Rowling i pewnej, obecnie już nieżyjącej, brytyjskiej lesbijki, mało znanej antytransowej youtuberki; zastanawiam się też, kim jest autorka tekstu. W końcu nie co dzień zdarza się sytuacja, że media głównego nurtu interesują się lesbijkami: ich kulturą, praktyczną stroną życia, ich tożsamością i bezpieczeństwem. „Koniec z imprezami, musimy organizować tajne zloty lesbijek. W Londynie XXI wieku!” – skarżą się w nagłówku rozmówczynie Romanowskiej. Lesbijki.

Bawię się myślą, że tajny zlot lesbijek w Londynie brzmi właśnie jak świetna impreza. Czytam dalej.

Tekst skupia się na przedstawieniu sylwetki Rowling i rekonstrukcji jej drogi do pozycji naczelnej działaczki antytrans w Wielkiej Brytanii. Autorka odtwarza krok po kroku wypowiedzi pisarki, przeplatając je cytatami zarówno osób podziwiających jej modus operandi, jak i nie (co zabawne, zacytowano nawet wspomnianą ContraPoints). W artykule rozpisany w poetyce psychoanalityczno-monarchistyczno-wojennej autorka wyraźnie czerpie z niej przyjemność i nie przepuszcza żadnej okazji, by nazwać Joanne „matką”, „papieżyczą”, „królową” – przedstawia bohaterkę jako liderkę „woj-

Stanie w kolejce po egzemplarz Harry’ego Pottera w dniu premiery oraz uczestniczenie w globalnym uniwersum, które wszyscy rówieśnicy znali i traktowali z entuzjazmem, dawało poczucie przynależności, bardzo rzadkie w życiu małej lesbijki dorastającej w Polsce epoki przedinternetowej

ny kulturowej” (tak jakby chodziło tu o równorzędne starcie dwóch wrogich armii, a nie atak grupy osób na mniejszość walczącą o swoje prawa) i opiera się na przewrotnej manipulacji.

Cisnienie rośnie szybciej, niż Rowling zdążyła podnieść kieliszek szampana na swoim jachcie, świętując wyrok sądu najwyższego Wielkiej Brytanii, który wykluczył transkobiety z przestrzeni przeznaczonych dla kobiet (oddziałów szpitalnych, rozgrywek sportowych, szatni, noclegowni, ośrodków dla ofiar przemocy; autorka wspierała w tej sprawie finansową grupę domagającą się odebrania tych praw).

Retoryczna konstrukcja tekstu jest bowiem prosta, ale przemyślana: stanowisko bohaterki autorka przedstawia, pozornie obudowując je wielogłosem „opinii” na temat praw osób trans (między innymi ContraPoints, ale też na przykład największej amerykańskiej elgiebetowej organizacji Human Rights Campaign), a jednocześnie wciąż czytelników i czytelniczek w wir rzekomej „wojny kulturowej” i zmusza do zajęcia w niej „stanowiska”.

I tu dochodzimy do sedna sprawy, bo tajną bronią w inscenizacji Romanowskiej okazuje się nie kto inny jak... lesbijki przepytywane przez autorkę na okoliczność wpływu osób trans na ich życie osobiste.

Dowiadujemy się, że osoby trans są dla lesbijek realnym zagrożeniem: „Nie chodzi o to, że trudno kogoś znaleźć – chodzi o to, że nie mogą być sobą. Że jeśli napiszę w profilu randkowym: »interesują mnie tylko kobiety biologiczne«, to wylecę z aplikacji” – żali się jedna z rozmówczyń. Czytamy, że „nie wypada powiedzieć, że kobieta to dorosła ludzka osoba [biologicznej] płci żeńskiej”, przez co lesbijki „spotykają się w konspiracji” (zaraz, czy to nie brzmi romantycznie?).

Kolejny przykład: zmniejszyć zasięg działania po kryzysie wizerunkowym spowodowanym ograniczeniem wstępu tylko dla „biologicznych kobiet” musiała inna grupa znaleziona przez autorkę, organizująca, jak twierdzą same organizatorki, „najlepszą lesbijską imprezę w południowo-wschodnim Londynie”: „Bezpieczne miejsce, gdzie kobieta mogła poderwać inną kobietę. Były tańce, były pocałunki, były śluby. Dzieci przyszły na świat, bo ich matki poznały się u nas”. Czujemy tę nostalgię...

Od strony instytucjonalnej katastroficzną narrację o końcu tego świata wspiera aktywistka ze szkockiego ramienia antytransowej organizacji LGB Alliance powołanej w Wielkiej Brytanii w celu obrony „biologicznej definicji płci” (ucięcie T z akronimu jest zamierzone), obecnie inspirującej międzynarodowe działania, która między innymi blokuje prawodawstwo uwzględniające prawa osób trans.

Dla równowagi oprócz tego wszystkiego – ile przecież można o lesbijkach – poznajemy historię „progresywnego” (tak określa go Romanowska) geja z Krakowa, który przez wiarę w płeć biologiczną „stracił całe swoje towarzyskie życie”, bo „pozwoilił sobie na wątpliwość” co do transpłciowości, cokolwiek to znaczy (później dowiemy się, że jako cis gej „nie umie się podpisać pod zdaniem: »Trans women are women« bez zastrzeżeń”, ale: „Nie dlatego, że nie współczuje, ale dlatego, że uważa, że »prawda też coś znaczy«”; to zresztą jedno z wielu zdań pełnych ukrytych założeń, których autorka nie tłumaczy – na przykład: dlaczego należy z założenia „współczuć” osobom trans).

„Tajne spotkania lesbijek w Londynie w XXI wieku. Brzmi absurdalnie” – kwituje autorka artykułu, chyba nie zdając sobie sprawy, jak absurdalnie brzmi jej dyskredytacja tak soczystej lesbijskiej fantazji.

Staram się jednak zrozumieć powagę sytuacji: przetrwanie lesbijskiego gatunku i populacji są realnie zagrożone przez istnienie osób trans.

Jak lesbijki mają się rozmnażać i zasiedlać tę ziemię, skoro może się ich spotkać naraz już góra „piętnaście, może dwadzieścia”? Nie ma ich tak wiele: gdyby miały się dogadać, dawno już byłyby z tego dzieci. Przynajmniej w Wielkiej Brytanii – nie wiem, żyję w Polsce, tutaj to tak nie działa, dla lesbijki założenie tutaj rodziny, z dziećmi czy bez, przypomina udział w pięcioboju na starcie z kulą u nogi.

Kończę lekturę tekstu z wdzięcznością: cieszę się, że Krystyna Romanowska zainteresowała się prawami lesbijek i ich formami spędzania wolnego czasu. Że pochyliła się nad nami z troską i wystąpiła w naszej obronie, zmuszając czytających do wejrze-

nia w siebie naprawdę głęboko i zadania sobie fundamentalnego pytania: czy naprawdę jako społeczeństwo możemy pozwolić, żeby także nasze polskie lesbijki przestały imprezować? Czy tam zawierać śluby? Rozmnażać się?

To przecież zagadnienia szczególnie ważne w kraju takim jak Polska, nawet jeśli dawno już wypolerowaliśmy do połysku dno rankingów mierzących prawodawstwo dla osób LGBTQIA+ w Europie, a w telewizji, jeśli już uda się uchwycić lesbijki w Sejmie, to tylko w momencie, gdy – razem z dziećmi, które trzymają na ręku – poseł partii ludowej zatrząskuje im drzwi przed nosem.

Artykuł Romanowskiej odczytuję jako wezwanie do pospolitego ruszenia na rzecz podstawowego dobrostanu lesbijek. Tak, lesbijek, bo kogóż by innego? Ani prawa osób trans, ani retoryczne popisy Rowling nie obchodzą przecież – czytamy w zakończeniu – przeciętnego emeryta. Takiego jak Brian z Birmingham, który chce tylko spędzić urlop na Malcie (co zabawne – o ironio – od lat niekwestionowanej liderki w zakresie prawodawstwa dla osób queerowych, w tym trans). Pomóżmy więc chociaż naszym lesbijkom. Chociaż dla nich, dla tych kilkudziesięciu lesb, które chcą się pobawić, zlikwidujemy prawa osób trans. Byle nie potajemnie! Pomyślcie o dzieciach... Prawda, jakie to proste?

Żeby było jasne: ironizuję. Jako lesbijka bardzo ubolewam nad brakiem naszej widoczności w mediach głównego nurtu, nad brakiem bezpiecznych lesbijskich przestrzeni, nad brakiem jakichkolwiek praw.

Współczuję osobom trans – ale nie bycia trans, tylko wiecznego stanu wyjątkowego, w jakim muszą żyć w tym kraju i w tym świecie; stanu utrzymywanego dzięki głosom i wsparciu finansowym osób takich jak Rowling (finanse) czy autorka tekstu w „Wyborczej”; stałego kwestionowania ich prawa do istnienia.

Ubolewam i współczuję nam wszystkim – lesbijkom, transkom, niebinarcom, wszystkim osobom i kobietom queer, przy czym podkreślmy: to nie są zbiory rozłączne – że żyjąc i tak w niełatwej sytuacji politycznej, musimy rozbrajać rzekome podziały narzucane nam przez osoby cis, osoby nie wiadomo skąd, oprócz tego, że z zewnątrz; osoby instrumentalizujące nasze istnienie, żeby prowadzić „wojnę”, którą same wywołały.

Podkreślmy jeszcze: nie jesteśmy ideologią, nie jesteśmy waszą kłopotliwą dekoracją na biurko, nie jesteśmy niczyją bronią.

Jesteśmy tutaj i mamy swoją historię: zapytajcie małe lesbijki spoza dużych miast, gdzie nie dociera pomoc psychologiczna; zapytajcie lesbijki, które wydają wam resztę w sklepie, ale niekoniecznie piszą książki i wykładają na uniwersytetach; zapytajcie stare lesbijki czekające na transkrypcję zagranicznego aktu ślubu; zapytajcie matki zastawione w Sejmie z niczym.

Zapytajcie nas, co naprawdę stanowi dla nas problem. ●



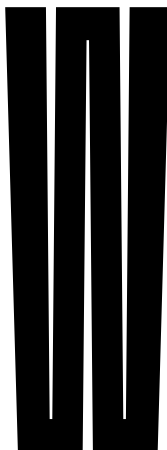
Małgorzata Sikora-Tarnowska

• doktorka nauk humanistycznych, historyczka literatury, redaktorka, absolwentka Wydziału Polonistyki UW i Szkoły Doktorskiej Nauk o Języku i Literaturze UAM. Napisała doktorat na temat cielesności awansu społecznego w prozie PRL-u. Była wicenaczelna magazynu „Replika”. Redaktorka naczelna magazynu „LesBiLans” dla queerowych kobiet i osób z doświadczeniem kobiecości. Żona Patrycji.

Blokady, strajki, marsze

– tego wszystkiego już nie wolno robić we Włoszech.

Mateusz Mazzini



Wjeście do piekarni, którą Lorenza Roiati prowadzi w Ascoli Piceno, malowniczym, 45-tysięcznym miasteczku w centralnych Włoszech, jest tak niepozorne, że lokal można łatwo przeoczyć. Jeśli dostrzeżę ją jakiś turysta snujący się po malowniczej średniowiecznej starówce, to tylko przy okazji, gdy podziwia potężne, efektowne drewniane drzwi do sąsiedniej kamienicy.

Piekarnia żyje ze stałych miejscowych klientów, nie przyciąga niczyjej uwagi. Czy raczej – nie przyciągała do 25 kwietnia.

Skromny lokal zdominował na długie godziny portale i serwisy społecznościowe w całym kraju po tym, gdy Roiati postanowiła upamiętnić obchodzone tego dnia święto.

Mijała właśnie okrągła 80. rocznica wyzwolenia Włoch spod władzy faszystowskiej. Dzień Wyzwolenia, jak oficjalnie nazywa się to święto w kalendarzu państwowym, nigdy nie budził specjalnych kontrowersji. Cieszył się wręcz poparciem społecznym, bo mit dzielnych partyzantów, którzy sprzeciwili się reżimowi Mussoliniego, jest jedną z głównych opowieści założycielskich całej powojennej Republiki. Choć prawda, jak zawsze w takich przypadkach, jest bardziej skomplikowana, to dzisiaj we Włoszech każdy chciałby mieć dziadka partyzanta, który siedział w górach i śpiewał „Bella ciao”. Dlatego właśnie żadna władza nie próbowała do tej pory tego święta kontestować.

Nie próbowała również obecna szefowa rządu Giorgia Meloni, choć wywodzi się ze środowisk postfaszystowskich, a w młodości, jako 19-latką, publicznie chwaliła dokonania Benito Mussoliniego.

Więc Lorenza Roiati do drzwi przyczepiła białe prześcieradło, na którym napisała, że „25 kwietnia jest dobry jak chleb i piękny jak antyfaszyzm”. I odkryła, że klimat we Włoszech się zmienił. Dwa razy została wylegitymowana, raz przez policję, raz przez strażników miejskich w cywilnych ubraniach. Odwiedzający lokal funkcjonariusze domagali się wyjaśnień na temat transparentu, ale nie chcieli powiedzieć, w czym antyfaszystowski napis miałby komuś przeszkadzać, w co lub w kogo godzi i dlaczego w ogóle interweniują.

Za pierwszym razem Roiati była mocno zszokowana, że mundurowi ją przesłuchują w jej własnym lokalu. Za drugim interwencję nagrała i wrzuciła do sieci. Na filmie słysząc w tle prośby strażników, by nagrania jednak nie umieszczala w serwisach społecznościowych, bo „będzie z tego katastrofa”. Lorenza ich nie posłuchała – i wywołała debatę o tym, czy we Włoszech istnieje jeszcze wolność słowa.

We wrześniu miną trzy lata, odkąd krajem rządzi prawicowa koalicja pod przewodnictwem Meloni, pierwszej kobiety na stanowisku premiera w historii Republiki.

Kiedy szła po władzę latem 2022 roku, włoską politykę i media ogarnęła histeria. Oto polityczka skrajnie prawicowa, stojąca na czele partii zawierającej mocno rewizjonistyczne, momentami otwarcie faszystowskie elementy, była o krok od przejęcia kontroli nad państwem! Jej ugrupowanie Fratelli d'Italia, Bracia Włoscy, stanowiło centralny punkt wielkiej prawicowej koalicji, której ojcem chrzestnym był wracający do wielkiej polityki Silvio Berlusconi.

Wcześniej włoska lewica żyła w przekonaniu, że po relatywnie udanym premierostwie Mario Draghiego, prezesa Europejskiego Banku Centralnego, w trudnych latach po globalnym kryzysie 2008 roku, prawica obciążona skandalami Berlusconiego i szemraną przeszłością Meloni i Matteo Salvini go nie zdobędzie władzy – a już na pewno nie w tak szerokiej, koalicyjnej formie. Dominowała teoria, że elektoraty dwóch dużych partii z tamtej strony sceny – Ligi Salviniiego i Fratelli d'Italia – będą się wiecznie kanibalizować, uniemożliwiając przebicie psychologicznej granicy 40 procent poparcia. Tymczasem Berlusconi, mistrz zakulisowej inżynierii politycznej, pogodził dwójkę liderów, dorzucił swój osobisty elektorat – bo wyborcy jego partii Forza Italia



Awantura w Rzymie: czy Meloni jest jak Mussolini?

LITERY SIĘ ZGADZAJĄ

byli tak naprawdę fanami i wielbicielami jego samego – i wprowadził Meloni na salony.

Tym samym ekscentryczny i kontrowersyjny milioner, prekursor polityki w stylu reality show, drwiący sobie na każdym kroku z norm społecznych, po raz kolejny udowodnił, że ma najlepszy w całej Italii słuch społeczny.

Tamto zdecydowane zwycięstwo – 43,8 procent głosów na prawicę do Izby Reprezentantów, 44 do Senatu – było w takim samym stopniu triumfem Meloni, co porażką całego obozu liberalno-lewicowego. Jego bezradność świetnie ilustrował ekspremier Enrico Letta, dzisiaj wpływowy europejski think-tanker, wówczas lider Partii Demokratycznej. W wyborach 2022 roku nie do końca wiadomo było, co jego ugrupowanie ma w programie, a kampanijna narracja skupiła się na straszeniu faszyzmem. W dodatku nie w kraju, lecz za granicą – Letta zupełnie odpuścił wiecze, spotkania, serwisy społecznościowe, za to chodził po europejskich i amerykańskich redakcjach, wypychając im swoje eseje na temat Meloni jako nowego wcielenia Mussoliniego.

Na niewiele się to zdało, bo choć spora część Zachodu dała się nastraszyć, to jednak nie Waszyngton, Bruksela, Paryż czy Warszawa wybierają włoski parlament. A dla Włochów ważniejsza była obietnica walki z nielegalną migracją czy – wracającą jak buława w każdej kampanii – obietnica wielkich inwestycji infrastrukturalnych od tego, czy niektórzy członkowie Fratelli d'Italia lubią przy winie śpiewać faszystowskie piosenki.

Trzy lata później Meloni zadomowiła się w politycznym głównym nurcie – i na europejskich salonach, tych samych, które straszono i które potem straszyły swoich obywateli „duchową wnuczką Duce”, i u siebie, w Rzymie. Sondaże wyglądają, jakby włoska scena polityczna uległa zabetonowaniu. Prawicowa władza w ogóle się nie zużywa – największa partia koalicyjna utrzymuje poparcie na pozio-

mie 28-30 procent niemal od wyborów, Lega i Forza Italia czasami zamieniają się miejscami, ale choć nie przekraczają 10 procent, to nie spadają poniżej 7. Co prawda Partia Demokratyczna podniosła notowania do 23 procent, ale co z tego, skoro nie miałaby z kim stworzyć liberalno-lewicowej koalicji rządowej, bo reszta ugrupowań w stawce się nie liczy. Meloni może spokojnie myśleć o kolejnej kadencji.

Poza Włochami jest nawet jeszcze lepiej. Przez trzy lata rządów niejednokrotnie wprawiała europejskie liberalne elity w osłupienie – ale nie takie, w jakie wprawia je Węgier Viktor Orbán czy Słowak Robert Fico. Szokowała tym, że nie robiła radykalnych zwrotów, choć wszyscy się ich po niej spodziewali.

Miała świetne relacje z ekipą Joego Bidena, z ludźmi Trumpa ma jeszcze lepsze – ale występując nie z pozycji alt-rightowej radykalki, tylko życzliwej, lecz trzeźwej Europejki. Nie stała się, jak wieszczono, obrończynią Rosji. Stanowczo popiera Ukrainę – nawet jeśli w koalicji trzyma Salviniiego, wicepremiera i ministra infrastruktury, który jest otwartym apologetą Putina i przeciwnikiem uzbrajania Kijowa przez Europę. W ubiegłym roku długie tygodnie flirtowała z Ursulą von der Leyen, bo poparcie frakcji, której szefowała – Europejskich Konserwatystów i Reformatorów – dzisiaj kierowanej przez Mateusza Morawieckiego, miało być kluczem do drugiej kadencji Niemki jako szefowej Komisji Europejskiej. Co prawda polityczki ostatecznie się nie dogadały, a von der Leyen i tak głosowanie w europarlamencie wygrała, ale zwrot unijnego mainstreamu na prawo i kuszenie Meloni połączone z jej odstąpieniem od radykalnej prawicowości nie pozostało w świecie niezauważone.

Jej pozycja jeszcze wzrosła po wygranej Donalda Trumpa. Zaczęto ją postrzegać jako łączniczkę znie-nawidzonej za oceanem unijnej Europy z Białym Do-



• **Premier Włoch Giorgia Meloni czeka na przyjazd premiera Czech Petra Fiali na dziedzińcu Palazzo Chigi w Rzymie (13.06.2024)**

FOT. ROBERTO MOLINO/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

przechodzenia testów psychologicznych, a obok kamier na mundurach nie muszą już mieć identyfikatorów – co umożliwiałoby w razie nadużyć i śledztwa przypisanie nagrania konkretnemu policjantowi.

Zmienione prawo jest popisem kreatywności, bo Meloni stworzyła zupełnie nowe kategorie przestępstw. Osobnym typem wykroczenia stały się bunt i zamieszki wzniesione w więzieniach, ale też w tak zwanych CPR, Centri di permanenza per il rimpatrio – ośrodkach, w których migranci oczekują na przesiedlenie lub deportację.

O ile te przepisy mogą dotyczyć sytuacji skrajnych, rzadkich, to już niektóre pierwotne zapisy dekretu wchodziły tak głęboko w codzienne życie obywateli, że zaprotestował przeciwko nim prezydent Sergio Mattarella. Meloni w oryginalnym tekście dekretu zawarła bowiem „obowiązek współpracy” wszystkich instytucji publicznych i należących do skarbu państwa ze wszystkimi organami nadzoru, służbami specjalnymi i mundurowymi.

To brzmi tyleż biurokratycznie, co niegroźnie – ot, urzędnicza mowa trawa, przecież to jasne, że instytucje państwa powinny współpracować z instytucjami bezpieczeństwa – ale oznacza oddanie aparatowi przymusu pełnej kontroli nad informacją i edukacją. Bo przecież szkoły, uniwersytety i redakcje mediów publicznych to jak najbardziej instytucje publiczne. Jeśli więc ktoś w rządzie nabralby podejrzeń, że na przykład w jakiejś szkole wyższej tworzy się organizacja studencka chcąca protestować przeciwko działaniom

Meloni próbowała zadekretować „obowiązek współpracy” szkół, uniwersytetów i redakcje mediów publicznych ze służbami specjalnymi i mundurowymi

mem. Była najwyższym szczyblem europejskim politykiem zaproszonym na inaugurację drugiej kadencji Trumpa. Nadzieje pokładają w niej praktycznie wszyscy europejscy politycy – i rządzący centrowi, chadeccy czy liberalni, i marzący o powrocie do władzy prawicowi, bo Meloni cieszy się ogromną popularnością wśród zwolenników i wpływowych postaci ruchu Make America Great Again. Lubią ją i technokraci, tacy jak Marco Rubio, i szamani trumpowskiej religii – jak syn prezydenta Donald Jr czy naczelny ideolog Steve Bannon.

Giorgia Meloni stała się akceptowalna dla tak wielu środowisk politycznych na Starym Kontynencie, że sama może teraz wybierać ścieżki prowadzące do kolejnych sukcesów. Europejska Rada Stosunków Międzynarodowych (ECFR) wytypowała ją nawet na prawdopodobną kolejną szefową Komisji Europejskiej w swojej symulacji porządku światowego w 2029 roku zakładającej dalszy wzrost poparcia dla prawicy w Europie i w USA.

Obraz skutecznej i wcale nie tak radykalnej polityczki przebija się w mediach na całym świecie. Liczni komentatorzy wierzą nawet, że dzięki urokowi osobistemu i personalnym dobrym relacjom Meloni z Trumpem Europa nie oberwie aż tak mocno w wojnie handlowej, którą całemu światu wypowiedział Biały Dom. Kilka miesięcy temu pean na jej cześć opublikował „Die Welt”, dopatrując się we Włoszce łączniczki zdolnej naprawić zdewastowane relacje transatlantyckie.

Problem w tym, że z zewnątrz obraz zawsze jest niepełny. Bo jeśli spojrzeć na Włochy Giorgii Meloni od środka, widać od razu, że uśmiechając się do reszty świata, własnym obywatelom przykręca śrubę. Powoli, stopniowo, po cichu. Pod tym względem jest akurat antytezą Trumpa i MAGA, gdyż nie szuka rozgłosu dla swoich działań – choć niektórych ame-

rykański prezydent może jej pozazdrościć, a na pewno sam by się ich nie powstydział.

11 kwietnia w życie wszedł kontrowersyjny dekret o bezpieczeństwie publicznym, wokół którego awantura wybuchła, jeszcze zanim ustalono jego ostateczny tekst. W końcowej formie wprowadził do włoskiego prawa kilka zapisów, które nawet postronnym obserwatorom wydają się atakiem na wolności obywatelskie.

Otóż za pomocą dekretu Meloni dokonała kryminalizacji wszelkich form społecznego nieposłuszeństwa, jeśli prowadzą do zablokowania ruchu ulicznego. Blokad, strajki, niezgłoszone wcześniej marsze – choć z tymi zarejestrowanymi też różnie bywa, jeśli chodzi o ich późniejszą legalność w oczach władz – tego wszystkiego robić w Italii już nie wolno. A jak ktoś spróbuje – grozi mu do dwóch lat pozbawienia wolności.

Rząd powtarzał, że dekret jest wymierzony w aktywistów klimatycznych, wśród których blokadę ruchu drogowego są najpopularniejszą formą aktywności i którzy nie cieszą się przesadną sympatią poirytowanej opinii publicznej. Tyle że nowe prawo dotyczy wszystkich, a we Włoszech drogi blokowały często też związki zawodowe czy organizacje feministyczne.

Zabierając prawa obywatelom, Meloni dała ich więcej służbom mundurowym. Policjanci, przeciwko którym toczą się postępowania o przekroczenie obowiązków w czasie służby, zostali wzięci na państwowy garnuszek. Od teraz, jeśli któryś stanie przed sądem, na przykład z powodztwa aktywistów, państwo pokryje jego koszty reprezentacji sądowej aż do 10 tysięcy euro.

Zaostrzono też kary za naruszenie nietykalności cywilnej oficera na służbie oraz poszerzono katalog uprawnień dla samych mundurowych. Mogą swobodnie nosić broń poza służbą bez konieczności

niom rządu, uczelnia musiałaby przekazać służbom wszystkie informacje na ten temat. A co najważniejsze, oficerowie i agenci nie musieliby podążać ścieżką sądową – składać wniosku o nakaz czy zgodę na założenie podsłuchu.

Jednym niewinnie brzmiącym sformułowaniem pani premier (nie „premierka”, sama prosiła o nieużywanie w odniesieniu do niej feminatywów) próbowała zabrać sporej części mediów i szkolnictwa jakąkolwiek suwerenność.

Sprzeciwił się nie tylko Mattarella. W przestrzeni publicznej krążyć zaczął list otwarty podpisany przez 257 prawników, konstytucjonalistów, byłych sędziów i wykładowców prawa. W tym gronie znaleźli się byli przewodniczący i kilkoro wiceprzewodniczących włoskiego trybunału konstytucyjnego. Sygnatariusze nie owijali w bawełnę, dekret nazywając „krokiem w kierunku zamiany Republiki Włoskiej w państwo represyjne i autorytarne”.

Krytykę ustawy opierali na dwóch filarach, które ich zdaniem pokazywały bezspornie, że rząd Meloni odchodzi od demokracji, a przynajmniej demokracji w wydaniu liberalnym. Otóż, wskazywali prawnicy, włoska konstytucja pozwala na uchwalanie dekretów, więc w teorii nie jest to sprzeczne z prawem. Jednak artykuł 77 ustawy zasadniczej mówi jasno, że jest to dozwolone jedynie w przypadkach „ekstremalnej konieczności”. Większość konstytucji czy porządków prawnych na świecie ma podobne przepisy – jednak pozostają one nieużywane, włożone do ram prawnych na wypadek stanów wyjątkowych czy wręcz wojny.

Nic takiego we Włoszech nie ma miejsca, więc rzeczywistość nie uprawnia Meloni do przepychania kolanem legislacji w tej formie.

Dekret został jednak wdrożony – z całkowitym pominięciem parlamentu, co sygnatariusze listu otwartego uznali za „publiczne upokorzenie obu izb”. Pani premier doskonale jednak wiedziała, co robi – wpusz-

czenie takiego aktu prawnego w prace parlamentarne opóźniłoby jego wejście w życie i skończyłoby się rozwodnieniem niektórych zapisów. Ale jedno starcie polityczne odbyć musiała – z prezydentem, który akurat cieszy się bardzo szerokim autorytetem społecznym i politycznym. I przegrała, bo „obowiązek współpracy” ze służbami został z dekretu wyrzucony.

Nie zmieniło to jednak stanowiska licznych autorytetów publicznych, prawników, publicystów, którzy podkreślają, że nawet w zmienionym brzmieniu dekret jest dowodem na to, że Włochy skracają ku autorytaryzmowi. Bo – zauważają komentatorzy i oburzeni obywatele – pani premier uprawia „zarządzanie za pomocą strachu”, które już dawno stało się strategią włoskiej prawy.

Meloni kreuje i nagłaśnia kryzysy, które tak naprawdę nie istnieją, żeby potem oferować ich antydemokratyczne rozwiązanie. Kraj nie jest zagrożony, nie zmaga się z inwazją obcych sił, nie jest inwigilowany od środka przez przeciwników państwa. Gdyby jednak wiedzę o sytuacji na Półwyspie Apenińskim czerpać wyłącznie z partyjnych newsletterów, które Meloni pieczołowicie wysyła subskrybentom (w tym mnie) co piątek wieczorem, można by odnieść wrażenie, że Włoch zaraz nie będzie.

Anegdotyczna sytuacja z osobistym newsletterem tłumaczy, dlaczego pani premier tak dobrze dogaduje się z Trumpem i jego ludźmi. Ekipa spod znaku MAGA rządzi przeciw Stanami Zjednoczonymi w ten sam sposób. Ze zwolennikami komunikuje się bezpośrednio za pomocą chwytliwych, zwiezłych, wiecowych przekazów. Rolę Kongresu zredukowała do zera. Rzeczywistość kształtuje prezydenckimi dekrety. Konstytucję ma w głębokim poważaniu, liczy się skuteczność – a jak po drodze skrzywdzimy niewinne osoby, to trudno, zdarza się. W swoich mediach karmimy ludzi wyobrażeniami o inwazji obcych, zwłaszcza tych o innym kolorze skóry, innym wyznaniu, innej orientacji seksualnej. A żeby pocziwych, bogobojnych obywateli przed tą inwazją obronić, zakładamy im wszystkim podsłuchy i zabieramy prawa – bo, jak wiadomo, ludzi trzeba chronić przed własną wolnością.

Trumpa z Meloni łączy jeszcze jedna rzecz, bardziej dotycząca charakteru niż stylu rządzenia czy wyznawanej ideologii. Oboje są przeczeleni na punkcie krytyki pod własnym adresem. Włoszka najbardziej nienawidzi, kiedy ktoś publicznie zarzuca jej bycie autentyczną faszystką. Bez przedrostków typu „post” albo „neo”.

Już po dojściu prawicy do władzy rozmawiałem z jedną z najbardziej znanych włoskich reporterek, autorką książek o faszyzmie i skrajnej prawicy. Zapytałem ją wprost, czy jako znawczyni Mussoliniego jest w stanie znaleźć analogie między panią premier a „Il Duce”. Moja rozmówczyni natychmiast ściszyła głos i trzy razy się upewniała, czy to, co powie, zostanie gdzieś opublikowane. Gdy odpowiedziałem, że no jasne, przecież dlatego pytam, stwierdziła, że okej, nie będzie bawić się w przedrostki – ale za żadne skarby świata mam nie cytować jej pod nazwiskiem, bo czeka ją proces. „Ona jest bardzo wrażliwa, nie wolno mówić o niej jako o faszystce, a ja nie chcę chodzić przez kilka lat do sądu dlatego, że z tobą rozmawiam”.

Nagle więc w kraju, który przeżył dekady rządów faszystowskich, który jest dumny z porzucenia Hitlera w połowie wojny, co później skończyło się represjami, okupacją i zbrodniami SS na cywilach i w którym nawet przedstawiciele burżuazji czy chadeccy drobnomieszczanie czcili lewicową, głównie komunistyczną, partyzantkę – faszyzm stał się tematem niebezpiecznym.

Przekonał się o tym Antonio Scurati, literaturoznawca i pisarz, obecnie największy intelektualny celebryta na Półwyspie Apenińskim. Szerszej publiczności Scurati przedstawił się w 2018 roku, publiku-

jąc książkę pod wiele mówiącym tytułem „M. Syn Stulecia” (w Polsce ukazała się nakładem wydawnictwa Sonia Draga). Opasły tom, który połyka się w jedną noc niczym powieść sensacyjną, opowiadał o dojściu Mussoliniego do władzy i pierwszych latach działalności ruchów faszystowskich.

Scurati otrzymał za „Syna Stulecia” Premio Strega, najważniejszą nagrodę literacką we Włoszech – i jego kariera dosłownie eksplodowała. Książek z serii spod znaku „M” ostatecznie ukazało się pięć, ostatnia, wydana niedawno, kończy się w kwietniu 1945 roku. Włoski oddział globalnej telewizji Sky wykupił prawa do ekranizacji, zamieniając literacką interpretację życia dyktatora w masowo oglądany, dostępny również w Polsce serial. Scurati pisał kolejne książki, eseje na łamach „Corriere della Sera”, rósł w oczach. I chcąc nie chcąc, bo automatycznie, stał się głównym krytykiem Meloni.

To, co 56-letni wykładowca Uniwersytetu w Mediolanie uprawia w swoich książkach, trudno jednoznacznie sklasyfikować pod względem gatunkowym. Nie są to publikacje stricte historyczne, bo Scurati historykiem nie jest – zresztą krytycy wytykają mu błędy rzeczowe, w pierwszym tomie dopatrzili się ich ośmiu.

Wszyscy w Unii Europejskiej odetchnęli: jednak Meloni nie jest jak Orban czy Fico.

Uldze towarzyszy nadzieja: może wybroni nas przed cłami u Trumpa?

Autor odpowiadał, że „obecne czasy i środki masowego przekazu wymagają połączenia historiograficznej precyzji i sztuki opowiadania”. Wybuchła więc rytualna awantura o granice kłamstwa i przeinaczania w beletrystycie. Ale beletrystyką jego – no właśnie, powieści? reportaże historyczne? – też nie są, bo nasycy je gęstą, fascynującą faktografią.

Ujętą w kapitalne sceny rodzajowe, dialogi, fragmenty reporterskie i wręcz psychoanalityczne portrety bohaterów – za co Scurati podpadł środowiskom progresywnym, które zarzuciły mu, że mimo potępiającego tonu uatrakcyjnia włoski faszyzm, czyni go elementem popkultury, co jest równoznaczne z jego normalizacją. Na co autor odpowiedział, że „publiczne mówienie o Mussolinim wreszcie uwolni nas wszystkich od jego ducha”.

Choć jest krytykowany przez wiele różnych stronnictw politycznych, uwielbiany przez czytelników Antonio Scurati ostatecznie przerodził się w bohatera antyfaszyzmu. Kiedy Meloni została szefem rządu, publicznie nazwał ją „spadkobierczynią Mussoliniego” – choć natychmiast doprecyzował, że nie widzi w niej ani w jej partii nowej inkarnacji faszyzmu dwudziestolecia międzywojennego, ale jedynie kontynuatorów takiego stylu rządzenia. Zdaniem Scuratiego współczesny prawicowy populizm odgrywa taką samą rolę w polityce i społeczeństwie, jak faszyzm przed II wojną światową. Dlatego można mówić o ciągłości pomiędzy Mussolinim i Meloni – którą nazwał „jedną z wynalazczyń populizmu”.

Polityk bardziej makiaweliczny lub z mniejszym ego byłby zachwycony – oto

wpływowy, słuchany na całym świecie celebryta intelektualista niby krytykuje, ale jednak w jakiś perwersyjny sposób oddaje honor. Ale że Meloni jest równie drażliwa i pamiętliwa co Trump, konfrontacja tej dwójki była nieunikniona.

Nastąpiła 20 kwietnia 2024 roku, kilka dni przed kolejnymi obchodami Dnia Wyzwolenia. Scurati został zaproszony do znanego programu „Chesarà” w RAI3 – kanale publicznej telewizji, co dla tej historii kluczowe. Miał tam wygłosić monolog o faszyzmie, do którego wplótł ostrą krytykę dzisiejszej klasy politycznej we Włoszech. Nikogo z nazwiska nie wymieniając, ale wspominając o „postfaszystowskich liderach”.

Monologu jednak nie wygłosił, bo z programu został „odproszony” przed emisją – i wybuchła karczemna awantura na całe Włochy. Scurati, a za nim cała liberalno-lewicowa opozycja, organizacje pozarządowe, prasa i środowiska naukowe oskarżyły telewizję publiczną o cenzurę: Meloni się przestraszyła, że popularny pisarz nazwie ją faszystką w programie z okazji Dnia Wyzwolenia, i postanowiła zapobiec ogromnym szkodom wizerunkowym. Ale nikt w RAI nie mógł tego przyznać, więc pu-

dowych – i nastąpiła autentyczna, ordynarna cenzura.

Tak czy siak, Scurati nie odpuszcza. W Mediolanie podczas niedawnej promocji ostatniej książki z serii „M” wygłosił płomienną przemowę o tym, że „na naszych oczach wyczerpuje się współczesny model demokratyczny”.

Nie odpuszcza też Meloni. Nadal pomija parlament, wzmacnia egzekutywę i nie kryje, że marzy się jej reforma konstytucyjna, która zmieniłaby całkowicie ustrój Republiki, zbliżając go do prezydenckiego.

Premier miałby być wybierany bezpośrednio w wyborach powszechnych, a partia bądź wspólna lista, która go popiera, uzyskiwałaby w nowej ordynacji wyborczej „bonus większościowy” gwarantujący większość ponad 50 procent mandatów w parlamencie. Do tego dochodzi pomysł zmiany procedury odwoływania szefa rządu w przypadku przegranej głosowania o wotum zaufania – Meloni chce regulacji dającej „starej” większości drugą szansę na powołanie rządu bez konieczności rozpisanie nowych wyborów. Rzecz jasna po to, by nie destabilizować państwa w tak trudnym, niebezpiecznym świecie.

Meloni nawet nie udaje, że nie chodzi jej o osłabienie parlamentu. Przeciwnie, argumentuje, że słaba władza wykonawcza – czyli rząd – jest praprzyczyną niestabilności włoskiego systemu politycznego.

Reforma jest właśnie procedowana w parlamencie, zajmują się nią członkowie Izby Reprezentantów. Przewodniczący zmian w ustawie zasadniczej nie będzie jednak łatwo, bo muszą je dwukrotnie przyjąć obie izby – w dodatku większością dwóch trzecich, żeby uniknąć referendum ogólnokrajowego.

Lorenza Roiati ostatecznie antyfaszystowskiego transparentu nie zdjęła. W serwisach społecznościowych pojawiły się wyrazy poparcia dla jej postawy i oferty pomocy finansowej. Społeczeństwo obywatelskie wzięło właścicielkę piekarni na sztandary, robiąc z niej pierwszą ofiarę kroczącej dyktatury. Ale szybko, jak to w czasach cyfrowego infotainmentu, historia umarła śmiercią naturalną, bo publiczność pobięła za kolejnymi polityczno-obyczajowymi imbami.

A tymczasem reforma ustrojowa posuwa się naprzód. Znow i jak zwykle pod adresem pani premier padają oskarżenia o autorytaryzm, wręcz faszyzm, o „powrót do korzeni”. A ona, jak zwykle, z jednej strony nic sobie z tego nie robi, z drugiej – walczy z każdym, kto określi ją „brzydkim słowem na »f«”. I ma po swojej stronie ducha czasów, bo po tych samych ścieżkach podąża pół świata. Być może więc „M. Syn Stulecia” w kolejnym stuleciu zamieni się w córkę? Literzy już się zgadzają. ●



Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz właśnie ukazującej się „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.



FOT.

Daniel Mediavilla

EL PAÍS

Kanadyjski endokrynolog Daniel Drucker odebrał właśnie w siedzibie Fundacji BBVA w Bilbao nagrodę Frontiers of Knowledge – jako jeden z garstki ludzi, którzy naprawdę mogą powiedzieć, że zmienili świat.

Drucker, profesor na Uniwersytecie w Toronto, został uhonorowany za „odkrycie i scharakteryzowanie biologicznie aktywnej formy hormonu glukagonopodobnego peptydu (GLP-1)”. Właśnie to odkrycie umożliwiło wyprodukowanie leku na cukrzycę znanego jako Ozempic, który z produkującego go duńskiego koncernu Novo Nordisk uczynił najbardziej wartościową firmę w Europie, a milionom ludzi cierpiącym na otyłość dał nadzieję na trwałą i szybki powrót do wagowej normy.

Co sądzi pan o powodzeniu leków odchudzających, które pojawiły się na rynku w wyniku pańskich badań?

– Gdy idę do sklepu, gdy idę na mecz piłki nożnej, gdy włączam telewizor – wszędzie widzę nazwę Ozempic. Ozempic jest pierwszym od dawna lekiem obecnym w kulturze popularnej i bez wątpienia ten szum wokół niego jest przesadny. Ale myślę też, że jest to okazja do pokazania znaczenia nauki dla naszego codziennego życia. Faktycznie Ozempic zaoferował możliwość pomocy ludziom żyjącym z otyłością, którzy wcześniej nie mieli dostępu do skutecznych metod leczenia.

Ale też szum wokół tego leku wskazuje przy okazji na skalę społecznego problemu.

– Tak, uważam zresztą, że nie dość dobrze rozumiemy współczesną epidemię otyłości. Kiedy byłem młodym lekarzem, za największy problem na świecie uważano głód, plagę chronicznego niedożywienia. Dziś w wielu częściach świata został on zastąpiony przez otyłość, także zgubną w skutkach.

A przecież nasza genetyka się nie zmieniła, więc musimy zadać sobie pytanie: co zmieniło się w środowisku, w społeczeństwie i jego stylu życia, w żywności, w chemikaliach wokół nas?

Nie wiemy dokładnie, co stoi za epidemią otyłości. Bardzo łatwo jest powiedzieć: to wszystko przez wysoce przetworzoną żywność, popularność taniego fast fo-

Wynalazca leku Ozempic:

BŁOKADA ŚCIEŻKI DO NAGRODY

– Gdyby lek na otyłość był finansowany dla każdego, kto chce schudnąć, nie byłoby pieniędzy na nic innego. Ale teraz policzmy, ile zamiast tego będą system kosztowały udary, zawały serca czy dializy?

– mówi kanadyjski badacz Daniel Drucker.

odu, patologie masowego przemysłu spożywczego – i prawdopodobnie wszystko to przyczynia się do problemu.

Ale skoro mamy do dyspozycji naukę opracowującą tak zaawansowane leki, to przydałoby się ją także wykorzystać do zrozumienia zjawiska, z powodu którego cierpi szybko rosnąca liczba ludzi.

Idealnie byłoby, gdybyśmy potrafili zapobiegać rozwojowi otyłości, a nie tylko ją leczyć.

Z pańskich badań wynika m.in., że osoby otyłe lub z nadwagą nie mają problemu z siłą woli, ale że ich organizmy nie wytwarzają sygnałów niezbędnych do powstrzymywania apetytu. Czy z naukowego punktu widzenia ma sens, że w wielu krajach leki w rodzaju Ozempic są finansowane dla osób z cukrzycą, ale nie w leczeniu otyłości?

– Od lat toczy się debata na ten temat. Wielu urzędników resortów zdrowia wychodziło z założenia, że leki na odchudzanie to tylko kaprys estetyczny, że chodzi w nich o to, by ludzie lepiej wyglądali, kupowali nowe ubrania lub po prostu poprawili swoje samopoczucie. I że to tak naprawdę nie poprawia ich stanu zdrowia.

Jednak jakiś czas temu przeprowadziliśmy ważne badanie, które obejmowało osoby bez cukrzycy typu 2, za to z nadwagą lub otyłością i potencjalnie dziedzicznymi chorobami serca. Byli oni leczeni semaglutidem [aktywnym składnikiem leku Ozempic] przez trzy i pół roku. I co zaobserwowaliśmy? Zmniejszenie o 20 proc. liczby zawałów serca i udarów mózgu oraz dokładnie 19 proc. mniej zgonów ogółem.

Badanie to jest przypomnieniem, że otyłość jest poważną chorobą, szczególnie u osób z chorobami układu krążenia. Do tego stale gromadzimy dowody na inne poza utratą masy ciała korzyści płynące ze stosowania tych leków – np. ograniczenie chorób nerek, zawałów serca, udarów mózgu itp.

Trzeba jednak zrozumieć, że rządy i ubezpieczyciele obawiają się kosztów. Gdyby GLP-1 był finansowany dla każdego, kto chce schudnąć, nie starczyłoby pieniędzy na nic innego. Mamy tylko pewien określony budżet na opiekę zdrowotną i leki, i staramy się przydzielić go tam, gdzie można uzyskać największe korzyści.

Mamy jednak coraz więcej dowodów potwierdzających, że otyłość wraz z powiązanymi z nią chorobami – serca, wątroby, nerek – niesie ze sobą poważne ryzyko roz-

woju bardzo kosztownych patologii. Już zaczynamy generować dane, które pozwolą nam powiedzieć rządowi i ubezpieczycielom: jeśli dana osoba ma te czynniki ryzyka plus otyłość, spójrzmy na korzyści, jakie możemy uzyskać dzięki naszej terapii.

Policzmy, ile zamiast tego będzie system kosztowały udar, zawał serca czy dializa?

Czy zaobserwowane korzystne skutki dla nerek lub układu sercowo-naczyniowego są wyłącznie konsekwencją zmniejszenia otyłości, czy też istnieją inne mechanizmy?

– W naszym laboratorium badamy działanie GLP-1 już od dziesięcioleci i jest jasne, że korzyści z jego stosowania nie dotyczą tylko kontroli poziomu cukru we krwi lub utraty wagi. Skąd to wiemy? Z eksperymentów klinicznych, także na zwierzętach. W 2009 r. opublikowaliśmy wyniki badań, z których wynika, że leki GLP-1 mogą zmniejszać liczbę ataków serca i ogólnie poprawiać czynność serca, nawet bez utraty wagi lub niekoniecznie u chorych na cukrzycę. A teraz w końcu mamy dowody kliniczne.

We wspomnianym badaniu SELECT obejmującym ponad 17 tys. osób z otyłością i chorobami serca poza zmniejszeniem o jedną piątą liczby zawałów, udarów mózgu i w konsekwencji zgonów, osoby, które straciły na wadze mniej, odnosiły takie same korzyści ogólnoustrojowe, jak osoby, które schudły bardziej. Tak więc to nie sama utrata masy ciała generuje korzyści.

Kilka tygodni temu, na Europejskim Kongresie Otyłości w Hiszpanii, przedstawiono wyniki innego badania Novo Nordisk dotyczącego terapii metabolicznej choroby wątroby z udziałem semaglutynu. Naukowcy wykazali, że korzyści dla stanu wątroby (mniej tłuszczu, mniej zwłóknienia) były niezależne od utraty wagi. Nawet osoby, które nie straciły na wadze, doświadczyły podobnej poprawy.

Nie oznacza to, że utrata masy ciała sama w sobie nie pomaga, przeciwnie, jest fantastycznie pozytywna. Ogranicza stany zapalne, poprawia działanie stawów, przynosi korzyści całemu ciału. Ale dodatkowe efekty GLP-1 wykraczają daleko poza utratę wagi.

Korzyści płynące z tych leków i bardzo nieliczne skutki uboczne wydają się aż zbyt piękne, aby mogły być prawdziwe. Istnieją leki przeciwcukrzycowe, takie jak metformina, które mogą być stosowane w celu spowolnienia starzenia się komórkowego. Czy uważa pan, że to samo można zrobić z GLP-1?

– Istnieje duże zainteresowanie stosowaniem GLP-1 w spowalnianiu starzenia. Jed-

nak przeprowadzenie rygorystycznych badań klinicznych nad starzeniem się jest bardzo trudne. Potrzeba dużo czasu i pieniędzy, aby badać ludzi przez 15 lub 20 lat. Dlatego naukowcy starają się opracować tzw. biomarkery – wskaźniki starzenia się w komórkach, tkankach i krwi – które można mierzyć w prosty i nieinwazyjny sposób przez rok, dwa lub trzy lata.

Ale są też ludzie, których nazywamy „martwiącymi się pozytywnie” – to zdrowi, starsi wiekiem ludzie, którzy jednak nie chcą opuszczać tego świata zbyt wcześnie – którzy już przyjmują metforminę, GLP-1 lub rapamycynę. Nie zamierzają czekać 10 lub 15 lat, aby dowiedzieć się, czy to działa.

Spoleczeństwo naukowa zajmująca się starzeniem jest bardzo zainteresowana GLP-1 zarówno ze względu na jego wpływ na utratę wagi, jak i zdolność do zmniejszania stanów zapalnych, które silnie wpływają na proces starzenia. Zainteresowanie jest ogromne, chociaż jesteśmy wciąż na wczesnym etapie rozpoznania tematu.

Poprawę zaobserwowano również u osób z uzależnieniami. Ale w jaki sposób coś, co pomaga w otyłości lub poprawia układ krążenia, może również pomóc kontrolować impulsy do przyjmowania innych substancji?

– Gdzie w organizmie znajduje się najwięcej receptorów dla GLP-1? W mózgu. A teraz: dlaczego w ogóle jemy? Potrzebujemy energii, aby przetrwać. Możemy jednak podzielić ludzi na dwie grupy: jedni jedzą, aby żyć – jedzenie nie ma dla nich tak dużego znaczenia, ale wiedzą, że potrzebują odpowiedniej ilości kalorii, aby dotrzeć do końca dnia. Natomiast inni żyją, aby jeść, ponieważ jedzenie jest towarzyskie, przyjemne, ekscytujące. Wielu z nas plasuje się gdzieś pomiędzy skrajnymi biegunami.

Jeśli masz dziesięciu przyjaciół i idziecie na kolację w piątek, niektórzy z nich powiedzą: „Nie jestem głodny, ale idę, żeby pobyć razem”, a inni: „Ta restauracja serwuje świetną paellę, nie mogę się doczekać, aby skosztować jej ponownie!”. Ewidentnie istnieje hedonistyczna przyjemność z jedzenia. Wszyscy mamy ulubione potrawy, które nas pociągają.

I wszędzie uzależnienia również mają w sobie ten element przyjemności. Dlaczego palimy, dlaczego używamy marihuany, alkoholu lub narkotyków? Ponieważ stosowanie tych substancji aktywuje układ nagrody w mózgu.

To, co GLP-1 wydaje się robić, niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z osobą, która za bardzo lubi paellę, czy kimś, kto dużo pali lub przesadza z alkoholem, polega na zmniejszaniu poziomu odczuwanej przyjemności.

Sprawia, że ludzie mówią: „Deser już odpuszczę” lub „Nie potrzebuję kolejnego papierosa lub czwartego piwa”. Bo nagle nie ma w tym już nic ekscytującego. Kiedyś był entuzjazm, aktywacja mózgu, pożądanie – a teraz już nie.

Jest to oczywiście uproszczone wyjaśnienie, ale istnieją wspólne mechanizmy biologiczne, które regulują naszą reakcję na apetyt – na jedzenie, ale także na inne

substancje lub nawet zachowania. GLP-1 wydaje się osłabiać te „ścieżki do nagrody”.

W przypadku zaburzeń związanych z nadużywaniem substancji, ta nauka dopiero się zaczyna. Nie mamy jeszcze rygorystycznych danych, które mówi np.: „Po sześciu miesiącach stosowania GLP-1 palenie tytoniu lub spożycie alkoholu zmniejsza się o 50 proc.”. Tego nie wiemy. To, co na razie mamy, to bardzo ograniczone badania i wiele świadectw: ludzie, którzy brali lek na otyłość i mówią, że przy okazji łatwo rzucili palenie, że piją mniej piwa.

Czy te leki naprawdę zmniejszają apetyt?

– Istnieje bardzo szeroki zakres odpowiedzi. Od stosujących je ludzi można usłyszeć pełen wachlarz odpowiedzi. Od „nie jestem głodny, ale czuję się dobrze”, przez „nie jestem głodny i czuję się trochę zmęczony”, po „jestem smutny”. Są też tacy, którzy mówią: „jestem przygnębiony, nie mam motywacji, nic mi się nie chce”. Jednak zdecydowana większość ludzi czuje się lepiej.

Czy uważa pan, że rozsądne byłoby masowe podawanie tego rodzaju leków osobom, które nie są chore lub których nie definiujemy jako chorych? Np. w celu regulowania łaknienia u osób, które czują, że spożywają czegoś zbyt dużo.

– Jestem naukowcem i jestem bardzo konserwatywny. Zawsze przypominam, że nie mamy wystarczającej ilości danych na temat wielu różnych genotypów, aby jasno zrozumieć, jakie jest ryzyko, a jakie dokładnie są korzyści. Gdyby ktoś chciał się ode mnie dowiedzieć, czy bezpieczne jest leczenie osób, które nie mają cukrzycy typu 2 ani otyłości, ale chcą schudnąć dziesięć kilo, ponieważ czułyby się lepiej, gdyby mogły wrócić do swojej wagi z czasów liceum, powiedziałbym: zróbmy badanie kliniczne. Weźmy 5 tys. osób z BMI między 25 a 28, leczmy je przez sześć do dwunastu miesięcy i sprawdźmy, czy stosunek ryzyka do korzyści jest dobry.

Osobiście nie martwię się zbytnio o ryzyko, ponieważ używamy tych leków od 20 lat, nie są to nowe patenty.

Ale jako naukowiec zawsze będę powtarzał, że trzeba badać populację, którą chce się leczyć, a nie tylko zakładać, że wszystko będzie dobrze i nie będzie żadnych skutków ubocznych. Ja nie sprzedaję leków, tylko je badam.

Czy widzi pan ryzyko, że za 20 lub 30 lat po prostu przestaniemy próbować zapobiegać otyłości lub cukrzycy – i wszystkim związanym z nimi problemom – i po prostu będziemy brać leki, zapominając o źródłach problemu?

– Oby nie, bo to byłaby stracona szansa. Powinniśmy zawsze dążyć do zrozumienia, dlaczego problem się rozwija.

Możliwe, że najlepsze rozwiązanie jest bardzo proste, łatwe i tanie. I o wiele lepsze niż branie drogich leków przez lata przez miliardy ludzi.

Jako naukowiec nigdy nie zasugerowałbym zaprzestania badań nad przyczynami otyłości. ●

Etgar Keret:

Coś dobrego o Netanjahu

W Nowym Jorku jechałem uberem, taksówkarz zapytał mnie, skąd pochodzę. Kiedy powiedziałem, że jestem Izraelczykiem, odpowiedział: „Pięknie. Wy dobrze się znacie na zabijaniu ludzi”.

Francesca Caferri

la Repubblica

Słynny izraelski pisarz przyznaje: „Jesteśmy wykończeni. Jak aktorzy w nużącym serialu, który od lat nie daje nam chwili wytchnienia”.

Chronienie się przed irańskimi raketami na schodach w piwnicy budynku, w którym mieszka w Tel Awiwie – jeszcze niedawno byłoby to dla Kereta nie do pomyślenia. Jednak autor „Kolonii Knelera” jest specjalistą od surrealistycznych historii. Absurdalnych, ironicznych, szalonych – jak ostatnich kilka tygodni. „Tkwiemy po uszy w przedziwnym spektaklu”, mówi Keret, gdy przy stoliku w kawiarni obserwuje miasto budzące się po kilkunastu dniach strachu i powracające do życia, jakby nic się nie stało. Tel Awiw to jakby osobna wyspa pośrodku zajętego kolejnymi wojnami Izraela: surfing, aperol spritz, dym papierosów, muzyka, kolory. To miasto, które wydaje się zupełnie obok osadników i ich mesjanistycznych idei, daleko od przemocy na Zachodnim Brzegu, od masakr w Gazie. Ale to iluzja.

Nie pierwszy raz zadają panu to pytanie: jaka jest kondycja Izraela dzisiaj?

– Jeśli miałbym ująć to w dwóch słowach, to powiedziałbym: jesteśmy wyczerpani. Pani myśli pewnie o wojnie z Iranem, ale koszmarny, w którym żyjemy jest o wiele dłuższy niż ten najnowszy kryzys, zaczął się zresztą długo przed atakiem Hamasu 7 października 2023 r.

Po długiej pandemii nagle znaleźliśmy się na ulicach, bici przez policję, bo protestowaliśmy przeciw rządowi, który chciał zagarnąć całą władzę.

Potem 7 października, po którym mnożyły się kolejne zwróty tragicznej akcji: najpierw atak na Strefę Gazy, potem musieliśmy „koniecznie” zdobyć Rafah, potem wszystko zależało od zajęcia korytarza Filadelfia, a potem korytarza Netzarim. Codziennie budziliśmy się i zadawaliśmy sobie pytanie: a teraz co jeszcze strasznego się stanie? W ostatnich tygodniach do fabuły dołączyły nowe wątki: zabici irańskimi raketami i tysiące ludzi, którzy zostali bez dachu nad głową.

Ale kluczowe pytanie się nie zmienia: kiedy skończy się ten ponury film?

No właśnie: kiedy? Izrael jest w stanie wojny od 20 miesięcy, ale na ulicach przeciwko wojnie protestuje niewielu.

– Przeciwno której wojnie? Iran nie ma nic wspólnego z konfliktem z Palestyńczykami, to dwie bardzo różne sprawy. Od dwóch



FOT. EMMANUEL DUNAND

dekad za każdą izraelską ofiarą terroryzmu stał Iran: to on poruszał Hezbollahem i Hamasem. Mówimy o kraju, który nigdy nie krył, że chce nas zniszczyć i konstruuje bombę atomową. To prawdziwe zagrożenia dla egzystencji Izraela, wiedzą o tym wszyscy: tutaj nikt nie protestuje przeciw wojnie z Iranem. Zdajemy sobie dobrze sprawę, że Benjamin Netanjahu wykorzystał okazję, by uderzyć w Iran po złamaniu Hezbollahu: to całkiem inna historia niż wojna w Strefie Gazy.

Czy dobrze rozumiem, że mówi pan coś pozytywnego na temat premiera Netanjahu? Byłoby to pierwszy raz od lat...

– Zgadzam się z atakiem na irański program nuklearny, lecz nie z resztą: ataki na Teheran, w tym na symbole reżimu kosztowały życie wielu cywilów i nie były konieczne. Ale cofnęliśmy program nuklearny Iranu i mogę tylko mieć nadzieję, że i w kwestii Strefy Gazy przyniesie to teraz pozytywne skutki. Iran i Izrael zachowywały się jak dwójka krnąbrnych chłopców, których powstrzymało dopiero, gdy wkroczył dorosły i na nich wrzasnął. Miejmy nadzieję, że podobna taktyka przyniesie rozwiązanie także w Strefie Gazy.

Ma pan na myśli Donalda Trumpa? Ale jak by to miało wyglądać? Punkty, o które rozbiły się negocjacje, od których są te same: broń Hamasu, zakładnicy, nowe władze Autonomii Palestyńskiej.

– Wyłącznie powody polityczne stoją na przeszkodzie w zakończeniu tej wojny: skrajnie prawicowi przedstawiciele mesjanistycznych kolonistów w rządzie nie chcą zakończenia wojny teraz, bo chcą zasiedlać Gazę i wyrzucić z niej Palestyńczyków.

Ale dzisiaj Netanjahu jest silniejszy niż jeszcze przed miesiącem, może zawrzeć porozumienie, wyrzucić ekstremistów z rządu i przeprowadzić przedterminowe wybory. Mam nadzieję, że tak właśnie zrobi.

Problem Netanjahu nigdy nie dotyczył tylko jego samego, ale współpracowników i sojuszników, którymi się otaczał. To on zdecydował o wpuszczeniu do rządu skrajnej prawicy, która doprowadziła nas do punktu, w którym jesteśmy dzisiaj, ale teraz możliwe jest przecięcie tego węzła gordyjskiego.

Pańskim zdaniem jakie rozwiązanie dla Strefy Gazy byłoby słuszne?

– Odpowiedź nie leży w moich kompetencjach. Ale mogę powtórzyć pytanie, które zadają sobie miliony Izraelczyków i które po śmierci siedmiu kolejnych żołnierzy we wtorek stało się jeszcze pilniejsze. Co my robimy w Gazie? Najwyższy czas, by szukając odpowiedzi, spróbować wreszcie wysilić nieco mózgi.

Może jest już na to późno. Dopiero co wrócił pan z Nowego Jorku, zapewne na własne oczy przekonał się pan, że duża część świata dzisiaj już nie rozumie Izraela i jego obywateli.

– Opowiem pani pewną historię. W Nowym Jorku jechałem uberem, taksówkarz zapytał mnie, skąd pochodzę. Kiedy powiedziałem, że jestem Izraelczykiem, odpowiedział: „Pięknie. Wy dobrze się znacie na zabijaniu ludzi”. Jak organizujesz przyjęcie i chcesz kogoś, kto będzie śpiewał, zapraszasz Irlandczyka. Jak chcesz, żeby ktoś przygotował posiłek z makaronu, wołasz Włocha. A jak potrzebujesz kogoś od zabijania ludzi... wołasz nas.

Zbyt proste, nieprawdaż? Żyjemy w świecie uproszczonych narracji: kiedy ktoś z nas rozmawia z kimś spoza naszego kraju, od razu zauważa, że ludzie zawsze przejawiają silną potrzebę określenia się albo za Palestyną, albo za Izraelem, i nikt nie jest gotowy do słuchania czy prawdziwego dialogu. Nikt nie podważa krzywdy Palestyńczyków, bo z rąk Izraela zginęły ich tysiące. Ale my też mamy listę zarzutów wobec innych dookoła, moglibyśmy na przykład bez końca mówić o terroryzmie. Ja już nie zamierzam mówić o tym, kto ma rację, ale nie jest dobre zamknięcie się w złości, bez próby wnikienia w szczegóły.

Ale wie pani, co teraz sądzę? Że skoro nie jesteśmy w stanie ze sobą rozmawiać, może do zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie faktycznie potrzeba kogoś, komu brakuje empatii, zasad moralnych, ideologii: kogoś, kto podniesie głos na dwie ścierające się strony i potraktuje je jak kapryśne dzieci w przedszkolu: „Ma być tak i tak, koniec fochów”.

Nie muszę nic dodawać, prawda? ●
tłum. Bartosz Hlebowicz

Plecak ucieczkowy nie jest dla tchórzeza

Z PAULINĄ I ROMANEM
POLKAMI
ROZMAWIA KRYSZYNA
ROMANOWSKA
ZDJĘCIA: GRZEGORZ
CELEJEWSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL



Pacyfizm to coś innego niż bilet w jedną stronę do Hiszpanii.

KRYSTYNA ROMANOWSKA: Na początek proste pytanie. W skali od 1 do 10 – jak bardzo jesteście pacyfistami?

PAULINA POLKO: To zależy, jak rozumiemy pacyfizm. Jeśli jako ideologię, która dziwnym trafem prawie zawsze była antyzachodnia i wspierana przez reżimy sowieckie czy postsowieckie – to nie, nie jestem pacyfistką. Ale jeśli mówimy o pacyfizmie rozumianym naukowo, w duchu Johana Galtunga, norweskiego badacza pokoju – jako dążeniu do pokojowego rozwiązywania konfliktów, budowania wspólnot, sprawiania, by wojna była nieopłacalna – to jestem pacyfistką z wynikiem 11 na 10.

ROMAN POLKO: Ja odpowiem wojenną anegdotę. Kiedy jechałem transporterem podczas pierwszej misji pokojowej w byłej Jugosławii w 1992 roku, zobaczyłem na poboczu drogi stracha na wróble. Miał na głowie niebieski helm ONZ, a na szyi zawieszony napis czarną farbą: „Make love not war”.

Tam ludzie już wtedy śmiali się z sił pokojowych ONZ. Bo pokój, pacyfizm były dla nich pustymi hasłami. O czym wszyscy przekonali się później podczas masakry 8 tysięcy muzułmanów w Srebrenicy, której Serbowie dokonali przy milczącym udziale holenderskich pacyfistycznych „błękitnych helmów”.

Więc nie – nie umiem się wpisać w tę skalę.

Ale czym dla pana jest pacyfizm i czy odnajduje pan coś w nim dla siebie, może pan powiedzieć.

Roman: Mogę jak Paulina – zależy, jak rozumiemy to słowo.

Moja pierwsza reakcja jest klasycznie wojskowa: „chcesz pokoju, szykuj się do wojny” – czyli raczej nie pacyfizm. Ale też... nie agresja. Kiedyś wykładowca w Akademii Obrony Narodowej powiedział: „uczę was nie, jak jest, tylko jak powinno być”. A ja jako praktyk potrzebuję realizmu.

Więc dobrze, spróbuję się umieścić na pani skali. Powiedzmy – 5 na 10.

Spotkałam się nieraz z opinią, że dzisiejszy pacyfizm to wygodne alibi. Że w takich czasach to ucieczka od odpowiedzialności.

Roman: Nowoczesny pacyfizm to często powiedzenie: „dajcie mi święty spokój”, „nie moja sprawa, nie wtarcam się, jestem pacyfistą z przekonania”.

Paulina: Albo: „Armię mamy zawodową, niech ona się martwi obroną ojczyzny”.

Roman: Kilka razy w cywilu zdarzyło mi się ratować słabszych przed agresją: kobietę przed bijącym ją mężczyzną czy faceta, który groził, że zrzuci dziecko z kładki nad torami. Nikt inny nie zareagował. Bo reszta osób obserwujących była „nastawiona pokojowo”.

Dlatego ja też pytam tak, jak pani znajomi: czy pacyfizm to niekiedy świetna wypowiedź dla społecznej obojętności, a może wręcz dla tchórzostwa? Niestety, wspieranego systemowo – bo jeżeli zareaguje się na taką przemoc, trzeba się liczyć ze spisaniem przez policję i tym, że agresor może nas pozwać.

Paulina: Zgadzam się, że termin „pacyfizm” bywa nadużywany. Słyszeliśmy niedawno, że Łukaszenka to „pacyfista”, bo podczas wielkich rosyjsko-białoruskich ćwiczeń „Zapad” Białoruś ponoć wycofała się w głąb swojego terytorium.

Serio? Łukaszenka nie musi wysyłać czołgów – on realizuje zadania Moskwy na innej linii: przepycha uchodźców, destabilizuje granice, prowadzi działania hybrydowe. Jasne, można powiedzieć, że przez lata Białoruś była uczona, że jest „państwem pokojowym”, i liczni Białorusini mogą w to wierzyć. Ale to tylko szyld, za którym kryje się brutalny autorytaryzm. Łukaszenka sam mówi o sobie, że jest „pacyfistą” – bo to mu się politycznie opłaca. A wspiera rosyjską agresję z tylnego siedzenia. I to właśnie pokazuje, jak łatwo termin „pacyfizm” może zostać skażony. Może być narzędziem manipulacji, hasłem wygodnym także dla dyktatorów.

CZY WYPADA BYĆ PACYFISTĄ?

W naszych czasach to zasadne pytanie. Za wschodnią granicą trwa wojna, kolejna rozpala się na Bliskim Wschodzie, a Donald Trump kwestionuje nasze najważniejsze sojusze. „Zagrożenie” i „wojna” stały się słowami, których używamy codziennie w rozmowach z bliskimi, przyjaciółmi, w pracy. Straciliśmy poczucie bezpieczeństwa.

Owszem, wśród państw NATO Polska stała się prymusem, na obronność przeznaczamy 5 procent PKB. Ale nasze bezpieczeństwo zależy nie tylko od nowych czołgów, myśliwców i dronów. W równym stopniu – od nas samych. Od naszego poczucia obowiązku i gotowości do poświęceń.

Dyskusja, do której Państwa zapraszamy, nie jest wymierzona w samą ideę pacyfizmu. Pacyfiści są potrzebni, bo bez nich zostaną wyłącznie obojętni albo militaryści, a to oznacza nasz koniec. Ale czym dziś pacyfizm powinien być. Jakiej formy przybierać? Jak jednocześnie rozumieć i wcielać w życie tę ideę?

Potraktujmy te pytania jako okazję do zastanowienia się nad kondycją społeczeństwa, poczuciem tożsamości i zdolnością do autorefleksji. Czyli nad tym, kim jesteśmy i kim chcielibyśmy być. Już spróbowali się z nimi zmierzyć: • Bartosz T. Wieliński, wicenaczelný „Wyborczej”, znawca spraw zagranicznych i wojskowości • Sławomir Sierakowski, współzałożyciel Krytyki Politycznej, reprezentant nowego pokolenia lewicującej inteligencji i klasy średniej • Michał Olszewski, szef działu zagranicznego „Wyborczej”, reporter, pisarz, świadek wojny w Ukrainie. Ich głosy na Wyborcza.pl/magazyn.



The Eastern Frontier Initiative

- **Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmocnienia europejskiej demokracji.
- Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i Bellingcat (Holandia).
- Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Ale nie zgadzam się, że jako idea to obojętność. Wręcz przeciwnie: prawdziwy pacyfizm zakłada działanie – pokojowe, ale jednak działanie.

A czy żołnierz może być pacyfistą? Czasem się słyszy, że dziś armia – czy to demokratyczna, zachodnia, obrończa, czy agresywna i najeźdźcza, jak rosyjska – prócz zadań stricte militarnych ma „zdobywać serca i umysły”.

Roman: To trudne. W Iraku uczono nas counterinsurgency, inaczej – doktryny przeciwpartyzanckiej, czyli, między innymi, budowania relacji opartych na szacunku z ludnością cywilną, co w teorii miało zmniejszyć ryzyko, że lokalsi będą współpracować z partyzantami. Wielu wojskowym to się nie podobało. Śmiali się z rysunków typu „przytul drzewo, pogłaszcz kota”.

Na jednej z misji miałem w kompanii lekarza, chirurga Mirka, świetny fachowiec. Co ciekawe, nie nosił broni. Mówił wprost: „Ja tu jestem od ratowania życia, nie od walki”. I rzeczywiście – kiedy przychodziło co do czego, to facet szedł w strefy niebezpieczne bez żadnego uzbrojenia. Wchodził, gdzie wielu z nas nie chciało wejść. I ludzie – zarówno miejscowi, jak i nasi – naprawdę go szanowali. To on w dużej mierze budował nasz autorytet. Pokazywał, że jesteśmy na misji nie po to, żeby zabijać, ale by pomagać. Robił robotę, której nie da się przecenić.

No to opowieść z drugiej strony barykady: miałem żołnierza, pseudonim „Zwierzak”: silny, sprawny, na poligonie bez zarzutu. Pojechał na misję, bo chciał się po prostu bić. Tłuc każdego, kto mu stanie na drodze. Dla dowództwa – ideał, „świetny żołnierz”. Ale dla mnie? To nie był materiał na misję pokojową. Musiałem go wycofać. Miał mentalność, która mogła tylko przynieść tragedię.

Co sądzicie o zachodnich apelach o pokój, które nie uwzględniają kontekstu sprawy i ofiary?

Paulina: Dla mnie niesamowite – i przerażające zarazem – jest to, że dziś argumenty o „wyższości pokoju” bywają wykorzystywane do osłabiania tych, którzy się bronią. Oto ktoś się broni, bo został napadnięty, prosi o wsparcie, a świat mu mówi: „Nie, teraz pokój jest najważniejszy, zakończcie tę wojnę”. Ale jaki to pokój? Pokój, w którym agresor nie zostaje ukarany, a ofiara ma się poddać, by nie prowokować dalszej przemocy?

Coraz częściej światowi przywódcy powołują się na „pokój beprzymiotnikowy” – czyli pokój w wersji absolutnej, ponad wszystkim, oderwany od realiów. Pokój, który ma być dobrem samym w sobie, niezależnie od okoliczności. To bardzo niebezpieczny i nierozumny pacyfizm – służący do osłabiania tych, którzy walczą w sprawiedliwych wojnach. Do wywierania presji na obrońcę, żeby „się poddał dla bliżej nieokreślonego dobra ogólnego”. To ewidentne zrównywanie ofiary z agresorem i nadużycie idei pacyfizmu.

Pokój – owszem – musi być celem. Ale pokój musi być sprawiedliwy, bo inaczej nie

ma wartości. To zwyczajna kapitulacja. Ludzie pokroju papieża Franciszka czy Donalda Trumpa mówią, że „wszyscy jesteśmy winni braku pokoju”. Nie, nie jesteśmy. Jest różnica między napastnikiem a ofiarą. Jeśli nie ukarzymy Putina za jego zbrodnie – za mordowanie cywilów, za łamanie prawa wojennego – to pozwalamy mu odbudować potencjał. A wtedy może przyjść czas na kraje bałtyckie, na Polskę.

Dlatego protestuję przeciwko pacyfizmowi jako wytrychowi dla obojętności i kapitulancji. Bo pokój bez sprawiedliwości to nie pokój, to tylko pauza przed kolejną agresją. Jeśli przestaniemy wspierać Ukrainę, to zakończy się jej obrona. I wtedy jaki to będzie pokój? Pokój Putina? Mielśmy już takie „pokoje” po tych słynnych porozumieniach mińskich w 2014 roku.

Roman: Zgadzam się: historia zna zbyt wiele przypadków, gdy najczęściej ludzi ginęło w imię „niesienia pokoju”. Zawsze pod jakimś sztandarem: religii, ideologii, utopijnej wizji ładu. Ostatnio kalifat samowolnego Państwa Islamskiego też miał być „pokojem boskim” narzuconym siłą. Ale taka pokojowa uległość tej czy innej, choćby nie siłowej, ale pelzającej ekspansji, o której pisał Michel Houellebecq, opowiadając o przyszłości Francji w „Uległości”, nie prowadzi do harmonii – prowadzi do zniewolenia. To nie jest pokój – to kapitulacja ubrana w szlachetne słowa.

Zachód długo się ludził, że może wciąż gnąć Putina do wspólnej gry: gospodarczej, energetycznej, racjonalnej. Tymczasem on te mechanizmy wykorzystał nie po to, by się cywilizować, ale po to, by się wzbogacić i zbroić. Wojnę traktuje jako starcie cywilizacji – konflikt nie tylko o Ukrainę, ale też o odzyskanie dawnej imperialnej dominacji.

Jedna z moich znajomych, mama dwóch dorosłych synów, mówi bez ogródek: „Jeżeli wybuchnie wojna, kupujemy mieszkanie w Hiszpanii i wyjeżdżamy”. Inna zaproponowała synowi, że załatwi mu zwolnienie z obowiązku wojskowego. Chłopak odmówił i stawiał się na WKU, chociaż deklaruje, że jest pacyfistą. Mam wrażenie, że współczesne postawy wobec wojny i obrony ojczyzny są bardzo spolaryzowane – od ucieczkowej kalkulacji po gotowość do poświęcenia.

Roman: Dziękuję za te przykłady z życia, bo to realne wybory, a nie akademicka dyskusja. Powtórzę: dla wielu pacyfizm to wygodne wytłumaczenie tchórzostwa. „Nie będę walczył, bo jestem pacyfistą” – i mam spokój. Ale co z tymi, których zostawiasz? Starci, chorzy, dzieci – oni często nie mają jak uciec, a nie są w stanie się bronić.

W Ukrainie, w pierwszej fazie wojny ten, kto miał auto, paszport, pieniądze – uciekał. Kto nie miał – zostawał. I to ci, którzy zostawali, organizowali opór. Byli tacy, którzy wracali po pierwszym szoku, żeby jednak walczyć. A jednocześnie widzimy akcje wcielania do wojska siłą i kobiety broniące swoich synów, sąsiadów, znajomych. Bardzo trudno jest oceniać takie postawy i jestem ostatnią osobą, która by się tego pod-

Kilka razy w cywilu zdarzyło mi się ratować słabszych przed agresją: kobietę przed bijącym ją mężczyzną czy faceta, który groził, że zrzuci dziecko z kładki nad torami. Nikt inny nie zareagował. Bo reszta osób obserwujących była „nastawiona pokojowo”

RYŚ: JACEK GAWŁOWSKI



Ludzie nie wiedzą, jak wygląda wojna. Myślą, że jest tak jak na filmach: krew, śmierć, przemoc. Jasne, że to jest jej część. Ale życie toczy się dalej, tylko w absurdzie i niebezpieczeństwie

jęła. Muszę jednak powiedzieć, że ludzie po prostu nie wiedzą, jak wygląda wojna.

Myślą, że jest tak jak na filmach: krew, śmierć, przemoc. Jasne, że to jest jej część. Ale życie toczy się dalej, tylko w absurdzie i niebezpieczeństwie. I trzeba być w tym razem.

Dlatego uważam, że pacyfizm nie może być wymówką do zostawienia swoich.

Ale swoi mogą się wydawać dzisiaj niektórym... nie wiem, jak to ująć łagodniej niż „obcy”. Dalsi? Ostatnie wybory pokazały to bardzo przejrzystie.

Paulina: Dziś wielu mówi: „ja nie mam z tym nic wspólnego”, „ucieknę”, „to nie moja wojna”. Tyle że nie możemy stawiać wyboru numerycznego: albo 1. z bronią na froncie, albo 2. wyjazd za granicę. Obrona to także wsparcie, organizacja, edukacja, budowanie odporności społecznej. Dla mnie pacyfizm to nie jest bierne unikanie konfliktu. To świadome, aktywne działanie na rzecz wspólnoty – tyle że bez przemocy.

Mam znajome małżeństwo aptekarzy. Powiedzieli jasno: „Nie wyjedziemy. Nawet jak wojna przyjdzie – zostajemy. Będziemy pomagać”. I nie chodzi o to, że pójdą na front. Ich bronią są wiedza, umiejętność wydawania leków, rozmowa z ludźmi, którzy w panice nie wiedzą, co robić. Oni rozumieją, że wojna to nie tylko kule – to także stres, chaos, brak dostępu do pomocy. To jest dla mnie prawdziwy patriotyzm. Działanie w granicach własnych kompetencji, ale z poczuciem odpowiedzialności za innych.

I właśnie w tym widzę sens pacyfizmu. Bo on nie wyklucza działania – przeciwnie, wymaga go. Tyle że nie na polu bitwy, ale w przestrzeni społecznej, medycznej, prawnej, edukacyjnej. Pacyfizm to nie „nic”. To wybór działania innymi środkami – często trudniejszego, bo wymagającego więcej odwagi cywilnej niż tej fizycznej.

Istnieje teoria – tak twierdzą na przykład socjolożki Julia Kubisa i Katarzyna Wojnicka – że dzisiaj to „mężczyźni bronią

swoich ciał przed wojną”, nazywając to pacyfizmem i głosując na tych, którzy gwarantują im, że nie pójdą w kamasze. Taka kolejna odsłona światopoglądowego miszmaszu, w którym lewicowa narracja staje się argumentem w głosowaniu na prawicę.

Roman: Mentzen i Nawrocki skutecznie zbudowali w dużej części młodych męskich wyborców przekonanie, że tylko oni im zagwarantują, że nie pójdą do wojska i na wojnę. To cyniczne wykorzystanie kwestii bezpieczeństwa do budowania partyjnych przewag. Straszanie zamiast kształtowania postaw patriotycznych i integrowania wobec wspólnego zagrożenia.

Bo co, jak wojna przyjdzie do nas? Dalej będą te gwarancje podtrzymywać? Czy wszystkim zafundują bilet do Hiszpanii?

Paulina: Jeśli rzeczywiście strach przed pójściem do wojska i byciem wysłanym na wojnę był głównym czynnikiem decydującym o zagłosowaniu na Sławomira Mentzena, a następnie na Karola Nawrockiego, to znaczy, że większość społeczeństwa kompletnie nie rozumie, w jak poważnej sytuacji się znajdujemy. Bo jakoś nie wierzę, że gdy trzeba będzie – nie daj Boże – „zdać egzamin”, to jednak większość z nich zostanie bronić ojczyzny i swoich bliskich. Wciąż pozostają – oby tylko póki co – w budowanej przez populistów uludzie, że przed wojną da się jakoś ukryć.

Istnieje także inna wyraźna „postnowoczesna” postawa pacyfistyczna: „Nie wspominam o wojnie w ogóle”.

Paulina: Tak, zauważyłam ją. Tylko że to, że nie mówimy o wojnie, nie oznacza, że ona do nas nie przyjdzie. To jedno z największych złudzeń współczesnego Zachodu – że jeśli będziemy bardzo neutralni, bardzo pokojowi i uprzejmie milczący, to przemoc nas ominie. Ale historia pokazuje, że to nie działa. Wojna nie omija tych, którzy o niej nie wspominają. Ona przychodzi właśnie tam, gdzie ludzie uwierzyli, że nic się nie stanie.

Co tracimy jako społeczeństwo, jeśli przyjmiemy tę wygodną wersję pacyfizmu?

Roman: Tracimy odwagę i wspólnotę. Jeśli każdy myśli tylko o sobie, to nie mamy już społeczeństwa, tylko zbiór uchodźców wewnętrznych.

Paulina: Tracimy wiarygodność. Przez lata dostawaliśmy sygnały, że Putin to nie tylko polityk, ale też ktoś, kto systemowo łamie prawo międzynarodowe – Czeczenia, Gruzja, Krym... Mimo to naiwnie wierzyliśmy, że jak my będziemy pokojowi, to inni też. Ta głęboka wiara w symetrię – że wszyscy chcą pokoju i wszyscy mają takie same intencje – to jest też pokłosie idei pacyfistycznych.

Pacyfizm – ten naiwny, bezkrytyczny – bywa narzędziem dezinformacji. Mówi się: „To wojna dwóch stron”, jakby obie były równie winne. A przecież tu mamy sprawcę i kolejne ofiary.

Roman: Pamiętam doskonale jeden moment z Kosowa. Miałem wtedy rozkaz: „zabezpieczyć pokój”. Ciekawe, prawda? Co to znaczyło w praktyce? Mieliśmy wpuścić grupę Albańczyków do ośrodka narciarskiego położonego w serbskiej strefie. Tylko że żadna ze stron nie była gotowa na taki „pokój”. Skończyło się bitwą. Kamienie, pięści, zamieszki. Dla polityków to była „operacja pokojowa”. Dla nas – realne pole walki. I to uczy pokory wobec łatwych słów.

Co się działo w byłej Jugosławii? Ci ludzie przecież się znali. Chodzili razem do szkół, startowali w tych samych zawodach sportowych. A potem nagle zaczęli się nienawidzić. Tak bardzo, że nawet język przestał być neutralny – musieliśmy przechodzić na angielski, żeby móc w ogóle rozmawiać, bo mimo że byli się w stanie porozumieć w swoich językach, nie chcieli ich używać.

Właśnie wtedy zrozumiałem, że pokój nie rodzi się z samej chęci czy politycznego sloganu. Nie wystarczy ogłosić „rozejmu” albo „wspólnego projektu”. Pokój trzeba zbudować – krok po kroku, z rzeczy konkretnych. Jak zrobił to Caritas, który mię-

dzy zwaśnionymi enklawami postawił prowizoryczny ośrodek zdrowia. I nagle ci sami ludzie, którzy rzucali w siebie kamieniami, stali razem w kolejce do lekarza. Dla mnie to był najczystszy przykład realnego pacyfizmu, który leczy, ratuje i odbudowuje zaufanie – nawet na gruzach wojny.

Tylko mały odsetek Europejczyków deklaruje gotowość do walki o swój kraj. Czy pacyfizm wyklucza patriotyzm? I odwrotnie – czy patriotyzm oznacza przymus wojny?

Paulina: Społeczeństwo, które rozumie, że obrona kraju to więcej niż karabin, jest silniejsze. Pacyfizm jako postawa współpracy – to ma sens. Ale nie jako bilet w jedną stronę do Hiszpanii.

Przykład państw skandynawskich, takich jak Szwecja czy Finlandia, pokazuje, że przygotowanie na kryzys nie wyklucza postawy pacyfistycznej. Wręcz przeciwnie – opiera się na odpowiedzialności obywatelskiej i konsekwentnym budowaniu kultury gotowości. Skandynawowie przez lata rozwijali systemy obrony cywilnej, szkolenia ewakuacyjne, procedury kryzysowe, bo życie w surowym klimacie ich do tego zmusiło. Jeżeli śnieg ich zasypał i drogi nie było przez dwa dni, to nikt nie czekał na państwo – ludzie sobie pomagali, wiedzieli, co robić. Z takich doświadczeń rodzi się zdolność przetrwania. I właśnie o to chodzi. U nich gotowość jest dowodem nie paniki, tylko rozsądku. Pokój to nie jest brak wojny, tylko stan, który trzeba aktywnie pielęgnować – nawet jeśli nic się nie dzieje.

W Polsce, niestety, przespaliliśmy tę lekcję. Pandemia COVID-19 była momentem, który mógł coś zmienić. Pokazała nam nasze słabe punkty: chaos informacyjny, brak zasobów, problemy z zaufaniem do instytucji. Ale co z tego wynikało? Niewiele. Nie zbudowaliśmy realnej kultury bezpieczeństwa. Nie poprawiliśmy odporności wspólnotowej. Nie zadbałszy o edukację kryzysową.

Pod tym względem Skandynawowie są znacznie bliżej współczesnego, pragmatycznego pacyfizmu niż ci, którzy ograniczają się do pustych deklaracji sprzeciwu wobec wojny, ale niczego nie robią, by się na nią przygotować.

Jeśli ktoś mówi: „jestem pacyfistą, więc uciekam” – to nie jest pacyfizm, to strach. I nie mówię tego pogardliwie. Strach to ludzka reakcja. Ale patriotyzm polega na tym, że nawet z tym strachem szukasz sposobu, żeby zostać, pomóc, zrobić cokolwiek. Jak Desmond Doss, amerykański sanitariusz wojskowy i bohater wojenny znany z tego, że jako adwentysta dnia siódmego i pacyfista odmówił noszenia broni, a mimo to uratował życie dziesiątkom żołnierzy podczas II wojny. Co w wersji fabularnej można zobaczyć w filmie „Przełęcz ocalonych”.

Roman: Moi żołnierze często mówili: „Nie pójde na misję, jeśli nie zabezpieczę rodziny”. I mieli rację. Gdy w Kosowie zginął mój kolega Zbyszek Wydrych, jego żonie odmówiono odszkodowania. A ona poświęciła wszystko, by wspierać męża. Zanim więc będziemy od ludzi wymagać heroizmu, musimy zapewnić im podstawy – bezpieczeństwo rodzin, wsparcie systemowe.

Patriotyzm nie polega na tym, że każdy musi być komandosem. 80 proc. zadań w wojsku to dziś wsparcie – techniczne, logistyczne, medyczne. I najgorsze, co możemy zrobić, to podzielić ludzi na „bohaterów” i „tchórzy”. Bo ci, którzy dzisiaj się boją, mogą się jutro okazać najodważniejsi. A ci, którzy dziś najgłośniejszy krzyczą, mogą pierwsi uciec.

Paulina: Nie mamy też koordynacji. W Skandynawii ludzie wiedzą, że przez pierwsze 72 godziny kryzysu muszą radzić sobie sami – tego uczy się dzieci, to jest wpisane w kulturę.

Weźmy Finlandię. Od dekad mają Rosję za sąsiada, ale nie epatują strachem. Uczą samowystarczalności. Ich rozproszenie geograficzne, śnieżyce, odcięcia dostaw – wszystko to nauczyło ich radzenia sobie w kryzysie. To się przekłada na ich podej-

ście do wojny: chłodne, konkretne, oparte na praktyce, a nie emocjach. A u nas? Wystarczy pół godziny przerwy w dostawie prądu i już panika, bo „serial się nie nagrał”.

Tymczasem ta sama idea – społecznej odporności – została przecież wpisana nawet do naszej nowej ustawy o ochronie ludności. Tylko nikt tego nie czyta.

Czy pacyfizm pojawia się dziś w programach studiów związanych z bezpieczeństwem?

Paulina: Tak, zdecydowanie. Uczymy o wojnie i pokoju – również o pacyfizmie, ale nie jako abstrakcyjnej idei, tylko jako realnym nurcie intelektualnym i społecznym, który ma swoje miejsce w refleksji nad obronnością.

Co ciekawe, jeszcze kilkanaście lat temu wojsko było bardzo zamknięte na ludzi z zewnątrz. Moi najlepsi studenci musieli naprawdę się nagimnastykować, żeby dostać się do armii. Traktowano ich nieufnie, jakby cywilne wykształcenie osłabiało militarny etos. Dziś sytuacja się odwróciła – to armia zabiega o kontakt z uczelniami. Mamy legie akademickie, programy partnerskie, zaproszenia do współpracy.

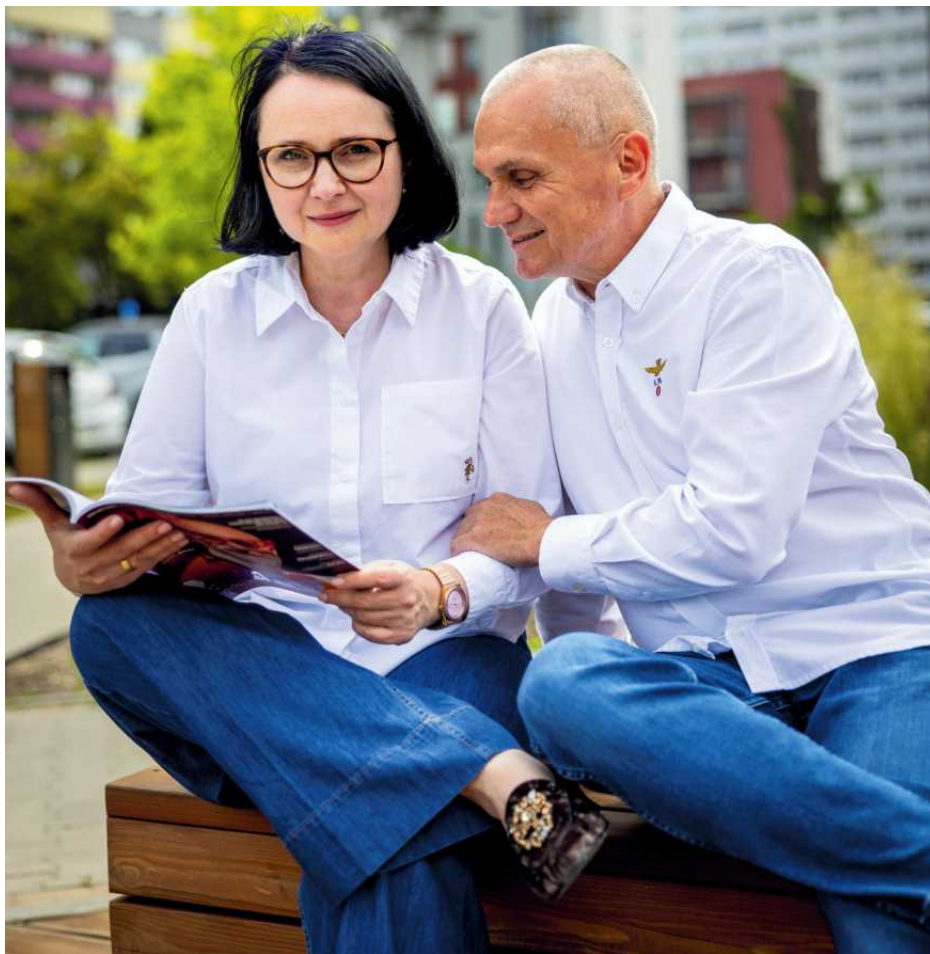
I, co ważne, studenci są bardzo różni. Jedni są zdeterminowani, chcą bronić kraju, uczą się, ćwiczą. Inni mówią wprost: „Jeśli wybuchnie wojna, wyjadę”. To różnicowanie pokazuje, jak bardzo potrzebujemy rozmowy o tym, czym jest dziś obywatelska gotowość.

Roman: Ale umówmy się, że problemem wojska dzisiaj jest fatalna komunikacja z cywilami. Młodzi ludzie przychodzą do wojska i zamiast rozmowy słyszą: „Będziesz robił to i to”. A może warto zapytać: „Co umiesz, gdzie możesz pomóc?”. Wojsko nie może być miejscem rozkazów bez rozmowy.

A może my w ogóle, nie tylko w wojsku, nie jesteśmy przygotowani do rozmawiania? Na przykład z ludźmi o ich roli w sytuacji zagrożenia, tak bez zaciśniętego gardła i oczu umykających na boki?

Paulina: Jeszcze nie jesteśmy. I tu odpowiedzialność spada na całą klasę polityczną – od prawa do lewa. Dyskusja o ewentualnym zaangażowaniu Polski w Ukrainie została przeprowadzona w sposób haniebny. Strasznie poborem, sianie paniki, bez żadnej logiki. A przecież nie mówimy o wysyłaniu tysięcy żołnierzy, jak do Iraku czy Afganistanu! A przypomnę, że w przypadku tych misji uznawaliśmy ich zasadność.

Dla nas Ukraina jest przecież niewyczerpanym źródłem doświadczeń nie tylko stricte militarnych. Może dobrze byłoby zacząć rozmawiać z ludźmi, którzy przez to już przeszli. Na przykład z osobami odpowiedzialnymi za obronę cywilną w Ukrainie. Oni mają wiedzę z pierwszej ręki: jak organizować pomoc, jak zarządzać paniką, jak utrzymać wspólnotę pod presją? Zamiast



Dr Paulina Polko i Roman Polko

- Dr Paulina Polko – ekspertka od bezpieczeństwa, wykładowczyni w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej, współautorka (z mężem generałem Romanem Polką) książki „Bezpiecznie już było” (dostępna w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl).

- Roman Polko – generał, komandos, dwukrotny dowódca GROM-u, doktor zarządzania. Kierował zagrańicznymi misjami wojennymi i stabilizacyjnymi. Doradzał prezydentowi Warszawy oraz ministrowi spraw wewnętrznych i administracji w spra-

wach zwalczania terroryzmu i bezpieczeństwa. Był zastępcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

- Rodzice Dominiki i Krzysztofa, nastolatków o usposobieniach umiarkowane i mocno pacyfistycznych.

projektować gotowość od zera, moglibyśmy zapytać tych, którzy już wiedzą, co działa, a co nie. Ale zamiast o tym rozmawiać, robi się z pacyfizmu parawan dla strachu politycznego.

Roman: Czysta hipokryzja. GROM już tam jest – szkoliliśmy Ukraińców, działaliśmy z innymi jednostkami specjalnymi. Ale oficjalnie nikt się nie przyzna, bo politycznie wygodniej mówić: „Nic się nie dzieje”. Nie ma nawet formatu tej misji, ale już są ludzie, którzy krzyczą: „Nie wysyłajmy niko-go!”. To nie pacyfizm. To unikanie odpowiedzialności.

Wróćmy do postawy tego chłopaka z rodziny liberalno-lewicowej, o którym opowiadałam – mógł się wywinąć od wojska, a jednak poszedł. Co to dla was znaczy?

Roman: To znaczy, że został dobrze wychowany. Odwaga polega na tym, że nie uciekasz od wyzwań.

Paulina: Takie decyzje to promyk nadziei. Ale też pokazują, że trzeba mówić głośno: armia to nie jest tylko walka. To system, w którym każdy może coś dać – nawet jeśli nie trzyma broni.

Nawet jeżeli żyjesz w konsumpcyjnym społeczeństwie, w którym problemem jest wybór kierunku na wakacje?

Paulina: Nawet i przede wszystkim. Tyle że edukacja obywatelska została po prostu zaniedbana. A przecież nawet drobne doświadczenia budują gotowość.

Kiedyś przyszła do nas policja, żeby skontrolować przechowywanie broni. Nasza córka Dominika miała może pięć lat

i powiedziała zupełnie spokojnie: „Ja się nie boję, bo policja pomaga dzieciom”. To był efekt edukacji w przedszkolu, nie żadnej wielkiej kampanii. Ale działa.

Roman: Ale bardzo łatwo zepsuć tę markę. Wystarczy jeden incydent, jedno złe użycie siły, jedno złe rozkazodawstwo – i zaufanie się sypie.

Macie plecaki ucieczkowe?

Paulina: Roman kupił dwa, ale to raczej plecaki turystyczne.

Roman: Ten cały mit plecaka ucieczkowego wywołał tylko niepotrzebną panikę i podsyłał dyskusje o wyjeździe do Hiszpanii, gdy tylko coś się zacznie. Tymczasem plecak ewakuacyjny to nie jest zestaw dla tchórza, który planuje ucieczkę z kraju przy pierwszym zagrożeniu. To element zarządzania kryzysowego – ma ci pomóc przetrwać pierwsze godziny po awarii, ataku, katastrofie. W Skandynawii to norma, a nie deklaracja polityczna.

Ktoś kiedyś w rozmowie ze mną dziwił się, że w Ukrainie walczą i giną artyści: reżyserzy, poeci, malarze, pisarki.

„Nie powinni walczyć, oni nie są od tego” – powiedział ten ktoś.

Paulina: To ja się zapytam: a co mają zrobić? Namalować gołąbka pokoju na ruinach szpitala albo teatru?

Roman: Jest taka stara maksyma Napoleona – że morale ma się do siły fizycznej jak trzy do jednego. I to jest prawda. Dlatego, gdy znani ludzie – artyści, sportowcy – mówią „będę walczył”, to działa. Nie dlatego, że mają doświadczenie bojowe. Tylko dlatego, że dają przykład. Pokazują, że wspólnota nie kończy się na scenie czy parkiecie. Weźmy Marcina Gortata – powiedział, że nie ucieknie, jeśli przyjdzie wojna. I to nie jest pusty gest sportowca celebryty. Bo młodzi to słyszą. Daje im to sygnał: jesteście w tym razem.

Gram w hokejowej reprezentacji artystów polskich. Kiedyś powiedziałem Maciejowi Maleńczukowi – który w komunie siedział za odmowę służby wojskowej – że jakby trafił do mnie, to zostałby bardzo dobrym zawodowym żołnierzem. I wierzę, że tak by się stało.

Miałem podczas misji chłopaka z wyrokiem za odmowę – dosłownie go zapakowano do pociągu i wysłano do mnie na misję do Jugosławii. Z totalnego absurdu zrobił się przykład, bo ten chłopak został moim najlepszym żołnierzem. Awansował, działał, był lojalny. Czasem ludzi nie trzeba zmieniać – wystarczy im pozwolić się sprawdzić.

I właśnie dlatego obecność artystów w dyskusji o wojnie nie jest zdradą ich ideałów. Jeśli naprawdę chcą bronić wartości, które reprezentują – wolności, prawdy, życia – to czasem trzeba też stanąć fizycznie, nie tylko symbolicznie.

Nie chodzi o to, żeby każdy pacyfista miał karabin. Ale niech nie myli go z obojętnością. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

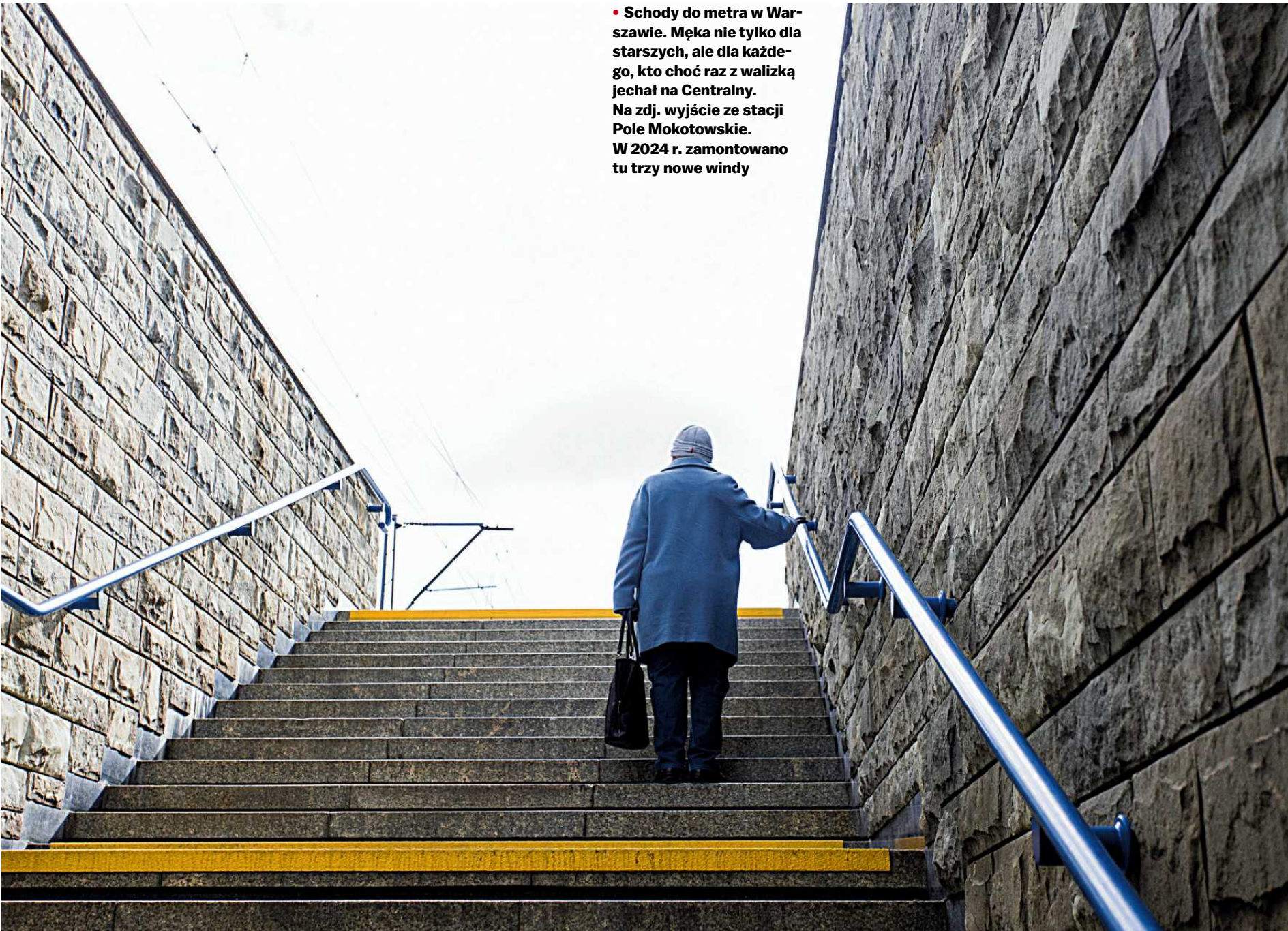
Kraj/34383518

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ” PORADNIK ZDROWOTNY

Cukrzyca

- Nowe wytyczne dotyczące zmiany stylu życia dla osób chorujących na cukrzycę i mające stan przedcukrzycowy
- Jak zapanować latem nad cukrzycą?





• Schody do metra w Warszawie. Męka nie tylko dla starszych, ale dla każdego, kto choć raz z walizką jechał na Centralny. Na zdj. wyjście ze stacji Pole Mokotowskie. W 2024 r. zamontowano tu trzy nowe windy

Zaprojektowane
po ludzku

Z MAGDALENĄ MILERT,
ARCHITEKTKĄ I URBANISTKĄ*
ROZMAWIA NATALIA MAZUR

SURYKATKA W MIEŚCIE

We wszechświecie
równoległym, gdzie role
kobiet i mężczyzn
byłyby odwrócone,
miasto wyglądałoby
jak galeria handlowa.

NATALIA MAZUR: Często bywam z rodziną w pewnym mieście nad jeziorem.. Dom krewnych znajduje się 2 km od fajnie urządzonej plaży. Ale nigdy tam nie chodzimy. Przypomniałam sobie o tym, gdy czytałam w pani książce, że drobne różnice w urządzeniu przestrzeni wokół nas mają wielki wpływ na to, jak żyjemy. Od wyboru celu spacerów po życie towarzyskie, a nawet zdrowie psychiczne. Magdalena Milert: To prawda, na to, jak poruszamy się po mieście, wpływ ma wiele pozornie drobnych rzeczy. Wystarczy, że na danej trasie są schody, kładka dla pieszych, przejście podziemne, by część ludzi jej nie wybrała. To szczególnie ważne dla tych, którzy poruszają się z wózkiem lub na wózku

– dla nich droga ta okazuje się nie do pokonania. Znaczenie ma to, czy wzdłuż drogi stoją ławki, czy są drzewa dające cień...

No właśnie: cień! Gdy w końcu wybrałam się na plażę, po półgodzinnie na patelni wiedziałam, dlaczego w upał wolę iść za drzewioną aleją na cmentarz. A przecież w miastach żyją też ludzie mniej sprawni i zdrowi niż ja. Jak 83-letnia pani Halina z pani książki – latem wychodzą z domu raz w tygodniu, a zimą wcale, bo chodnik może być śliski. Choć z drugiej strony: osoby z różnymi niepełnosprawnościami widoczne są w miastach coraz bardziej.

– Bo wreszcie wymagamy dostępności i np. tworzenia ramp dla wózków. W 2015 r. na przejściach dla pieszych w końcu wprowadzono jednolite sygnały dźwiękowe dla osób niewidomych i niedowidzących, w przemieszczaniu się po mieście pomagają im charakterystyczne linie ze żłobieniami.

Nie wszystkie potrzeby dostrzegamy w równym stopniu: wciąż problemem jest choćby zanieczyszczenie hałasem, wpływające na zdrowie nas wszystkich, szczególnie jednak doskwierające osobom nadwrażliwym na dźwięki czy niedosłyszącym, zaś

rozkłady jazdy na przystankach drukowane są drobnym maczkiem.

Za mało mówimy o tym, że np. osobom z depresją trudniej się zmagać z miejskimi wyzwaniem: niektóre leki przeciwdepresyjne zwiększają ryzyko udaru, miejska wyspa ciepła jest więc dla chorych niebezpieczna.

Wiele jest do zmiany, ale przynajmniej zgadzamy się, że ograniczenia nie powinny nas wykluczać ze społeczeństwa, wszyscy jesteśmy jego równoprawnymi członkami.

I różnosprawnymi – podoba mi się to określenie.

– Samo słowo niepełnosprawność sugeruje, że komuś czegoś do pełni brakuje. A przecież bywamy sprawni w różnym stopniu: ktoś skręci kostkę i porusza się o kulach, ktoś inny pcha wózek z dzieckiem, wszyscy się starzejemy. W ślad za tym, że to dostrzegamy, idą zmiany w przepisach – to prawo wymaga, by przestrzeń pozbawiona była barier.

Tytuł książki jest pytaniem: „Dla kogo jest miasto?”. I zdaje się, że wciąż przede wszystkim dla silnych mężczyzn, którzy sprowadzą się tu, by pracować w fabry-

kach. Nawet jeśli fabryki dawno pozamykano, miasto trwa w dawnej formie.

– Już w starożytnej Grecji i Rzymie to mężczyźni przybywali na agorę, na forum; to oni zabierali głos, decydowali, jak miasto będzie wyglądało, co i gdzie powstanie. I to tylko ci spośród nich, którzy byli obywatelami, bo biedniejsi nie mieli żadnych praw.

Kształt naszych miast wynika z ról, jakie odgrywamy w społeczeństwie: kobietom powierzano funkcje opiekuńcze, a władzę sprawowali mężczyźni.

W kamieniu, w betonie zakłęte są wykluczenia, reproduktowane z pokolenia na pokolenie, powielane w decyzjach planistycznych, projektowych. Drogę do zmian otworzyło dopiero poszerzenie praw wyborczych.

Jestem przekonana, że gdyby stworzyć wszechświat równoległy, w którym odwracamy zadania i to mężczyzna odpowiada np. za opiekę nad dzieckiem, zupełnie inaczej podchodzilibyśmy choćby do kwestii dostępności.

I jak wyglądałoby miasto w tym wszechświecie?

– Tu akurat jest gotowa odpowiedź: jak galeria handlowa. Nie bez powodu widuje-

my w galeriach tyle osób, które gdzie indziej czułyby się wykluczone. Spotykamy rodziny z dziećmi, młodzież, która nie ma swoich miejsc, spędza czas właśnie tam.

Kręte pasaże zachęcają, by po nich spacerować, sprawdzać, co kryje się za zakrętem. Zapewniają ochronę przed deszczem, wiatrem i słońcem, wyposażone są w miejsca do siedzenia, toalety z przewijakami, między poziomami przemieszczamy się po ruchomych schodach lub windą. Galerie realizują kapitalistyczną wizję miasta, w którym żyjemy głównie po to, by konsumować, ale mają przypominać zwykłą miejską ulicę – uzupełnioną o podstawowy komfort.

A jeszcze w wielu galeriach mamy zieleni, fontanny, stylizowane lampy i ławki. Nawet kawiarnie mają nam się kojarzyć z ulicznymi lokalami, ze stolikami w pogodne dni wystawionymi na patio. Oczywiście inna jest akustyka i oświetlenie, ale podstawowe elementy nawiązują do staromiejskich ulic.

Byłam ostatnio w galerii handlowej, w której dzieci między piętrami mogły zjechać po krętej zjeżdżalni.

– Tak, jest też sporo miejsc angażujących dzieci, małych placów zabaw.

Mamy pod ręką gotowiec, ale wciąż nie przychodzi nam do głowy, by w taki sposób projektować miasta: brać ulicę i dorzucać galeryjne udogodnienia.

– Przychodzi i nie przychodzi. Przepisy się zmieniają i coraz częściej zgadzamy się, że przestrzeń powinna się do nas dostosować. Ale wciąż potrzebne są aktywne działania, które pomogą przesunąć punkt ciężkości z wykluczania na włączanie.

Przez wieki narastało przekonanie, że to użytkownik ma się dostosować do otoczenia. Jeśli teren był niedostępny, nazywany był „zatorzem”, „zagórzem” czy „zablociem” i po prostu uchodził za gorszy. Przez lata tak to działało i było dobrze, prawda? „Nikt nie narzekał”. Choć oczywiście narzekał, ale ten głos nie był słyszany.

Trudno sobie wyobrazić, że np. grupa górników z dzielnicy przy zamkniętej kopalni zwraca się do miasta z wnioskiem, by wyrównano im chodnik przy osiedlu, bo to ich najpilniejsza potrzeba. Ktoś, kto sprawuje w mieście władzę, musi się raczej rozejrzeć za tymi, których widać i słyszać mniej, i uwrażliwić na ich potrzeby. Co nie znaczy, że ma ignorować problemy górników.

Tym bardziej, że zwykle do władzy przychodzi ten, kto ma w tym jakiś interes, deweloper czy inny inwestor mający w zamysle duży projekt, a nie starsza pani, której dodatkowa ławka na codziennej trasie z mieszkania do sklepu znacząco poprawiłaby jakość życia.

Czasem się nawet grupa takich zwykłych mieszkańców zbiera i coś załatwia dla siebie i innych. I od razu jest wielkie wow! Omówienia na konferencjach i w doktoratach.

– Przykładem takiej akcji, która się powiodła i odbiła głośnym echem, są przejścia naziemne przy Dworcu Centralnym w Warszawie, które uwolniły ludzi z labiryntu przejść podziemnych. Wywalczyli je aktywiści z grupy Miasto Jest Nasze. Było to w 2015 r., opór był ogromny, że co ci aktywiści wymyślają, po co im te pasy, jakby nie można było sobie po prostu pod ziemią przejść, przecież jak wszyscy zaczęli chodzić ulicą, robią się straszne korki.

W tej narracji brakowało dostrzeżenia, że windy, które pozwalają się wydostać z podziemi, czasem się psują, często są niewymiarowe, nie mieszczą wózka z bliźniakami czy większego wózka inwalidzkiego. Nie wspominając już o tym, że użytkownik często korzysta z przejść podziemnych w Warszawie metodą „na surykatkę”. Wychodzi na górę, wyciąga szyję, sprawdza, czy to właściwe wyjście, jeśli nie, próbuje kolejnych wyjść, do skutku.

Jeśli wyjścia są cztery, wschód, zachód, północ, południe, jeszcze jesteśmy w stanie to ogarnąć, przy dziesięciu to już jest wyzwanie.

Pasy wymalowano i okazało się, że nie przetacza się przez nie morze ludzi jak na słynnym przejściu Shibuya w Tokio, a przestali tracić pół godziny na podziemną wędrówkę. Widzimy więc, że zmiany są możliwe, ale potrzeba odpowiedniego kapitału ludzkiego, by je przeprowadzić.

Ja metodę „na surykatkę” nazywam „grą w kreta”. I muszę przyznać, że inne miasta też ją organizują. W Poznaniu wygrywam, bo znam podziemne przejścia tego miasta od dziecka, ale krakowski dworzec dostarcza nie mniejszych wrażeń niż warszawski.

– Dworce w Krakowie, Poznaniu i innych miastach działają według podobnego schematu: potok ruchu podróżnych celowo kierowany jest przez galerię handlową. Chodzi o to, by „zachęcić” do zakupów po drodze, zanim jeszcze wyjdzie się z dworca. Pasażer zmuszony jest do wędrówki między poziomami: z poziomu minus jeden na zero, potem znowu w dół, często zmagając się z niesprawnymi schodami ruchomymi albo źle rozmieszczonymi windami. Alternatywne wyjścia są zwykle słabo oznaczone albo prowadzą gdzieś bokiem, bez jasnej informacji, jak dotrzeć do centrum miasta.

Dla wielu osób – zwłaszcza turystów, którzy nie znają topografii miasta, dźwigają walizki czy torby – to doświadczenie bywa frustrujące i zupełnie nieintuicyjne. Wiem, że przed chwilą wspominałam o galeriach jako o dobrych rozwiązaniach, ale trzeba rozróżnić, że co innego to swobodne szwendanie się po takich „uliczkach”, a co innego próba bardzo szybkiego przemieszczenia się na peron.

W Krakowie nawet do galerii nie umiałam trafić, więc mam postulat: wydziały odpowiedzialne za znakowanie dróg powinny być obsadzone ludźmi z zewnątrz. To chyba zresztą klucz do dobrego projektowania miasta: pytać wielu różnych ludzi o to, jak coś zrobić.

– Tak, bo miasto jest konglomeratem różnych użytkowników i wypadaloby projektować nie tylko z myślą o tych, którzy jakoś sobie poradzą. Dla wielu zamiana bruku na równe płyty będzie niewidzialna, ale dla części z nas to game changer.

Dlatego tak ważne, by pytać. Nie organizować fasadowych konsultacji, bo ustawa wymaga, tylko z autentycznym zaciekawieniem pytać.

Jest taka grupa, którą o zdanie pyta się rzadko, choć każdy z nas przez część życia do niej należy: nastolatki. Za starzy na place zabaw, za biedni na kawiarnie, nie mają gdzie się podziać w kraju, w którym oprócz lata jest też jesień, zima i wczesna wiosna.

– Pomyślmy, w jakich przestrzeniach mogą przebywać młodzi ludzie. Dom kultury jest dla zapisanych na zajęcia, zatem gdzie? Może być skatepark, „orlik”, ale – to stereotypowe podejście – tylko dla aktywnych, na dobrą pogodę, więc zwykle jest jakiś murk pod daszkiem. Siedzą i zaraz pojawia się myślenie, że ojej, pewnie będą pić alkohol albo, nie wiem, rzucać kamieniami. Są jeszcze galerie handlowe i fast foody i tam ich często znajdziemy, bo mają miejsca do siedzenia w grupie, często internet. Ale i tak to raczej miejsce dla tych, którzy mają trochę kasy na „wielką dolewkę”.

Nastolatki już są za duże, by rodzice wszędzie ich odwozili i odbierali, jednak za młodzi na prawo jazdy. O ile młodzież miejska może się jeszcze poruszać komunikacją zbiorową, o tyle sytuacja młodzieży podmiejskiej jest fatalna. Trzeba wstawać o godz. 4.30, by zdążyć na autobus, zrywać się 15 minut z ostatniej lekcji, by załapać się na powrotny, albo czekać kolejne trzy godziny, tylko... no właśnie gdzie? Nie wiadomo. Nie ma takich przestrzeni, w których młodzi mogliby sobie posiedzieć jesienią, zimą, wiosną, kiedy pada, wieje.

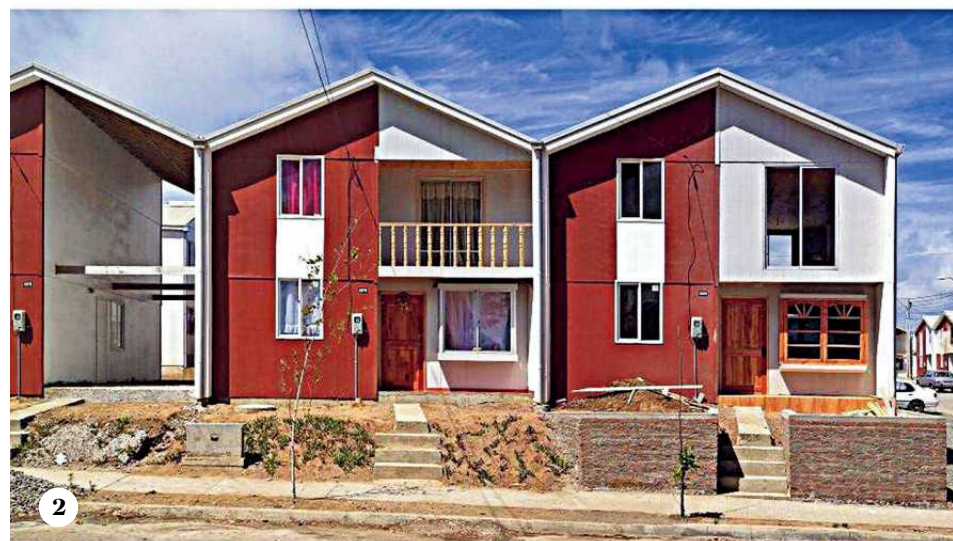
To ogromna grupa społeczna, zupełnie niezagospodarowana, kompletnie przeczczysta, szara, nikt ich nie dostrzega,



▲ **Warszawa. Plac i schodki między dolnym wejściem do galerii handlowej Złote Tarasy a Dworcem Centralnym. Popularne i głośne miejsce spotkań młodzieży. Nie tylko w wakacje. Spędzają tu całe dnie siedząc na płytach w półkolistym ułożonym patio w pobliżu wejścia do Hard Rock Cafe**

▼ **Villa Verde, osiedle domów socjalnych w Constitucion w Chile, projekt architekta Alejandro Avarena. Przykład realizacji idei „połowa dobrego domu” tzn. połówki tych budynków (po 36 m kw) są finansowane ze środków publicznych (zdz. 1), a jeśli z czasem rodzina ma budżet, może łatwo zwiększyć sobie metraż (zdz. 2)**

▼ **Poznań. ul. Słowiańska w 2019 roku. Mieszkańcy osiedla, przechodnie i studenci skracają sobie drogę, przez barierkę i trawnik, od przystanków komunikacji miejskiej do sklepu Biedronka i uniwersyteckich akademików „Zbyszko” i „Jagiennka”. Znakomity przykład, jak życie prostuje złe wytyczone chodniki i przejścia**





A takie rozwiązania są.

– I wcale nie kosztowne, można np. zamiast burzy, adaptować istniejące już budynki. Architekt Alejandro Aravena zaprojektował w Chile osiedle, które składało się z połówek domów o powierzchni 36 m kw., które mieszkańcy mogli potem sami rozbudować na drugiej części działki, stosownie do potrzeb i możliwości budżetowych.

To ciekawy kontrast do programów w rodzaju „Extreme home makeover”, polski tytuł „Dom nie do poznania”. Przyjeżdża ekipa, wysyłała rodzinę do Disneylandu, burzyła istniejący dom i budowała nowy, wielki. Niektóre rodziny nie były potem w stanie utrzymać tych metraży – mieli małe mieszkanko, żyli na kupie, a tu nagle mają sobie poradzić w 300-metrowym pałacu, zapłacić podatek, ogrzać to wszystko. Ładowali z poważniejszym problemem, niż mieli na początku, popadali w długi.

Rozwiązaniem jest dopuszczenie anarchitektury, czyli architektury anarchistycznej, pozasystemowej, tworzonej w kontrolowanych warunkach, a jednak oddolnej. Jeśli mamy otwarte głowy, jesteśmy w stanie zmierzyć się z wieloma wyzwaniem. I niekoniecznie przez prestiżowe inwestycje za wielkie miliony, na których otwarcie przyjeżdża Paris Hilton. Proste rozwiązania nie są spektakularne, ale potrafią spektakularnie odmienić życie.

I są to nie tylko rozwiązania problemów bezdomności, ale też tworzone z myślą o innych grupach w potrzebie: młodych, seniorach, głuchych, niedowidzących. Omawia ich pani w książce całkiem sporo. I myślę sobie tak: mamy chciwy kapitalizm, nieudolne państwo i – na szczęście – dzielnych obywateli, którzy choćby na małą skalę, ale jednak rozwiązują problemy. Konkurs Zaprojektowane po Ludzku, który niedawno zakończyliśmy w „Wyborczej”, pokazał, że te punkty tworzą godne podziwu mrowie.

– Tak, ja też widzę, że coraz fajniejsze rzeczy się dzieją. Dużi gracze zresztą też chętnie włączają się w różne akcje, kierując się społeczną odpowiedzialnością biznesu, więc daleka jestem od mówienia, że kapitalizm jest z gruntu zły. Gdy powstaje nowy biurowiec, to już nie jest budynek plus parking, ale część tego parkingu staje się terenem zieleni z ogrodem deszczowym, fotowoltaiką, część przeznaczona jest dla rowerów. Widać jaskółki zmian.

Samorządy promują aktywność obywatelską. Nie jestem superfanką budżetów obywatelskich, które przekształciły się w konkurs pisanie wniosków, ale warto zauważyć powstawanie rad młodzieży, rad senioralnych. Widać, że ta władza jest w jakimś stopniu przekazywana w dół. I dzięki naciskowi społecznemu różne sprawy się udają: odbetonowanie rynków, usunięcie ogrodzeń, eventy sąsiedzkie. Mieszkańcy dogadują się z władzami, by np. na weekend zamknąć ulicę, by dzieci mogły pograć w piłkę, a dorośli przynieść krzesła i sobie posiedzieć.

chyba że zaczną psocić. Ale żeby dać im jakąś sprawczość, demokrację, przestrzeń, którą mogliby tworzyć, odpowiadać za nią – o tym nie ma mowy.

Prowadzę grupy warsztatowe, celem jest wypracowanie jakiegoś rozwiązania w przestrzeni. Pracuję metodą design thinking, używa się w niej mnóstwo karteczek samoprzylepnych, na których zapisuje się wygenerowane w burzy mózgów pomysły. A potem grupa – zwykle pięcioosobowa – część z rozwiązań odrzuci, najlepsze wybierze.

Jak to wygląda, gdy pracuję z młodymi? Grupa typuje koleżankę, która najładniej pisze, ona notuje jakieś trzy myśli, żeby ładnie wyglądało na karteczkach, a reszta siedzi.

Pytam, jakie mają potrzeby, co ich denerwuje, frustruje w funkcjonowaniu szkoły, w jej przestrzeni, po drodze. Nie wiedzą.

I ja myślę wtedy: my coś robimy źle. My, nie młodzi. Coś jest nie tak z naszym systemem edukacji, skoro o swoich potrzebach uczymy się myśleć dopiero jako dorośli – kiedy zależy nam na awansie, podwyżce i musimy iść porozmawiać z szefem. Ale zupełnie nie trenujemy tego w momencie, gdy kształtuje się nasza osobowość.

Mnie tej młodzieży bardzo szkoda, mają masę frustracji, problemów, wiadomo też, że w tym wieku emocje odczuwa się bardzo silnie i każda przeszkoda urasta do sprawy światowej rangi. I oni nie są w stanie tego przekazać. Bo na co dzień ich nie słuchamy, nie dajemy sprawczości, zbywamy: „Dziadek miał do szkoły trzy dni drogi, jezioro musiał wpaść przepłynąć, nie narzekaj, miałem gorzej”.

I potem się denerwujemy, że mamy takie małe zaangażowanie społeczne, że nie ma w nas demokratycznej woli podnoszenia głosu i walki, że młodzi nie biorą udziału w wyborach. A przecież uczymy ich tego, że ich zdanie się nie liczy i że nie tworzy się dla nich żadnych rozwiązań.

Akurat na ostatnie wybory młodzi poszli, ale i przed, i po mówili właśnie to: „Nikt nas nie słucha i nikt nam nic nie proponuje”. Ale gdy w końcu uda się przekonać młodych, by opowiedzieli o swoich potrzebach, co mówią?

– Że potrzebują miejsca odpoczynku i spokoju, w którym będą mogli bez nadmiernej

kontroli dorosłych posiedzieć, spędzić czas wspólnie albo osobno. W miejscach, które są im dostępne, zawsze czują się do czegoś zobligowani. W domu kultury – do udziału w zajęciach, w bibliotece – by szukać książki, wziąć ją i wyjść. Brakuje miejsc, gdzie można po prostu usiąść z koleżanką i poglądać tiktoki.

Pisze pani o młodych ludziach z Augustowa, którzy urządzili sobie mediatekę. Mogą być razem i w ekranach jednocześnie – i nikt się nie czepia. Wspaniałe rozwiązanie, wysłałabym tam dzieci, tylko mam trochę daleko.

– Dobre rozwiązania powstają, ale wciąż są to rozwiązania punktowe.

Drobne inwestycje potrafią poprawić jakość życia, ale niestety – równie drobne zmiany potrafią je mocno uprzykrzyć. Mieszkańcy Nottinghamshire zainstalowali różowe oświetlenie, by przegnać młodzież, która gromadziła się w okolicy, bo w takim świetle uwidatnia się trądzik. Mała rzecz, a jaka wredna. Cały kawałek książki jest o wrogiej architekturze.

– Przykładem wrogiej architektury są też ławki konstruowane tak, by nie dało się na nich położyć, wymierzone w osoby w kryzysie bezdomności, które mogłyby na nich zdrzemnąć. Ale przecież oni mają pełnię praw obywatelskich, miasto jest też ich. To, że ktoś ma się gdzie umyć, gdzie przespać, co zjeść i płaci za bilet w komunikacji miejskiej, nie znaczy, że jest lepszy czy gorszy.

Wroga architektura wyprasza, najczęściej ze śródmieścia, zabytkowej strefy oglądanej przez turystów. Badania pokazują, że im bardziej reprezentacyjna dzielnica, tym wrogiej architektury więcej.

W pewnym angielskim mieście kolce na gołębie zamontowano nawet na drzewach, by nie robiły kup na zaparkowane pod nimi drogie auta.

Paryż przed igrzyskami olimpijskimi wywioził osoby w kryzysie bezdomności autobusami poza miasto. To okropnie dehumanizujące. Wywozimy biedniejszych ludzi, by grupa ludzi, która ma trochę więcej pieniędzy, nie musiała na nich patrzeć. Zamiast pomyśleć o systemowych rozwiązaniach, stosujemy jakąś wizerunkową prowizorkę.

Na świecie coraz popularniejszy staje się taktyczny urbanizm: organicznymi metodami, prostymi środkami przekształcane są całe fragmenty miast. Zwężamy ulicę, rysując linie kredą, zajmujemy kilka miejsc parkingowych paletami, a potem się okazuje, że to rozwiązanie można wprowadzić na stałe, że wcale nie potrzebujemy tyle miejsca dla samochodów.

Niedaleko mojego domu było niewygodne skrzyżowanie trzech ulic, nie za bardzo było wiadomo, jak tam jechać.

I w jeden weekend – wykorzystując doniczki z kwiatami i kredę – mieszkańcy zamienili je w rondo. Chaos drogowy znikł. I na drugi rok miasto zrobiło tam prawdziwe rondo. Warto testować rozwiązania, one wcale nie muszą być planowane odgórnie.

Dla kogo jest „Dla kogo jest miasto”?

Na końcu znajduje się obszerna ściągą...

– Nie chciałam, by użytkowniczka, użytkownik poczuł się sfrustrowani pewnym stanem rzeczy. Dlatego staram się podawać dobre przykłady, które pozwalają na wiarę w zmianę. I zostawiam ściągę, w której jest wypunktowane: co można robić, do kogo się zgłaszać, gdzie pisać wniosek, by rzeczywiście coś zmienić. Całą książkę dedykuję tym, którzy chociaż raz poczuł się sfrustrowani ze względu na to, jak wygląda ich sąsiedztwo czy miejsce, do którego przyjechali.

Uważam, że frustracja jest najlepszą energią, można ją zagospodarować i przekuć w działania.

Zamiast złościć się wewnętrznie, pozłościć się, pisząc wniosek o wydłużenie działania sygnalizacji świetlnej, zamiast denerwować się, że wózek z bliźniakami nie mieści się w przejściu, napisać pismo o wymianę furtki. Władze – samorządowe i centralne – wybierane są przez nas i jeśli wystarczająco wiele razy usłyszą o istniejącej potrzebie, przekonają się, że warto coś zmienić, bo kolejnych wyborów już nie wygrają.

Tak naprawdę to my sprawujemy tę władzę, a ktoś jest tylko naszym delegatem, więc mamy pełne prawo komunikować swoją złość. I mamy prawo do dobrej codzienności. ●



*Magdalena Milert

• architektka i urbanistka, na instagramowym profilu Pieing (obrzucanie ciastem) edukuje, jak robić dobrą przestrzeń, i śmieszkuje z tej niedobrej. 2 lipca nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się jej książka „Dla kogo jest miasto?”.



Dla mnie Jedwabne leżało na Księżycu

Gdy doszło do mnie, jak okrutny potrafi być człowiek...
Życie jest za krótkie, żeby w tym tkwić bez przerwy.

Z HISTORYKIEM **JANEM TOMASZEM GROSSEM**, 25 LAT PO WYDANIU KSIĄŻKI „SĄSIEDZI” ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**
ZDJĘCIA **GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Jest Polska przed Grossem i Polska po Grossie?

– To wzruszający pomysł, ale ja zawsze byłem z Grossem na bieżąco.

To kim pan jest, panie Gross?

– Człowiekiem, któremu bardzo dużo czasu zajęło zrozumienie tego, co doświadczyli Żydzi podczas okupacji. I tu na pewno mogę wyznaczyć cezurę w swoim myśleniu. Dzisiaj widzę, że niemal wszystko, co robiłem przed „Sąsiadami”, prowadziło mnie do tej książki.

Jak to możliwe, że nie rozumiałeś tego, co się wydarzyło?

– A co w tym takiego dziwnego?

Dla mnie dziwne. Dojrzywałem w świecie, w którym próbowano to zrozumieć. I chyba trochę już się rozumie.

– Bo ty po Grossie jesteś... Rzeczywiście dzisiaj może to zdumiewać, ale myśmy tego naprawdę nie rozumieli. Gdy weźmiesz do rąk esej Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”, widać, że on też nie rozumiał. On, człowiek olbrzymiej wiedzy, błyskotliwej inteligencji, pisze tekst, w którym ani słowem nie wspomina o prześladowaniu Żydów przez ich nieżydowskich współobywateli.

Błońskiemu jednak mogło być trudniej. A Tobie? Żydowi?

– Uwierz mi, że nie rozumiem, dlaczego tak było. Podobnie jak nie rozumiem tego, że ten wątek niemal w ogóle się nie pojawiał w polskim pisaniu o historii.

W 2000 r., gdy wydałem „Sąsiadów”, byliśmy ponad pół wieku po zakończeniu wojny, a żaden z masowych, dokonanych przez Polaków mordów Żydów nie znajdował swojego miejsca w polskiej historiografii.

Przecież nie były one żadną tajemnicą. Niektórych oburzało, gdy mówiłem, że w okolicach Jedwabnego wystarczy pójść do knajpy, by usłyszeć o tym, że to Polacy, a nie Niemcy zabijali Żydów. Tak było, nie zmyślałem. Setki tysięcy ludzi wiedziało, że polscy sąsiedzi mordowali żydowskich sąsiadów. To przecież działo się nie

tylko w jednej miejscowości, ale też na całym Podlasiu.

Pierwszą relacją o pogromie w Jedwabnem, z którą się zetknąłeś, była – kilka lat przed napisaniem książki – relacja Szmula Wasersztajna. I dalej nie rozumiałeś?

– Nie rozumiałem.

Miałeś nadzieję, że to nieprawda? Że znajdziesz relację, w której to Polacy będą tymi, co pomagają?

– Niczego nie szukałem. Relacja Wasersztajna nie chciała się ode mnie odzepić, siedziała we mnie. Ale wykonałem bardzo dziwną operację mentalną. Wyeksportowałem Jedwabne poza granice Polski. Jakieś miasto, gdzie daleko. Jak najdalej. Przez długi czas nie wyobrażałem sobie, że przecież mógłbym tam pojechać i zweryfikować to, co napisał Wasersztajn.

Dla mnie Jedwabne leżało na Księżycu.

Miałem też bardzo głębokie przekonanie, że to, co napisał Wasersztajn, to mocno historyczna reakcja na jakieś rzeczywiste dramatyczne wydarzenie. Nie dopuszczałem jednak do siebie myśli, że opis mógł odpowiadać prawdzie – temu, że polscy sąsiedzi na rozmaite sposoby mordowali Żydów, a następnie tych, co przeżyli, zagonili do stodoły, gdzie ich spalili.

Tego moja wyobraźnia nie umiała przyjąć. I pewnie nie tylko moja – reakcje na „Sąsiadów”, niezwykle intensywna dyskusja, którą wywołała książka, pokazywały, że ludzie też nie potrafili sobie tego wyobrazić.

Jakie to uczucie wywołać taką debatę?

– Zaczniemy od tego, że na początku nie było żadnej reakcji na książkę.

Co czuleś?

– Nic. To normalny los autora książek historycznych. Miałem na koncie już dwie książki na temat okupacji, wydałem parę tomów

edycji dokumentów, nie byłem więc nowicjuszem. Przez te pół roku pojawiały się, zwłaszcza w mediach księdza Rydzyka, jakieś sporadyczne odgłosy, ale nie była to zapowiedź burzy.

Ta przyszła wraz z polemiką Jacka Żakowskiego „Czy Polacy mają czuć się winni zbrodni w Jedwabnem” i jego rozmową z Tomaszem Szarotą. Oba te teksty ukazały się na łamach „Wyborczej”. Wtedy książka znalazła się na ustach wszystkich.

Baleś się? Byłeś podekscytowany?

– Jasne, że byłem podekscytowany. Przyglądanie się tej dyskusji było cholernie ciekawe. Wciąż wydaje mi się, że moja rola polega tylko na opisanu wydarzeń. To, jak ludzie przyjmą fakty, jak będą je przetrawiać, to nie jest moje podstawowe zmartwienie. Nie zamierzałem interweniować.

Jednak centralną postacią tej dyskusji stałeś się ty.

– Oczywiście zabierałem głos. I mówiłem to, co wiedziałem. Ale miałem w sobie bardzo dużo tolerancji dla tych, którzy nie rozumieją. Sam przez lata przecież nie dopuszczałem tego do siebie. Więc na protesty „przeciwko Grossowi” patrzyłem z tolerancją.

„Sąsiedzi” to był dla ciebie początek nowej drogi?

– Tak, bardzo świadomy już początek. Wcześniej zajmowałem się społeczną historią okupacji. I niemal nic nie pisałem o Zagładzie. Dziś może się to wydawać dziwne – jak to, okupacja w Polsce i niemal ani słowa o Żydach? Gdy w latach 70. pisałem doktorat, taki był standard naukowy. Pisało się o doświadczeniu ludności dominującej na danym terenie. Powstały więc książki o Francuzach podczas II wojny światowej, gdzie nie było słowa o mniejszościach. I tak samo było z książkami o Polsce.

Kto ucierpiał bardziej w czasie II wojny – Żydzi czy Polacy?

Odpowiedź w badaniach opinii publicznej brzmi niezmiennie



Gdyby ktoś dzisiaj sięgnął po mój doktorat, znajdzie w nim może ze dwie strony o Żydach. Jednak gdy go pisałem, nikt mi nie powiedział, że coś tu nie gra. Nikt nie kwestionował tego sposobu pisania o historii. Dużo czasu musiało upłynąć, by kwestia zagłady Żydów stała się przedmiotem zainteresowania historyków.

W 1976 r. ukazuje się „Zdażyć przed Panem Bogiem” Hanny Krall, dekadę później Błoński pisze swój esej, temat jest niemal na wyciągnięcie ręki.

– Mówiło się o tym, że Polacy nie pomagali Żydom. Ale czy ten, kto nie pomaga, jest współsprawcą? Czy mógł być mordercą? Co z mieszkańcami miasteczek, którzy mordowali swoich sąsiadów?

Krytyczka literatury Paulina Małochleb powiedziała, że „Sąsiedzi” dekonstruowali mit małych ojczyzn, w którym pod koniec ubiegłego stulecia się bezpiecznie mościliśmy. Okazało się, że w małej ojczyźnie jest wielu morderców.

– Najtrudniej jest zrozumieć proporcje. Dopuścić do siebie myśl, że mordowanie Żydów nie było dokonywane przez margines społeczny, nie było zjawiskiem ograniczonym do kilku przypadków. Ale żeby dokonać tego odwrócenia proporcji, trzeba zapożyczyć o własnej martyrologii.

Mówiłeś kiedyś o tym, że musimy uświadomić sobie, że żydowskie cierpienie jest częścią polskiego cierpienia.

– Żydzi są integralną częścią historii Polski. Nigdy historia polskich miast nie będzie kompletna bez opowieści o tym, co się stało



z jedną trzecią jej przedwojennej ludności. W wielu miastach Żydzi stanowili ponad połowę ludności. Czy unicestwienie polskiej historii. To wielkie zadanie, które będzie – mam nadzieję – kontynuowane przez następne pokolenia historyków i pedagogów.

To, co zaczęło się wraz z debatą po „Sąsiadach”, to radykalna transformacja polskiej historii. To wielkie zadanie, które będzie – mam nadzieję – kontynuowane przez następne pokolenia historyków i pedagogów.

Po pytaniu o to, kim jesteś, zaczęliśmy rozmawiać o „Sąsiadach”. A jaka jest twoja tożsamość?

– Coś ci powiem. W takim głębokim, kulturowo-religijnym sensie moja tożsamość nie ma nic wspólnego z tożsamością żydowską. Mój ojciec był zasymilowanym Żydem, który przed wojną był w Polskiej Partii Socjalistycznej...

...a dziadek był posłem na austriacki sejm...

–...z Krakowa! Moja tożsamość jest wolna od etnicznych uwikłań. W jakimś sensie oswobodzona. Czuję się częścią tej polskiej ziemi w jakiś oczywisty sposób, bez wiązania tego z polską czy żydowską tożsamością. To chyba wcale nie takie rzadkie dla polskiej inteligencji.

Przesadzasz. Mamy w sobie jakiś odruch usprawiedliwiania tego polskiego inteligenta, a przecież duża część inteligencji w najlepsze uprawia mit czystej Polski. Nawet przy okazji „Sąsiadów” pojawiły

„Sąsiedzi” książka, jak bomba atomowa

Wojciech Szot

„Ta książka to bomba atomowa z opóźnionym zapłonem”, pisał Jacek Żakowski o wydanych w 2000 roku „Sąsiadach” Jana Tomasza Grossa. Po 25 latach od premiery książka zajęła czwarte miejsce w plebiscycie „Książka 25-lecia” czytelników i czytelniczek „Wyborczej”. Nakładem Austerii ukazało się jej nowe wydanie i audiobook czytany przez autora. „Sąsiedzi” to książka historyczna poświęconą pogromowi w Jedwabnem. 10 lipca 1941 r. polscy mieszkańcy tej miejscowości na Podlasiu wymordowali niemal wszystkich swoich żydowskich sąsiadów. Zginęło kilkaset osób.

Gross na podstawie dokumentów nie tylko rekonstruował wydarzenia w Jedwabnem, ale też zadawał pytania o to, dlaczego niemal 60 lat po II wojnie światowej wciąż nie mówi się prawdy o roli Polaków w Zagładzie. „Okazuje się, że antysemityzm zanieczyścił całe polacie współczesnej hi-

storii Polski i uczynił z nich temat wstydlivy”, pisał Gross.

„Sąsiedzi” uruchomili bezprecedensową w skali debaty nad uczestnictwem Polaków w Zagładzie. „Ruszyła lawina, polemisci polemizowali, rozpoczęło się śledztwo Instytutu Pamięci Narodowej, nowe poszukiwania w archiwach polskich i obcych, przesłuchania nowych świadków, odbyła się ekshumacja...”, pisał w „Wyborczej” w 2001 r. Michał Cichy przy okazji nominacji książki do Nagrody Literackiej „Nike”.

Nie tylko „Sąsiedzi”

Jak pisze Piotr Forecki, badacz dyskursu antysemickiego, „pytania o Jedwabne, stosunek do »Sąsiadów« i samego Grossa stały się (...) sprawdzianem z »patriotyzmu«, a w istocie gotowości do negacjonizmu w służbie publicznej”.

Podczas kampanii prezydenckiej w 2015 r. Andrzej Duda domagał się, by urzędujący prezydent Bronisław Komorowski wyjaśnił, dlaczego w 2011 r., w 70. rocznicę mordu

w Jedwabnem, napisał w liście, że „naród ofiar musiał uznać tę niełatwą prawdę, że bywał także sprawcą”.

Kolejne książki Grossa, „Strach: Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści” (2006) i „Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach zagłady Żydów” (2011), wzbudzały skrajne opinie.

Marek Edelman stwierdził, że „wszystko, o czym pisze Gross, to przecież prawda”. Zdaniem Edelmanna Gross „popelniał błąd, dając w podtytule książki: »Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie«. Tam powinno być: »Bandytyzm w Polsce...«. Bo tu nie chodzi o antysemityzm. Mordowanie Żydów to był czysty bandytyzm i ja bym tego antysemityzmem nie tłumaczył”.

IPN vs Gross

Szczególnym przeciwnikiem Grossa jest Instytut Pamięci Narodowej. W 2016 r. senator PiS i historyk Jan Żaryn pytał podczas publicznego wy-

sluchania kandydatów do Kolegium IPN o ich stosunek do Grossa.

W 2021 r. prezes IPN Karol Nawrocki podczas radiowego wywiadu m.in. o pogromie w Jedwabnem określił jako „fantastów, nienawistników i naukowych hochszaplerów” badaczy z Centrum Badań nad Zagładą Żydów przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN.

Dwa lata wcześniej, w lutym 2019 r., w głównym wydaniu „Wiadomości” TVP pokazano zdjęcia badaczy historii Zagłady – Jana Tomasza Grossa, Jana Grabowskiego, Barbary Engelking i Jacka Leociaka – ustylizowane na listy gończe opatrzone podpisem „festiwal antypolskich kłamstw”. W obronie badaczy stanęła m.in. Polska Akademia Nauk, a Żydowski Instytut Historyczny przypominał, że tego rodzaju wypowiedzi „są próbą wciągnięcia środowiska historycznego w bieżące spory polityczne i nie może być dla takich praktyk miejsca w dyskursie publicznym”.

się rozważania, czy w Jedwabnem podczas pogromu była inteligencja. Stawiano tezę, że została wymordowana, przez co nie było komu powiedzieć: „Opamiętajcie się”.

– Oczywiście, że w Jedwabnem była inteligencja. I nic nie zrobiła. Masz oczywiście rację. Wiesz... po prostu inteligencja, którą lubię, jest po dobrej stronie historii.

Byłeś w Jedwabnem po „Sąsiadach”?

– Jasne! Na obchodach 60. rocznicy mordu, gdzie świetne przemówienia mieli prezydent Kwaśniewski i ambasador Izraela Szewach Weiss.

Cała ludność miasteczka siedziała w domach z zaciągniętymi firankami na oknach, bo tak im kazał miejscowy proboszcz, który wówczas gościł u siebie na plebanii niejakiego Bubla – taką mieszaninę Bąkiewicza z Braunem sprzed 25 lat.

O „Sąsiadach” mówisz, że to książka, która wyszła ci przypadkiem. A „Strach”?

– Zaplanowałem go. Szukałem odpowiedzi na pytanie: jak po wojnie można było być w Polsce antysemitą? Wydawało mi się to całkowicie niezrozumiale.

Naprawdę? Mnie to nie dziwiło. Ale jak już ustaliliśmy, jestem „po Grossie”.

– W tym kraju wymordowano trzy miliony Żydów. Połowa z nich została wymordowana na widoku swoich znajomych, sąsiadów. Wielu z tych znajomych się do tej śmierci przyłożyło. Więc jak, do jasnej cholery, widząc taką ludzką tragedię, można być po wojnie antysemitą?

Ludzie wiedzą, co się działo na plantacjach, i dalej są rasistami.

– Pomogę sobie cytatem z polskiego chłopca ze wsi. Stwierdza pewien fakt, który czyni antysemityzm po wojnie rzeczą zupełnie zwariowaną.

„Rzeź milionów Żydów w okresie niemieckiej okupacji nie wstrząsnęła sumieniami, niewinna krew nie oczyściła serc. Przeciwnie: hitleryzm zakaził wielu przeciw-ludzką nienawiścią i na tej nienawiści żerują hieny. Przed wojną – na człowieka, który dowodził, że Żyd jest szkodnikiem dlatego, że jest Żydem – patrzyłem z politowaniem, jak patrzy się na człowieka niespełna rozumu, z odrazą, jak na barbarzyńcę. Dzisiaj, po strasliwym doświadczeniu, które zdradziło, do czego wiedzie ta przeciw-ludzką bezmyśl i ta nieświadoma siebie żądza mordu – antysemityzm uważam za potencjalnego mordercę. Patrzę w twarze znajomych i obcych, krążę wśród ludzi w Polsce, słucham rozmów – i ileż razy ogarnia mnie przerażenie, że żyję wśród obłąkanych i wśród możliwych zbrodniarzy”.

Ten chłop to...

–...wielki poeta Julian Przyboś. Nie Żyd, nie zasymilowany Żyd, ale polski chłop z Gwoźnicy Dolnej, piąte z siedmiorga dzieci Józefa i Heleny. Dla mnie, podobnie jak dla Przybosia, powojenny antysemityzm był czymś, czego nie umiałem zrozumieć. Stał „Strach”.

Przez ćwierć wieku stałeś się dla wielu przeciwników figurą strasznego, wręcz diabolicznego Grossa.

– Mamy w Polsce diaboliczny problem, ale nie diabolicznego Grossa!

Gdy powiedziałeś, że Polacy wymordowali więcej Żydów niż Niemców, rzuciła się na ciebie nie tylko prawica, ale i ideowo bliżsi.

– Cytowałem komentarz znanego historyka Marcina Zaremby. Napisał takie zdanie w „Gazecie Wyborczej”. Rzeczywiście wybuchła awantura, choć przecież to oczywiste, że wymordowano więcej Żydów, niż zabito Niemców.

Czytając jednak komentarze do tej wypowiedzi, odniosłem wrażenie, że wtedy nawet osoby bliskie ci ideowo dystansowały się wobec tego, co mówiłeś.

Pojawiły się zarzuty, że bywasz nadmier- nie emocjonalny. Bywasz?

– Bywam. Jak mam nie być emocjonalny, gdy mówię o sprawach, które są bulwersujące? To musi mieć pewną temperaturę.

„Nie lubi Polaków”.

– Co za idiotyzm.

„Nie wzbudza pozytywnych emocji”.

– Ludzie mają różne gusta.

Jakie lody lubisz?

– Co?

Lody. Jakie lubisz?

– Waniliowe. Czemu pytasz?

Bo nikt cię o to nie spytał w wywiadzie.

Ćwierć wieku twojej obecności w mediach, a trudno z tego wszystkiego składać, jakim właściwie człowiekiem jest Jan Tomasz Gross. Po „Sąsiadach” czułeś się zagrożony?

– Był taki okres, gdy rozpoznawano mnie na ulicy. I ludzie, których nie znałem, reagowali na mój widok. Może większość z nich pod nosem wygadywała jakieś bezceciństwa, ale ci, którzy podchodzili, byli bardzo przyjaźnie nastawieni. Dziękowano mi.

W „Sąsiadach” uderza mnie ostatni przypis: „Można mieć tylko nadzieję, że młode pokolenie zaczyna już widzieć tę sprawę odważniej niż pokolenie rodziców. Przed młodymi trzeba uchylić kape-



lusz, bo czeka ich jeszcze trudne zadanie zmierzenia się twarzą w twarz ze zbrodniami pokolenia ich dziadków”. I chyba to się wydarzyło – od ćwierćwiecza mierzymy się ze zbrodniami dziadków.

– Widzę to na dwa sposoby, trochę dla mnie zaskakujące, i nie bardzo umiem to sobie wytłumaczyć.

Reakcja na „Sąsiadów” przyczyniła się do powstania fenomenalnej, bardzo głębokiej i ogromnej literatury na temat tego dramatycznego aspektu relacji między żydowskimi i nieżydowskimi Polakami. W 2003 r. w Polskiej Akademii Nauk powstało Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Nad historią Zagłady w Polsce pracują humaniści z wielu dziedzin, artyści, dziennikarze, i tworzą znakomite dzieła. Polska literatura poświęcona Zagładzie jest głębsza i ciekawsza od tej, która powstaje w innych językach.

W tym czasie w badaniach nad Zagładą dokonała się ciekawa zmiana. Początek historiografii Zagłady to opowieść o relacji między Niemcami i Żydami. W uproszczeniu: Niemcy budują obozy, w których mordują Żydów. Po paru dziesięcioleciach widzimy, że Zagłada jest procesem o wiele bardziej skomplikowanym. Dzisiaj mówimy o tym, że Żydzi, zanim zostali wymordowani, zostali wyrwani ze społeczeństw, w których funkcjonowali. I tym się badacze dzisiaj zajmują.

Z drugiej strony polskie społeczeństwo wciąż ma niemal zerową świadomość tego, czym była Zagłada. Co jakiś czas powtarzane są badania opinii publicznej, w której ośrodki badawcze zadają pytanie o to, kto ucierpiał bardziej w czasie II wojny światowej. Żydzi czy Polacy? Niezmiennie odpowiedź brzmi: Polacy. Tak wygląda stan świadomości polskiego społeczeństwa.

W Polsce pod okupacją niemiecką wojnę przeżyło maksymalnie 2 procent Żydów.

Gdyby nawet w przybliżeniu polskie społeczeństwo doświadczyło tego, co Żydzi, to Polski by dzisiaj nie było. Jak można tego nie dostrzegać? Zwłaszcza że okres wojny i doświadczenie okupacyjne jest traktowane jako formatywny element polskiej tożsamości.

Tylko że ta tożsamość budowała się na mitach walki z okupantem – micie AK-owskim, powstańczym, podziemnym. Na micie powstania warszawskiego, a nie na micie Holocaustu.

– Nie chodzi o mit, tylko o to, żeby ludzie wiedzieli, co się wydarzyło. Choć troszkę. W przybliżeniu.

Ale to mity kształtują wyobraźnię zbiorową. A inteligencji wydaje się, że już wszystko zrobione – mamy muzeum Polin, kilka odnowionych synagog, festiwale żydowskiej kultury, tłumy turystów na Kazimierzu. A te pomruki antysemityzmu co kilka lat? Przywykliśmy i nie widzimy tego, co Piotr Forecki nazywa „backlashem po Jedwabnem”, czyli „narodowego konsensusu o braku uczestnictwa Polaków w zagładzie Żydów”.

– Jest w polskiej inteligencji potrzeba poczucia, że wszystko już załatwione. A mamy bardzo dużo do zrobienia. Musimy się ciągle konfrontować z tym, co się wydarzyło. Uczyc się tego. Mamy z czego – dzisiaj to już cała biblioteka tekstów, które mówią o tym, że Polacy nie są niewinni.

Jak, do jasnej cholery, widząc taką ludzką tragedię, można być po wojnie antysemitą?

Czytałeś „Tatuażystę z Auschwitz”?

– Nie. Co to?

Niezwykłe popularna książka.

Niczego nie straciłeś. Co lubisz czytać?

– Biografie. Przeczytałem biografię Róży Luksemburg napisaną przez Weronikę Kosteńską i jestem pod olbrzymim wrażeniem, zakochałem się w bohaterce. Podziwiam empatię autorki. „Chłopki” Kuciel-Frydryszak też przeczytałem z wielkim zainteresowaniem. Teraz czytam jej „Slonimskiego” – również świetny.

Jest ktoś, kogo biografię chciałbyś przeczytać?

– Hm...

A historia Grossów? O twoim dziadku już wspomnieliśmy...

– Historia Grossów i Szumańskich, bo obaj moi dziadkowie byli znanymi adwokatami zaangażowanymi w życie społeczne i polityczne Polski międzywojennej. Wiesz, że coś w tym pomyśle jest? Może... Dziadek Gross miał w Krakowie kancelarię adwokacką. Zmarł parę lat przed wojną. Po latach się okazało, że dokumenty kancelarii zakopano w piwnicy. Dzisiaj są w archiwum. To jest bardzo ciekawa historia, więc może kiedyś?

Śledzisz politykę?

–Dzisiaj politycy robią już tylko show. Wyda- je mi się – ze smutkiem to mówię – że moja przybrana ojczyzna, czyli Stany Zjednoczone, jest za to w dużej mierze odpowiedzialna. Trump obniżył standardy dla wszystkich.

Coś się zmienia na świecie. Być może obserwujemy koniec amerykańskiej demokracji. To przykre, bo jest to trwający już 250 lat wspaniały eksperyment.

Zakochałeś się w Ameryce po przyjeździe w 1969 roku?

– Tak. Absolutnie. Ameryka to wspaniały kraj dla przyjezdnych. Człowiek natychmiast stawał się jej częścią. Teraz się to zmieni. Czasem czuję, jakby koniec świata był w trakcie.

W tym roku ukazało się nowe wydanie „Sąsiadów” i czytany przez ciebie audiobook. Miałeś pokusę, by coś zmienić?

– Niczego bym w tej książce nie zmienił. Jakis czas temu to samo pytanie zadał mi uczeń z liceum, z którego klasą rozmawiałem przez Zoom. Odpowiedziałem tak samo jak tobie. Ale było mi bardzo głupio, bo jako nauczyciel akademicki miałem świadomość, że to jest totalnie niepedagogiczna odpowiedź.

Jest jedna rzecz, którą bym inaczej napisał. Mając już wiedzę o zbrodniach w nieodległych od Jedwabnego Wąsoszu i Radziłowie, napisałbym również o nich.

Nie masz ochoty napisać?

– Już nie. Wiesz... pisząc o Zagładzie, człowiek przygląda się jej z bliska. To jest przerażające doświadczenie. Gdy doszło do mnie, jak okrutny potrafi być człowiek... Nie. Życie jest za krótkie, żeby w tym tkwić bez przerwy. ●

P. S. Gdy kończymy rozmawiać, do naszego stolika podchodzi kobieta. Dziękuje Grossowi za „Sąsiadów” i „wszystko, co zrobił”. Opowiada.

„Moja ciotka ukrywała się na wsi u ludzi. Nie chcieli żadnych pieniędzy. Zaszła w ciążę z synem gospodarza. Za obopólną chęcią. Po wojnie wyjechała do Izraela. Chciała pomagać tej rodzinie, wnioskować dla nich o Sprawiedliwych. Odmówili. Nie chcieli mieć z nią żadnego kontaktu.

W liceum pracuję. Prywatnym. Wie pan, młodzież doskonale wie, jak było. Tylko wszyscy wiedzą inaczej. Najlicniejsza jest grupa, która mówi, że w Jedwabnem to mordowało bydło, margines społeczny. Normalni Polacy pomagali. Mówią, że rozumieją tych, którzy nie pomagali. Wojna była, nie można od ludzi wymagać, by życie narażali. I ilu Sprawiedliwych mamy w Polsce! Trudno, żeby w Japonii było więcej, co nie?

Jest też druga grupa, alternatywna – oni z Grossem się zgadzają. Ale to mniejszość. Czy to dzieci inteligenckie? Wie pan... bogate dzieci”. ●

*Jan Tomasz Gross

• Rocznik 1947. Socjolog i historyk. W szkole średniej był jednym z założycieli rozwiązane- go później przez władze Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności. Od 1965 r. studiował na Uniwersytecie Warszawskim. Zaangażowany w protesty studenckie w marcu 1968 został aresztowany na pięć miesięcy. W 1969 r. razem z rodzicami wyemigrował do USA. W 1975 r. obronił doktorat z socjologii na Uniwersytecie Yale. W 1984 r. opublikował razem z Ireną Grudzińską-Gross książkę „W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...” będącą wyborem relacji Polaków deportowanych do obozów w głąb ZSRR. Autor książek „Sąsiedzi”, „Strach. Antysemityzm w Polsce po Auschwitz” oraz „Złote żniwa. Rzecz o tym co się działo na obrzeżach zagłady Żydów” (razem z Ireną Grudzińską). Od 2003 r. związany z Uniwersytetem w Princeton.

Świat Trumpa i Putina

QUO VADIS,
LIBERALNA
EUROPO?



FOT. BRENDAN SMALOWSKI/AFP/EAST NEWS

W dążeniu do rozbicia Unii Europejskiej między Waszyngtonem i Kremlm panuje zgoda.

Ivan Gabal*

Wamy dzisiaj do czynienia z dwiema sprzecznymi, lecz powiązanymi ze sobą zmianami. Od momentu objęcia władzy przez Donalda Trumpa przechodzimy przez negatywny proces kształtowania się europejskiej wspólnoty politycznej pod wpływem agresywnej krytyki Europy jako siedliska liberalizmu ze strony USA. Jednocześnie w krajach europejskich obserwujemy ogromny wzrost sił antyliberalnych. Odwołują się one do polityki nacjonalistycznej i antyeuropejskiej, często inspirowanej dążeniem do ograniczenia lub zniszczenia europejskiego systemu prawnego i liberalnego.

Krytyczne spojrzenie Ameryki na wielonarodową Europę zawiera w sobie wszystko to, co odróżnia nasz kontynent od USA, a jednocześnie łączy Europejczyków i stanowi o ich europejskości. Od napastliwej czy pogardliwej wypowiedzi wiceprezydenta J.D. Vance’a w Monachium [m.in. o Europie, w której ma panować „cenzura”, luty 2025 r.],

poprzez agresywne, nieudane próby Trumpa powstrzymania wojny na Ukrainie za pomocą porozumienia wyłącznie z Rosją, aż po jego fajerwerki w sprawie cel uzasadniane rzekomym okradaniem Ameryki jako sensem istnienia zjednoczonej Europy.

W nowej amerykańskiej perspektywie politycznej Europa przedstawiana jest jako zjednoczony wróg interesów USA. Oskarżenia są wprawdzie skierowane bardziej do samych Amerykanów, ale celują przede wszystkim w Unię Europejską. Pomijamy tu fakt, że to właśnie Ameryka po II wojnie światowej pobudzała współpracę europejską jako podstawę trwałego pokoju.

W wyniku dzisiejszej polityki amerykańskiej wiadać jednak, że negatywna ocena dotyczy ostatecznie również Wielkiej Brytanii, a w pewnych kwestiach także Kanady. W przypadku Unii chodzi jednak raczej o jej rozbicie na poszczególne, znacznie słabsze państwa narodowe. Stąd też bezpośrednie wsparcie polityczne Waszyngtonu dla antyliberalnych i antyeuropejskich podmiotów, takich jak AfD, Liga Północna we Włoszech czy Fidesz i Viktor Orbán na Węgrzech. W dążeniu do rozbicia Unii panuje zgoda Waszyngtonu z Kremlm. Unia jest dla nich zbyt potężnym partnerem.

Swoje antyeuropejskie nastawienie Ameryka traktuje poważnie. Było to widoczne w wykluczeniu Europejczyków ze wszystkich rozmów pokojowych czy w preferowaniu Rosji. Podobnie ignorowane są przede wszystkim instytucje unijne i ich przedstawiciele od Kai Kallas po komisarza Maroša Šefčovića odpowiedzialnego za europejskie negocjacje w sprawie cel.

Władimir Putin od dawna postrzega europejski liberalizm jako wroga. Poprzez dążenie do „pokojowego” zbliżenia z Trumpem stara się ponad głowami Europejczyków przywrócić zasady polityki mocarstwowej. Chce wymusić prawo Rosji do zakazania Ukrainie, by kierowała się właśnie w stronę Europy.

Dla Kremla Europa to cywilizacyjny szkodnik, którego należy zniszczyć. Dlatego stosuje agresję militarną, niszcząc ukraińskie miasta i życie ich mieszkańców. Nie waha się grozić nam atakiem nuklearnym. Rządzenie za pomocą siły, strachu i mocarstwowych porozumień to przeciwieństwo ładu opartego na prawie.

W obliczu tej presji Europa jawi się jako wspólnota złożona nie tylko z narodów i ich państw, ale także jako ciało, które ma swój kręgosłup – system prawny i kulturowy, a także wspólnotowe instytucje. Europejczyków łączy poszanowanie prawa, praw człowieka i liberalnej demokracji, w której rządy są kontrolowane przez parlamenty, konstytucje i sądy konstytucyjne. Nadrzędna zasada prawa oraz parlamentaryzm przeszkadzają zarówno Trumpowi w jego koncepcji rządzenia, jak i dyktatorowi Putinowi, który utrzymując Rosjan w stanie wojny i represji, musi logicznie postrzegać liberalną Europę jako antymaterię władzy.

Tożsamość polityczna Europejczyków, nadrzędna wobec państw narodowych i drażniąca autorytarnych przywódców, ma jednak swoje oparcie w wysokiej jakości życia mieszkańców Europy. Wszyscy nam jej zazdroszczą. Od pełnego ubezpieczenia zdrowotnego, przez dłuższe urlopy, ubezpieczenie społeczne i gwarantowane emerytury, Europa pielęgnuje wewnętrzną solidarność społeczną we wszystkich podstawowych kwestiach społecznych. Jest to coś, czego nie osiągnęli np. Amerykanie, a Rosjanie nie mogą nawet o tym marzyć.

Europa ma swój model państwa socjalno-rynkowego. Wspólną wysoką jakość życia utrzymuje mimo dużej różnorodności. Nie boi się inwestować w systemy solidarnościowe i wzmacnia wspólne elementy europejskie bardziej pod względem prawnym niż politycznym, we wspólnym rynku, w sferze swobodnego przepływu osób, ale także w obszarach jakości życia jednostek i mniejszości. Stale poszerza to, co łączy i charakteryzuje Europejczyków, a jednocześnie kontrastuje z innymi kontynentami.

Presja rosyjsko-amerykańska politycznie ustanawia Europę w pozycji głównego partnera ogarniętej wojną, ale wciąż broniącej się dzielnie Ukrainy. Dla Ukrainy perspektywa przyłączenia się do Europy, do jej systemu, ram prawnych i jakości życia stanowi potężne źródło motywacji do obrony i poświęceń.

Dla Ukraińców jedną z wartości, które tworzą „europejskość”, jest także to, że w przeciwieństwie do Rosji czy Chin Europa nie narzuca swoich interesów politycznych ani nie uzależnia od nich współpracy. Popiera rządy prawa, jakość administracji podporządkowanej państwu prawa, demokrację i społeczeństwo obywatelskie. Wartość tej europejskiej pomocy rozwojowej dostrzegają dziś nie tylko Ukraińcy, ale także młodsze i lepiej wykształcone pokolenia w Afryce i Ameryce Południowej.

Nowa sytuacja Europy zbiega się też z końcem bezwarunkowej solidarności Ameryki w ramach NATO. W kwestii obrony Europa musi zdecydowanie stanąć na własnych nogach, dać przykład inwestowania we wspólny potencjał wojskowy i współpracę europejskich sił zbrojnych. Będzie to zarazem nowa wspólna podstawa oraz warunek istnienia i wpływu Europy – nie tylko jako najbogatszego związku państw.

Europa umacnia się politycznie jako odrębna siła wobec supermocarstw, ale nie omijają jej antyliberalne turbulencje. Ekspansja antysystemowych partii politycznych jest coraz bardziej odczuwalna. Wydaje się, że to właśnie Europa dzięki swojej jakości życia i modelowi społeczno-rynkowemu jest najlepszym laboratorium do testowania kryzysu zachodniej liberalnej demokracji.

Tradycyjna rywalizacja polityczna między partiami socjalistycznymi i konserwatywnymi, z każdymi kolejnymi wyborami przesuwana się w kierunku rywalizacji między tymi, którzy starają się utrzymać liberalny porządek, a tymi, którzy najchętniej by go porzucili. Niedawno widzieliśmy siłę AfD w Niemczech i Wolnościowej Partii Austrii, poparcie dla Marine Le Pen we Francji i oczywiście Viktora Orbána na Węgrzech. Właśnie w tych krajach nasilają się obecnie elementy kryzysu zachodnich demokracji jako kryzysu systemu.

Nasilają się konflikty między wyborczą podstawą demokracji a nadrzędnością praworządności i konstytu-

tucyjności nad wynikami wyborów. Szczególnie wyraźne są one w przypadku antysystemowych partii oraz praktyk ich przedstawicieli.

Przykładem jest choćby skazanie Le Pen za sprzeniewierzenie publicznych funduszy w czasie sprawowania mandatu w Parlamencie Europejskim. Rumuński Trybunał Konstytucyjny unieważnił wyniki wyborów prezydenckich po przedstawieniu dowodów na rosyjską interwencję na rzecz antyeuropejskiego kandydata w kampanii wyborczej. Czołowi politycy AfD staną przed sądem za łapówkarstwo i ekstremizm. Problemy z rosyjską korupcją dotknęły Wolnościową Partię Austrii.

Dyskusja o tym, czy wybory mogą przeważyć nad kwestiami prawnymi, sprowadza się do argumentu, czy nie jest to nadużycie instrumentów prawnych w celu wyeliminowania antyliberalnych sił z rywalizacji wyborczej za pomocą narzędzi władzy. Stoimy dziś wobec kryzysu systemów liberalnych: dochodzi do konfliktu między nadrzędnością prawa a istotną rolą demokratycznych wyborów.

Paradoksem systemowym jest tutaj to, że interwencje prawne raczej zwiększają poparcie dla polityków antysystemowych, zamiast dyskwalifikować ich w oczach wyborców. Łamanie prawa dla niektórych warstw społeczeństwa nie oznacza politycznej szkody, ale wręcz pomaga w uzyskaniu mandatu do rządzenia. Podobny sukces odniósł także Trump. Ignorowanie orzeczeń sądowych łączy europejskich i amerykańskich wyborców.

Fakt, że dyskwalifikacja prawna polityki antysystemowej wzmacnia ją podczas wyborów, zamiast ją unieważnić, ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia tego, co dzieje się z demokracją. Wzrost poparcia dla partii antysystemowych nie wynika bowiem wyłącznie z populistycznego oszukiwania wyborców, co często wiąże się np. z szerzeniem nieprawdy lub dezinformacji. Okazuje się, że gotowość do głosowania na oczywiste kłamstwa lub szkodliwą politykę nie jest czymś przejściowym, ale stabilnym i zakorzenionym interesem rosnących warstw społecznych. Wyraża raczej zmianę stosunków społecznych niż wahania nastrojów politycznych określonych warstw. Ale o jaką zmianę może chodzić?

Wzrost antyliberalnych postaw wiąże się z rosnącą popularnością serwisów społecznościowych. Jest to wprawdzie tylko hipoteza, ale zdaje się prawdopodobna. Algorytm przyciągający podobne opinie, atrakcyjne marketingowo negatywne postawy, ich przestrzenna nieograniczoność – wszystko to są atuty portali społecznościowych. Ich zasięg i zakres nadają im nowy wymiar dystrybucji wpływu politycznego i władzy poza dotychczasowymi kanałami, poza rynkiem medialnym, przy całej otwartości na komercyjny zakup reklam, silnej grawitacji skrajnych opinii i manipulacji.

Sieci społecznościowe nie są przestrzenią poważnego dialogu, ale raczej propagowania i popularyzacji mocnych czy nawet skrajnych poglądów oraz łączenia się w grupy i wywierania wpływu na ich zwolenników. Redukują one dialog polityczny do monologu.

Cechą charakterystyczną serwisów społecznościowych jest to, że otwierają one przestrzeń dla szybkiej i szerokiej homogenizacji skrajnych poglądów i opinii, ich zamknięcia w grupach wpływów, ich autonomizacji i negatywnego zakorzenienia. Dopuszczając istnienie anonimowych kont, umożliwiają one również manipulację i dystrybucję dezinformacji.

Jednym z możliwych skutków interakcji serwisów społecznościowych z dzisiejszą strukturą zachodniego społeczeństwa jest tworzenie autonomicznych baniek, które rozbijają strukturę społeczną na odrębne światy oparte na podobnych poglądach, ale także na podobnej pozycji, opiniach i zainteresowaniach, bez konieczności interakcji z innymi grupami społecznymi.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Różycki*

Szeregowy „Enej”

Wojna trwa. Dostaliśmy saperki, żeby kopać doły, ale kiedy nadleciał większy kaliber, porwało mnie w górę - mówi szeregowy. Podróżowałem, miałem wiele przygód,

zanim moje ciało zebrało się znów w całość. Myślałem, że straciłem pamięć, ale dziewczyna, która myła mnie, powiedziała któregoś ranka: Nie zakochuj się - i wtedy czas wrócił i przypomniałem

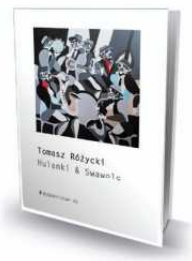
sobie coś. To była droga do stacji, błękitne ogrodzenie, za którym słowik rozpadał się w muzykę i składał na powrót w swe równanie, radosny, oszalały. W stronę Lwowa przetaczał się towarowy

i zęgnąłem wagony, jeden po drugim, aż zgubiłem rachunek i przyszła noc, księgowa mych liczb.



***Tomasz Różycki** – ur. w 1970 r., poeta, eseista, tłumacz. Autor m.in. poematu „Dwanaście stacji” (Nagroda Kościelskich) i tomu wierszy „Kolonie” (finał nagrody Nike). Za tom „Ręka pszczelarza” otrzymał Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej za rok 2022.

Wiersz z jego zbioru „Hulanki & Swawole”, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod red. Ryszarda Krynickiego, tom 124, Kraków 2024. Zbiór znalazł się w szerokim finale tegorocznej Nagrody Literackiej „Nike”.



Hipotetycznie może to doprowadzić do upadku tradycyjnej pionowej struktury o charakterze merytokratycznym, która stanowi kapitalistyczną stratyfikację wydajnościową społeczności. Powstanie pewnego rodzaju społecznych grup interesów – definiujących się w serwisach społecznościowych w opozycji do innych, bez chęci akceptacji całej organizacji społeczeństwa, jego struktury, hierarchii, podziału władzy i zasad – można wykorzystać politycznie do odrzucenia systemu, państwa i reprezentacji politycznej, bez konieczności dialogu z udziałem całego społeczeństwa.

Serwisy społecznościowe potencjalnie odrywają organizację społeczeństwa od jej dotychczasowych stałych podstawowych mechanizmów w strukturze ekonomicznej, zawodowej i przestrzennej. Wysoki i gwarantowany poziom życia, duży odsetek osób ekonomicznie postaktywnych i nieaktywnych lub pracujących z domu od czasu pandemii jeszcze bardziej rozluźniają tę organizację i pozbawiają ją silniejszych podstaw przestrzennych i strukturalnych.

Kontrast między kryzysem europejskiej zasady wydajnościowej opartej na pionowej i hierarchicznej organizacji społeczeństwa a silnym przesunięciem w kierunku systemu roszczeniowego z poziomą organizacją grup społecznych, np. w porównaniu z dynamiką azjatycką, gdzie motorem napędowym pozostają rosnąca mobilność i sukces gospodarczy, można zdefiniować jako kontrast między „światami” o obowiązuje i rozpadającej się pionowej strukturze społeczeństwa.

Istotne jest przy tym przeniesienie tych interesów społecznych na wybory i zachowania polityczne obywateli, ich zainteresowanie utrzymaniem lub „zniesieniem” merytokratycznej i hierarchicznej organizacji społeczeństwa w odniesieniu do jego demokratycznej samorządności nie tylko w parlamentach, ale także w rządzie oraz administracji i zarządzaniu państwem.

Niezależnie od tego, czy mówimy o marnościach o technologicznym zarządzaniu państwem np. przez sztuczną inteligencję czy o odrzuceniu jego hierarchicznej, skodyfikowanej prawnie struktury władzy na

rzecz całkowicie subiektywnego – określenie przez sieci społecznościowe – kierowania decyzjami, oba te podejścia oznaczają celowe odrzucenie dotychczasowych stosunków władzy oraz mechanizmów ich powstawania i zarządzania nimi.

Nie dysponujemy badaniami ani danymi, które mogłyby posłużyć do sformułowania hipotez dotyczących zmian w organizacji i strukturze społeczeństw zachodnich, które mogą nastąpić. Socjologia akademicka nie podjęła dotychczas badań, które odpowiedziałyby na pytanie, czy przyczyną wzrostu nastrojów antysystemowych nie jest rozpad merytokratycznej organizacji współczesnych społeczeństw, upadek lub załamanie się ich stratyfikacji. A właśnie tutaj mogłaby leżeć odpowiedź na pytanie, dlaczego nasiła się kryzys zachodnich systemów liberalnych, a znaczące grupy społeczne preferują partie polityczne, które dążą do zniszczenia liberalnej demokracji i państwa prawa.

Bardzo chciałbym, aby wśród europejskich socjologów akademickich znalazły się uniwersytety i osoby, które zbadałyby taką hipotezę.

przeł. Andrzej S. Jagodziński



FOT. SEDLACEK VOLTA

*Ivan Gabal

• Rocznik 1951. Czeski socjolog, polityk i publicysta. W 1989 r. był jednym z założycieli czeskiego Forum Obywatelskiego, a potem dwukrotnie szefem zwycięskich kampanii wyborczych tego ugrupowania. W latach 90. doradca prezydenta Václava Havla i szef prezydenckiego Biura Analiz Społecznych. Twórca pierwszej czeskiej sondażowni AISA.

Tekst napisany dla „Wyborczej”. Tytuł od redakcji.

TAK

Wraz z wyborem Karola Nawrockiego Polacy zyskali nowy powód, by spojrzeć w stronę Serbii: my naszych „Nawrockich” czule pielęgnowaliśmy. Aż spotwornieli

Ivan Milenković*

Dlaczego „przypadek Serbia” miałby interesować Polaków? Ten mały, zubożały kraj na Bałkanach (ok. 6,5 mln mieszkańców) w ostatnich 35 latach zasłynął głównie z pierwszorzędnych zbrodniarzy wojennych, dyktatorów, skrajnego nacjonalizmu, szkodenia sąsiadom i zadawania ciężkich ran samemu sobie. A drugiej strony z najwyższej w historii inflacji, z interwencją zbrojnej NATO w 1999 r., z zabójstwa pierwszego demokratycznego premiera Zorana Đindicia w 2003 r., z osobliwego zapatrzenia w Rosję oraz z tenisisty Novaka Djokovicia. Stał się awangardą głupoty w Europie.

Jak wiadomo, z czasem każda awangarda przechodzi w mainstream. A z dzisiejszej perspektywy widać, że Serbia miała swojego Putina (nacjonalistycznego dyktatora Slobodana Miloševicia) długo przed Putinem i swojego Trumpa (populistycznego dyktatora Aleksandra Vučića) przed Trumpem. Dzisiaj – wspólnie z Węgrami Viktor Orbána, Turcją Recepem Erdoğanem, Słowacją Robertem Ficy, Gruzją Micheilem Kavelaszwilliem, Białorusią Aleksandrem Łukaszenką, matką wszystkich dyktatur, czyli Rosją Putina, oraz jeszcze do niedawna Polską Jarosława Kaczyńskiego – wyznacza najgorsze polityczne trendy w Europie.

To wszystko przecież jednak za mało, by „Wyborcza” otworzyła swoje łamy dla „causa Serbiae”. Ot, jeszcze jedna dyktatura, z mniej lub bardziej lokalnie zabarwionym autorytaryzmem, jakich dziesiątki znamy z historii Europy, wystarczy spojrzeć na przyprowadzający o dreszcze XX wiek.

Serbia to cywilizacyjna ślepa kiszka (do tego w stanie zapalnym), jeszcze jedna tyrania, która na skutek rozlewu krwi lub – przy odrobinie szczęścia – bezkrwawo przekształci się albo w kolejną tyranię, albo – przy ogromnym szczęściu – w chwilową republikę.

Jednak wraz z wyborem Karola Nawrockiego Polacy zyskali nowy powód, by spojrzeć w stronę Serbii: my naszych „Nawrockich” czule pielęgnowaliśmy, aż spotwornieli. Gdyby Polacy uważniej śledzili wydarzenia u nas, może inaczej zagłosowaliby 1 czerwca w II turze wyborów prezydenckich. Tymczasem przez ostatnie sześć miesięcy, po 13 latach rządów, populistyczna dyktatura Aleksandra Vučića została poważnie zachwiana – przez zbuntowanych studentów wspieranych przez innych zbuntowanych obywateli.

1 listopada 2024 r. w Nowym Sadzie, drugim co do wielkości mieście Serbii, zawałiła się betonowa wiata nowo wyremontowanego dworca kolejowego, grzebiąc w ruinach 16 osób. Każdy, kto nie wierzy w wersję o „zamachu terrorystycznym” (wbrew wszelkiej logice forsowaną przez reżimową propagandę) i kto nie uznaje Vučića, umi-

Serbia Koniec populizmu?

SIĘ BUDZI KRAJ



lowanego Wodza, za półboską istotę, ten w zawalonym dachu rozpoznał efekt działania skrajnie skorumpowanej i żałośnie niekompetentnej serbskiej władzy. Śmierć szesnaściorga obywateli stała się bezpośrednim impulsem do buntu, choć jego przyczyny sięgają znacznie głębiej.

W 2012 r. wybory prezydenckie wygrywa skrajny nacjonalista Tomislav Nikolić, bliiski współpracownik skazanego zbrodniarza wojennego Vojislava Šešelja, co wynosi z kolei do władzy jego bliskiego współpracownika Vučića. Ich partia, z nimi na czele, na potrzeby kampanii wyborczej zamieniła mundury polowe na garnitury, opracowała nową retorykę, skropiła się europejskimi perfumami, na co dali się nabrać zarówno obywatele, jak i kanclerz Angela Merkel.

Wystarczyło kilka miesięcy od objęcia przez nich władzy, żeby runęła Pierwsza Serbska Republika, która powstała po obaleniu bałkańskiego rzeźnika Slobodana Miloševicia (mniej więcej tyle samo potrzebował Hitler, by zniszczyć Republikę Weimarską).

W tym czasie Vučić wykazał się bezwzględnością i sprytem: usunął zawiadującego mu Nikolicia, podporządkował sobie władzę ustawodawczą i sądowniczą (parlament zamienił w kumoterskie koryto), najważniejsze media i tabloidy wykorzystał do porachunków z przeciwnikami politycznymi (przez co niemal zdławił opozycję) i de facto zamroził wymienialność władzy (formalnie i prawnie Serbia wciąż jest republiką – ale w wersji zbliżonej do Białorusi Łukaszenki).

Dysponując pełną kontrolą nad mediami i praktycznie nieograniczonym budżetem państwowym, który hojnie przeznacza na swoją partię (Serbska Partia Postępowa), swoich oligarchów, przestępców i bojówek, Vučić rządzi niepodzielnie od 13 lat – ogłasza przedterminowe wybory, kiedy mu się żywnie podoba, i bez większych przeszkód osobiście sprawuje władzę absolutną.

Dla uwiarygodnienia powyższego niech posłuży kilka ciekawostek. W Serbii istnieje tylko jedna (dosłownie) gmina, którą nie zarządza ani partia Vučića, ani żadnego z koalicjantów. Nie ma biblioteki, domu kultury, jednostki administracyjnej, przedsiębiorstwa państwowego ani nawet przedszkola, nad którym Wódz nie przejąłby kontroli.

W latach 2014-16 zgromadził 230 z 250 posłanek i posłów (opozycja zboj-

kotowała nieuczciwe, fasadowe wybory), dziś ma 151 mandatów zdobytych dzięki masowemu fałszerstwu, absolutnej przewadze medialnej oraz „importowi” dziesiątek obywateli Bośni i Hercegowiny, którym w trybie natychmiastowym przyznano obywatelstwo Serbii. O regularnie głosujących „martwych duszach” nawet nie warto wspominać. Podobne wyniki osiągają dziś Kim Dzong Un oraz Łukaszenka. Najwyraźniej mamy w Serbii do czynienia nie tylko z autokracją, lecz także z wyraźnie totalitarnymi zapędami niestrudzenie wspierającymi kult jednostki i państwową przestępczość.

Jeśli jesteś handlarzem narkotyków z największą (nielegalną) plantacją marihuany w kraju, zostaniesz błyskawicznie wypuszczony na wolność, a policjanci, którzy cię (przypadkiem) aresztowali, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Jak to możliwe? Skoro jesteś państwowym dilerem, a po twoich włosiach przechadzają się ministrowie gabinetu Vučića – to możesz wszystko.

Trwało to, powtórzmy, 13 lat. Aż runął dach dworca i zabił 16 osób.

Jak obywatele Serbii dopuścili do obecnej sytuacji, i to po 12 latach nacjonalistycznego szaleństwa Miloševicia? Żeby uzyskać odpowiedź, wystarczy, że Polacy zapytają sami siebie: jak to się stało, że najpierw przydarzył im się Jarosław Kaczyński, a potem na dokładkę Karol Nawrocki?

Oczywiście w Serbii wielokrotnie wybuchły masowe protesty po tym, gdy jedynym możliwym kanałem komunikacji z władzą stała się dla obywateli ulica. Rzesze ludzi uczestniczyły w pokojowych demonstracjach przeciwko reżimowi próbującemu zamienić kraj w kopalnię litu (przy ochoczym wsparciu Niemiec i Francji) lub po strzelaninie w szkole podstawowej w centrum Belgradu 3 maja 2023 r. – by wymienić tylko największe protesty.

Setki tysięcy ludzi dzień w dzień wychodziły na ulice, lecz władza zazwyczaj radziła sobie z nimi poprzez ignorowanie, medialne przemilczenie (mało kto na prowincji wiedział, że w Belgradzie gromadziło się tylu ludzi), umiarkowaną brutalność policji i zaangażowanie partyjnych bojówek. Czy w Polsce ktoś o tym wiedział, to pytania retoryczne: niewiele albo nie.

• **Antyrządowe demonstracje w Belgradzie, w których licznie biorą udział serbscy studenci. Protestujący domagają się rozpisania przedterminowych wyborów (28.06.2025).**

FOT. REUTERS/ZORANA JEVTIĆ

Trudno się temu dziwić. Serbia to mały kraj na obrzeżach Europy, niezdolny do poważniejszej destabilizacji regionu, który ma to, na co zasłużył. Vučić, choć fałszuje wybory i niszczy wszystko, czego się tknie, cieszy się stabilnym poparciem obywateli, a w oczach instytucji unijnych uchodzi za partnera godnego zaufania (dopóki eksportuje broń do Ukrainy, nikt mu przesadnie nie wytyka, że brata się z Putinem). Podobnym poparciem większości obywateli cieszył się w swoim czasie Milošević.

Tu nasuwa się kluczowe pytanie: dlaczego tak naprawdę upadł Milošević, dlaczego dzisiaj Vučić jest w głębokim kryzysie? Sprowadzając na Serbię w 1999 r. interwencję NATO, Milošević zerwał niepisany pakt z umiłowanym narodem. Brzmiał on: rób, co chcesz poza granicami kraju, tam masz wolną rękę, byle u nas nie było wojny. Trwające wiele miesięcy bombardowanie przez NATO nie było częścią tej umowy.

Vučića obowiązywał podobny kontrakt: mógł kraść, kłamać, niszczyć, dopóki zapewniał bezpieczeństwo i regularnie wypłacał marne pensje. 1 listopada 2024 r. runęła wiata, zabijając 16 osób, a obywatele pojęli, że każdy z nich mógł znaleźć się na miejscu ofiar. Umowa została zerwana. Studenci zrozumieli to najlepiej.

Na wszystkich uczelniach w kraju przerwano zajęcia, studenci zajęli gmachy, codziennie blokowali główne ulice i instytucje państwowe. Ich głównym żądaniem była publikacja pełnej dokumentacji związanej z przebudową dworca kolejowego w Nowym Sadzie. Zwrócili się jednak z tym żądaniem – na tym polegał ich polityczny majstersztyk – nie do Vučića, który (jak na ukochanego Wodza przystało), przekraczając konstytucyjne i ustawowe uprawnienia, zawsze ma wgląd we wszystko, wszystko opiniuje i o wszystkim decyduje.

Studenci pominęli figurę niepomijalną, podważyli jego kompetencje (słusznie) i zwrócili się z tym żądaniem do nadzręd-

nych organów. To wszystko musiało mocno zabołec narcystycznego prezydenta. Inna rzecz, że od samego początku trzymali się z dala od opozycji i podkreślali niepolityczny charakter swoich protestów. Choć sama obecność w przestrzeni publicznej jest aktem politycznym, oni widzieli swój bunt jako niepolityczny.

To właśnie dlatego upadł rząd Vučića. Kiedy stało się jasne, że reżimowe władze nie spełnią żądań – bo same siebie musiałyby zamknąć w więzieniu – studenci ruszyli w Serbię, pieszo i na rowerach, witani z entuzjazmem w miastach i wsiach. To był ich drugi polityczny majstersztyk. Uśpiona Serbia się przebudziła, a w ośrodkach akademickich zaczęto organizować masowe wiece.

Kulminacyjny protest miał miejsce 15 marca w Belgradzie i pomimo reżimowych utrudnień (zawieszenie komunikacji międzymiastowej, blokada wielokilometrowych kolumn aut zjeżdżających do stolicy) zgromadził blisko pół miliona osób. To największe zgromadzenie w historii Serbii (to jakby w Warszawie zebrały się trzy miliony). Tego dnia reżim próbował rozpętać wojnę domową – w centrum pojawiły się jednostki paramilitarne, użyto nielegalnie armat akustycznych. Wybuchowi przemocy udało się zapobiec tylko dzięki studentom i ich wyjątkowo sprawnej organizacji.

Jednak największym politycznym majstersztykiem studentów jest ich antypolityka. Od pierwszego dnia rządów Vučić niszczy fundamentalną dla republiki przestrzeń publiczną, niszczy życie polityczne i zawłaszcza wszystko, co publiczne. Niemal zawsze nieźle sobie radził z politycznym oporem wobec przyjętej przez niego antypolityki. Wiedział, jak go stępić. Ale wobec antypolityki studentów (politycznej antypolityki) okazał się bezsilny.

Próbował wszystkiego – przekupywał, schlebiał, groził, nasyłał na protestujących bojówki (jednej studentce połamano szczękę kijem baseballowym, wiele osób zostało pobitych, część wyładowała w areszcie), przyzwalał na wjeżdżanie w tłum rozpędzonymi samochodami (dwie studentki zostały ciężko ranne). Na nic się to zdało, popełniał błąd za błędem, z każdym ruchem coraz więcej ludzi wyciągał na ulice.

Gdy piszę ten tekst [początek czerwca 2025 r.], reżim zabrał się do uniwersytetów (nie ukrywając, że chce je zniszczyć), wstrzymał wypłatę wynagrodzeń profesorom, próbuje poróżnić wykładowców ze studentami. Ale studenci nie ustępują. W niedzielę 1 czerwca, dokładnie siedem miesięcy po katastrofie w Nowym Sadzie, odbyły się protesty w 32 miastach Serbii. Setki tysięcy ludzi wyszły na ulice.

Studenci obudzili nadzieję, że Serbia być może wychodzi z samozawinionego średniowiecza. Że przestaje być awangardą głupoty. I że może wreszcie stać się interesującą dla Polski i Europy. Być może. ●

przeł. Agnieszka Łasek



*Ivan Milenković

• rocznik 1965. Serbski filozof. Mieszka i pracuje w Belgradzie.



RZECZPOSPOLITA *UKRAIŃSKA*

Do niedawna Ukraińcy uważali unię lubelską za czarną datę w swojej historii. Symbol ich zniewolenia przez Polaków.

Z **NATALIĄ STARCZENKO**, HISTORYCZKĄ ZWIĄZANĄ Z NARODOWĄ AKADEMIA NAUK UKRAINY, ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Zacznijmy od unii lubelskiej, którą opisuje pani w swojej książce „Ukraińskie światy Rzeczypospolitej” (wyd. Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2024). Została zawarta 1 lipca 1569 roku, więc właśnie minęło 456 lat.

– To bardzo ważne wydarzenie w ukraińskich dziejach. W historii powszechnej, znanej ze szkoły, panuje przekonanie, że dotyczyła dwóch nacji – Polaków i Litwinów. A był przecież jeszcze trzeci gracz – Rusini. W ukraińskiej historiografii unia lubelska do niedawna była postrzegana jako czarna data, symbol zniewolenia Ukraińców przez Polaków. A jednocześnie akt pierwszej zdrady ukraińskiej elity – książąt i szlachty – swojego narodu. Zarzucano im, że nie domagali się należnego im miejsca – członkostwa w Rzeczypospolitej, ale myśleli przede wszystkim o swoich egoistycznych interesach grupowych.

Kogo nazywamy Polakami na sejmie lubelskim? Przecież wśród tak zwanych Polaków była szlachta z województw ruskiego, belskiego i podolskiego, która wyraźnie oddzielała się od reszty i była świadoma swoich interesów. Nie istnieje pojęcie „rzeczypospolitanin”, ale istnieje dobry historyczny termin „koroniarz” na określenie obywatela Królestwa Polskiego niezależnie od jego pochodzenia etnicznego. Wolę wykorzystywać to pojęcie.

W tamtych czasach nie istniało jeszcze pojęcie „narodu” jako wspólnoty obejmującej wszystkich równych między sobą obywateli. Na sejmie lubelskim po raz pierwszy zabrzmiał wniosek książąt i szlachty wołyńskiej, którzy deklarują, że reprezentują odrębny naród. Dla nich przyłączenie się do Korony – wcześniej byli częścią Wielkiego Księstwa Litewskiego – było powrotem do macierzy. Nie odbierali tego jako podboju. Dla ukraińskiej szlachty ojczyzną była Rzeczypospolita. Ale w jej obrębie funkcjonowało coś na kształt ich własnego państwa – Ruś. Jak pisze jeden z uczestników sejmu lubelskiego, są „narodem pocziwym, który żadnemu innemu narodowi nie ustępuje”.

Mają poczucie odrębności. Żądają od króla i koroniarzy, by sami mogli opracować przywileje określające przyłączenie województwa wołyńskiego do Królestwa Polskiego. Przywilej, który opracują, będzie obejmował też Bracławszczyznę i województwo kijowskie. Zagwarantują sobie w nim nienaruszalność granic, „swoje” prawo, równość katolików i prawosławnych, nadanie urzędów tylko miejscowej

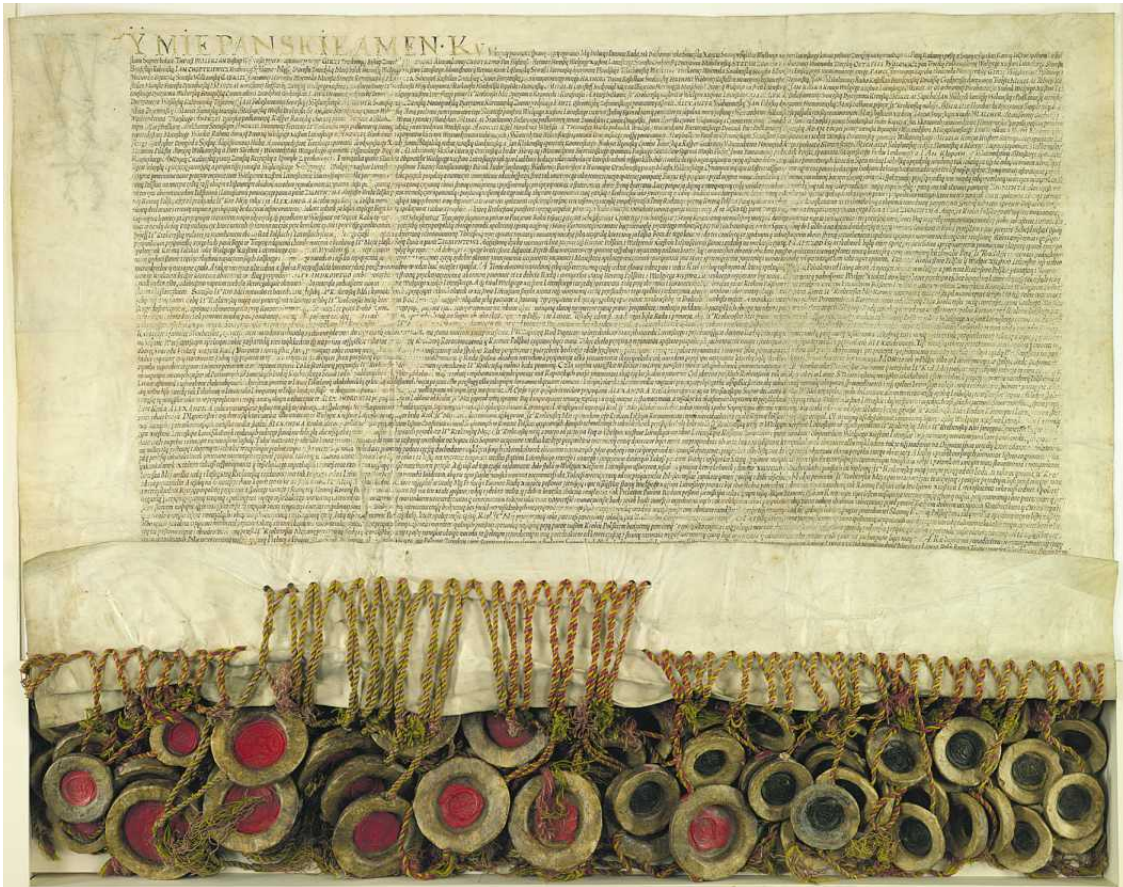


◀ „Unia lubelska”, obraz Jana Matejki z 1869 roku. W centrum z krzyżem w dłoni król Zygmunt August

FOT. MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

▶ Pergamin z treścią aktu unii lubelskiej oraz pieczęciami województw Korony i Litwy

FOT. ARCHIWUM AKT DAWNYCH



Nie widzę w znaczeniu słowa „Ukraina” jako ziemi pogranicznej niczego, co mogłoby obrażać moje uczucia narodowe. Może dlatego, że jako historyk wiem, że najciekawsze rzeczy dzieją się właśnie na pograniczu – kultur, literatur, terytoriów

szlachcie, a dla języka ruskiego status języka sądów i administracji. Przywileje staną się ważnym fundamentem budowania tożsamości ruskiej szlachty jako „narodu politycznego” obok „polskiego” i „litewskiego”. To coś na kształt pierwszej konstytucji tych ziem.

Dlaczego to tak ważne?

– Jeśli masz prawa, jesteś podmiotem. Ludzie w przeszłości dobrze to rozumieli. Dla mnie najważniejsze w tej historii jest poczucie u szlachty nowo przyłączonych województw swojej odmienności od Polaków i Litwinów, □ jednocześnie – uczucie jedności z inną, koronną Rusią.

Wtedy też pojawia się budowanie wspólnej mitologii.

– Etnolodzy mówią, że naród pojawia się wtedy, kiedy zaczynamy myśleć o tym, skąd pochodzimy. Od kogo. Wspólna legenda o pochodzeniu może być ważniejsza niż język i ziemia. Przełom XV i XVI wieku to dla całej Europy moment tworzenia mitów o pochodzeniu. Moment narodotwórczy.

Rusińska szlachta tworzyła własną mitologię o pochodzeniu choćby od Rurykowiczów. Ostrogscy uważali się za spadkobierców „starej Rusi”, a do swojej legendy genealogicznej dodał nawet Włodzimierza Wielkiego. Ta potrzeba musiała być bardzo silna – skoro nie ma odrębnego państwa, władcy, autonomia jest ograniczona, a jednak pojawia się mit starożytnej, jak nieraz mówili, wspólnoty. I to właśnie z Rusi tamtejsza szlachta wywodzi swoje prawa.

Na historię zbyt często patrzymy przez pryzmat teorii powstających w XIX wieku. Jesteśmy przywiązani do myśli, że narody utworzyły się na przełomie XVIII i XIX wieku. Nie bez powodu to wtedy pojawia się formuła gente Ruthenus, nazione Polonus (z pochodzenia Rusin, z narodowości Polak). Nie zapominajmy jednak, że oba jej składniki znajdowały się w ciągłym ruchu, nie były hierarchicznie ustalone. „Ojczyzną” nazywano Rzeczpospolitą, a jednocześnie i Ruś.

Kilkadziesiąt lat po unii lubelskiej, w 1641 roku, kasztelan czernihowski Adam Kisiel mówi na sejmie

tak: „A my nie do krainy, ale z krainą, nie do religii, ale z religią, nie do tytułów i honorów, ale z tytułami i honorami przyłączyliśmy się do tej wspólnej ojczyzny naszej”.

Ale w pewnych momentach to właśnie Ruś potrafiła znacząco zwyciężyć i przejść na pozycję „wielkiej” ojczyzny przynajmniej dla części tego narodu.

Mówi się, że warunkiem istnienia narodu jest państwo. A jak się komuś nie poszczęściło? Uważam, że popularność w politologii tych teorii wyrządziła wielką szkodę naszej teraźniejszości. Politycy woleli nie zauważać Ukrainy: młody naród – młode państwo, wynik zbiegu okoliczności. To, co proponuję, to wczucie się w bohaterów mojej opowieści, zrozumienie tego, co naprawdę mówili i pisali.

W czasach, którymi się pani zajmuje, powstał koncept Ukrainy?

– Warto rozróżniać „koncept Ukrainy” i nazwę „Ukraina”, pamiętając, że to pojęcia i tytuły zmienne w czasie. Podobnie jak odpowiedzi na pytanie: „Co uważamy za swoją historię?”.

Na temat tego, kiedy pojawia się Ukraina, trwa od wielu lat dyskusja. Ze słowami „Ukraina”, „ukrainny” spotkamy się wszędzie, gdzie mowa o obronie granicy, „ukrainnych” zamkach lub urzędnikach. Są swoje „Ukrainy” we wszystkich ruskich województwach.

Nie widzę w znaczeniu słowa „Ukraina” jako ziemi pogranicznej niczego, co mogłoby obrażać moje uczucia narodowe. Może dlatego, że jako historyk wiem, że najciekawsze rzeczy dzieją się właśnie na pograniczu – kultur, literatur, terytoriów. Ludzie pogranicza zdolni do kreatywności jak nikt inny. Jednocześnie jak nikt inny potrafią bronić „swojego”. Inaczej nie przetrwają. Dlatego są słynni jako wojownicy.

Muszę też powiedzieć, że równoległe do tego bardziej powszechnego znaczenia Ukrainy jako pogranicza istnieje wiele innych jego odcieni. Ukraina jak Kijowszczyzna i Braclawszczyzna na pewno była obecna w języku potocznym. A żeby było jeszcze ciekawiej, mamy też terminy Rosja i Malorosja, którymi była określana koronna część metropolii kijowskiej, to jest na dziś przeważnie ziemie ukraińskie.

Nie jest łatwo to wszystko uporządkować. Kim byli Kozacy?

– Jak powiedział jeden z historyków: „Po co upraszczać, skoro można skomplikować?”. Historyk ma w swoich rękach jedynie fragmenty przeszłej rzeczywistości, z których stara się zbudować pełny obraz. Życie wokół też jest bardzo różnorodne. Czarno-białe teksty o przeszłości to często wytwory propagandowe.

Niewiele jest zdarzeń, w ocenie których możemy pozwolić sobie na jednoznaczną interpretację. Dziś jesteśmy w innej sytuacji. Walczymy ze złem, które nie poddaje się niuansowaniu. Jeżeli ktoś mówi: „nie wszystko jest takie jednoznaczne”, występuję jako adwokat diabła. Ale historia, o której mówimy, na szczęście do takich nie należy, więc możemy skomplikować jej wizję, którą właśnie uprościli historycy i podręczniki.

Pytanie o Kozaków jest trudne. Ukraińcy w przeszłości to nie tylko Kozacy, a znowuż Kozacy to nie są tylko Ukraińcy w przeszłości.

Korona i Wielkie Księstwo Litewskie były olbrzymimi krajami, a wschodnia granica ciągnęła się przez setki kilometrów. Żeby bronić granic, potrzebne były olbrzymie pieniądze. Na utrzymanie wojska, administracji. Nigdy nie było ich wystarczająco. Tam, gdzie państwo nie działało, ludzie pograniczni musieli zadbać o siebie sami. Tym samym stworzyli wspólnotę militarną, która miała wspólny kod kulturowy. Nie mieli stabilnej hierarchii, ich organizację można określić jak demokrację wojskową.

Łączyła ich religia?

– Z natury nie. Na początku zwałaszcza religia nie miała dla nich znaczenia. Niereligijność powodowała wręcz wzmianki o nich jako o muzułmanach. Sami mieli niejasny stosunek do religii. Była to mieszanina ludzi z różnych grup społecznych, zwłaszcza ze szlachty i bojarów, czyli ludzi spoza stanu szlacheckiego, ale żyjących niemal jak szlachta.

Zygmunt August i Stefan Batory byli pierwszymi władcami, którzy spróbowali „oswoić” Kozaków, przyjąć część ich na służbę. W 1572 roku



➤ tworzy się pierwszy rejestr Kozaków, którym król będzie wypłacał żold, na listę trafia ponad 300 osób. Ale ta liczba rośnie, w rejestrze z lat 20. XVI wieku jest już kilka tysięcy osób. To była armia na utrzymaniu państwa, ale znacznie więcej Kozaków było poza rejestrem.

Kozacy byli Rzeczypospolitej potrzebni w czasie wojen. Gdy nastawał pokój, ich utrzymanie było olbrzymim obciążeniem dla skarbu. Wtedy ludziom wojny proponowano zostać poddanyymi szlachty, co było już dla nich nie do przyjęcia. Uważali siebie za rycerzy, obrońców Rzeczypospolitej, równych szlachcie, tylko bez szlacheckich praw. Powoli zaczęli się stawać podmiotem politycznym.

W 1621 roku, po bitwie pod Chocimiem, gdzie Kozacy razem z polskimi i litewskimi siłami starli się z armią turecką, zaczęli wysuwać wobec króla i szlachty polityczne postulaty. W kolejnych latach będą się domagać uczestnictwa w kulturze szlacheckiej. Mówili o „miej Ojczyźnie Rzeczypospolitej” nawet na początku kozackiego powstania. Jak i reszta szlachty nazywali siebie „Rzecząpospolitą”.

W 1632 roku na sejm elekcyjny dotarła delegacja Kozaków, którzy chcieli mieć wpływ na wybór króla, bo – jak pisali – są „ludźmi rycerskimi i członkami Rzeczypospolitej”.

Kancelerz wielki litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł zapisał w pamiętniku, że „oni się oświadczały być częścią Rzeczypospolitej, należącą do elekcyi króla”. Radziwiłł i szlachta byli zaskoczeni tymi żądaniami. „Oni są wprawdzie częścią Rzeczypospolitej, jako się mianują, ale taką, jaką są włosy albo pazury w ciele ludzkim, które gdy zbytne wyrosną, włosy głowę obciążają, pazury zaś ostro kołają, przeto je trzeba obcinać” – napisał Radziwiłł. Kozacy w elekcyi nie wzięli udziału, ale w pacta conventa, które podpisał wybrany król, znalazł się zapis dotyczący poszanowania „religii greckiej”.

Dlatego nie możemy myśleć o Kozakach jedynie jako o homogenicznej masie, która jest wyłącznie nastawiona antypaństwowo.

To skąd powstania?

– Gdyby można było odpowiedzieć w kilku zdaniach, historycy nie walczyliby między sobą w ciągu ponad dwóch stuleci z powodu tego pytania. Ukraińscy historycy szukali przyczyny w sferze materialnej, mówili o ucisku. W tym im pomagały źródła ze strony kozackiej, które opowiadały o wojnie nieśmiertelnego „narodu ruskiego” z „Lachami”. Źródła z innej strony, ze strony „Lachów”, odzwierciedlały tę samą retorykę.

Przyczyny leżą, jak się wydaje, w sferze wyobraźni. Kozacy powstają z poczucia bycia wspólnotą, która jest pewna swoich praw, ale ich nie posiada. Myślę, że obywatele Rzeczypospolitej mogli to zrozumieć. Krzysztof Radziwiłł do Jerzego Zbaraskiego, kasztelana krakowskiego, ale wcześniej posła braclawskiego, pisał: „Ojczyzna nie w ścianach, nie w granicach, nie w majątnościach, ale w używaniu praw i wolności należy”.

Bycie częścią Rzeczypospolitej nauczyło Kozaków wielu rzeczy. Nawet w XVIII wieku Kozacy mówią o sobie jako o szlachcie, bronią swojego „honoru szlacheckiego”, a ostatni hetman lewobrzeżnej Ukrainy Kirył Razumowski planował reformę sądownictwa na wzór szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Czy zawsze ukraińscy historycy dostrzegali te powiązania?

– Według wielkiej narracji stworzonej na początku XX wieku przez Mychajła Hruszewskiego Rzeczypospolita była wrogiem dla Ukraińców państwem, którego cel polegał na zniewoleniu i zniszczeniu ich tożsamości. Dlatego do ukraińskiej historii należały tylko te momenty, gdzie lud ukraiński prowadził walkę wyzwoleniczą z Polską utożsamianą z Rzecząpospolitą. Te motywy były pogłębiane w radzieckiej wersji historii ukraińskiej i częściowo na początkowym etapie tworzenia własnej historii w niepodległej Ukrainie.

Teraz się to zmienia. Próbujemy analizować historię Rzeczypospolitej za pomocą innych schematów interpretacyjnych niż tradycyjne – kolonizacji, katolicyzacji, polonizacji, przemocy, ucisków. Gdy patrzymy na Rzeczypospolitą jako kraj, w którym tworzyła się ukraińska tożsamość, zmienia się w tej opowieści bardzo wiele. Staje się ona częścią naszej ukraińskiej historii. Nie tak, jak było – najpierw Ruś Kijowska, a potem dopiero Kozacy. Zauważyliśmy, że pomiędzy tymi częściami historii wydarzyło się coś bardzo ważnego, co wpływa nie tylko na nasze odbieranie przeszłości, ale i na naszą terażniejszość.

W ostatnich latach odkrywamy przepaść, jaka nas dzieli od Rosjan. W wartościach i kulturze. Dwa stulecia prób unifikacji, rugowania języka, niszczenia kultury. Dyscyplinowanie głodem i terrorem. Wszystkie te wysiłki zakończyły się niepowodzeniem. Było coś, co chroniło nas przed zniszczeniem.

► „Potyczka Kozaków z Tatarami”, obraz Józefa Brandta z 1890 roku

FOT. DOMENA
PUBLICZNA



Przypuszczam, że to kultura w szerokim pojęciu – jako wzorce zachowań, wartości, orientacji światopoglądowe, które formowały się w Rzeczypospolitej i były odziedziczone przez twórców Hetmanatu.

Nie lubi pani opowieści o polskiej kolonizacji Ukrainy?

– Zdecydowanie nie, bo w tej opowieści jest zwykłe tylko jeden podmiot, który wytwarza kulturę wysoką, a następnie przekazuje ją dalej na kresy. Ale tak nie było. Kulturę polityczną tworzyła szlachta wszystkich regionów Rzeczypospolitej, dodając do niej coś własnego.

Kolonizacyjne podejście wiąże się także z unifikacją kultury innych narodów przez polską dominację. Myślmy o tym w kategoriach nowożytnych imperium. Czy mogła ta idea pojawić się u Stefana Batorego, który nie dość, że nie był Polakiem, to jeszcze nie znał języka polskiego. Jak on miał to unifikować, nie mając szkół, gazet, regularnego wojska? To idea już bliższa końca XVIII wieku, kiedy rodzą się nowoczesne państwa.

Pisze pani o „plebeizacji” ukraińskiej historii.

– „Plebeizacja” ukraińskiej historii ma długie trwanie i różnorodne korzenie. Zaczęła się od „narodzin” ukraińskiej historiografii, za którą stała wyłącznie kozacka wersja przeszłości. Odrzucona została własna szlachta, związana z Rzeczypospolitą, jako zdrajczy. To pisanie historii pozostawało pod silnym wpływem ideologii imperialnej z jej polonofobią. Dołączył się do tego wpływ romantyzmu. Ideologia marksistowsko-leninowska Związku Radzieckiego sfinalizowała wizerunek Ukraińców jako narodu chłopskiego, pozbawionego w przeszłości własnej elity, ciągle zeznającego ucisków. Mamy z tym wizerunkiem problemy do dziś.

Ma pani ulubioną postać z czasów, o których pisze w książce?

– Uwielbiam w historii ludzi, którzy trafiają do źródeł, ponieważ przesunęli granice tego, co było możliwe w ich sytuacji. Na przykład mój ulubiony Mikołaj Wołyniec, który pozwał księcia Grigorija Sanguszkę do wszystkich możliwych sądów i wszędzie wygrał.

Kocham ludzi obowiązku, takich jak kancelarzista krzemieniecki Eustachy Gizel. Wiosną i latem 1649 roku ratował na zamku w Krzemieńcu księgi sądowe, które zimą po wizycie Kozaków leżały pod śniegiem i deszczem. Rano wystawiał arkusze na słońce, wieczorami chował do piwnicy. Kiedy w lecie rozeszły się pogłoski, że zbliżają się Tatarzy i Kozacy, dużo ludzi uciekło, a on wrócił do Krzemieńca, aby ratować księgi już od chłopów, którzy ukrywali się na zamku. Dzięki Gizelowi mamy do dziś zachowane źródła z Krzemieńca.

Bardzo lubię tych, którzy wybierali „bycie Rusinami”, jak Stanisław Orzechowski. Człowiek, który wymyślił sobie ruską genealogię. Mówił o sobie, że należy do „nacji scytów”, a jednocześnie do „narodu ruskiego”. W końcu Ruś, jak wywodził, leży w granicach dawnej Sarmacji. W liście do nuncjusza pisał, że jego ojczyzną jest województwo ruskie. Jego mieszkańcy – zdaniem Orzechowskiego było to rycerstwo – otrzymali wiarę z Konstantynopola, chrzest zaś z rąk księcia Włodzimierza, ale później królowie polscy przemieszali wszystkich. Twierdził, że jego przodko-

wie, polscy szlachcice, ożenili się z Rusinkami i dzięki ożenkowi oraz zamieszkaniu stali się Rusinami.

Jan Szczęsny Herbut, poeta i starosta dobromilski, pisał, że on i jego żona są katolikami, ale z krwi ruskiej. Z pochodzenia był Ślązakiem, ale okazuje się, że i w tamtych czasach można było wybrać sobie krew.

Powiedziała pani, że „mieszka w XVI wieku”. Jak jest w tamtym świecie?

– W księdze sądu grodzkiego żytomierskiego z 1582 roku na marginesie skargi na jakiś drobny konflikt znajduje się zapis z końca XVII wieku: „Było święto Bogu, kiedy to pisano. Wtedy było dobro na tym nędznym świecie”. Autor dobrze uchwycił różnicę między tymi dwiema epokami.

Lubię Rzeczypospolitą do połowy XVII wieku, gdy ludzie ubolewali nad tym, żeby nie były łamane ważne konwencje obywatelskie. I szukali dróg, by tego uniknąć. Prawa, swobody, zgoda nie były tylko nieosiągalnymi ideami, były ważnymi pojęciami w życiu politycznym. Wiele energii poświęcano szukaniu kompromisów, sposobów unikania konfliktów i utrzymania zgody. Zgoda wydawała się największą wartością. W tej Rzeczypospolitej było miejsce dla Innego. Może trochę idealizuję te czasy, w których nie brakowało i zaciętych konfliktów, ale działały mechanizmy, które mniej więcej pozwalały utrzymywać równowagę.

Da się napisać podręcznik, który pokaże wspólną historię?

– Trudno wyobrazić taki tekst, który by jednakowo przemawiał do „Polaka małego” i również „małego Ukraińca”.

Historia naukowa natomiast całkiem dobrze czuje się poza granicami. Mogę zaciekle dyskutować z polskimi kolegami, ale między nami jest zrozumienie dlaczego – szukamy razem drogi do przybliżenia innej epoki, człowieka w przeszłości. Analizujemy jednocześnie różnice w narracjach z powodu tych samych wydarzeń w naszych krajach – na co zwracamy uwagę, a co pomijamy. W taki sposób próbujemy radzić sobie z własną subiektywnością.

Wyobrażam sobie może nie podręcznik, ale książkę dla nauczycieli, by ułatwić im rozeznanie się w różnicach między naszymi narracjami. W niektórych ukraińskich podręcznikach ich autorzy przedstawiają poglądy różnych historyków, często wręcz przeciwnie, na to samo wydarzenie. Jest to dobry sposób, aby sprostować uczniów do dyskusji na temat przyczyn tej różnicy.

Chciałabym, żeby uczniowie uczyli się uważności na Innego, na to, że on mógł myśleć innymi kategoriami niż my dzisiaj. Nie powinniśmy oceniać przeszłości przez własne poglądy, swój system wartości, a nawet zdrowy rozsądek, który się przecież ciągle zmienia.

Historia jako lekcja empatii?

– Tak, ma pan rację. Przeszłość jest dobrym materiałem do uczenia empatii i kształtowania niezbędnych umiejętności życia w społeczeństwie. Jednocześnie nasza terażniejszość wskazuje na zadanie historii szkolnej, które do niedawna ustępowały innym kwestiom.

Kiedys czytałam artykuł polskich autorów podręcznika, którzy postawili pytanie: czy na pewno musimy przede wszystkim wychowywać Europejczyka, a potem polskiego obywatela? Okazało się, że najważniejszy jest człowiek gotowy bronić swojej ojczyzny. Który będzie wiedział, czego broni. Jakiej kultury, jakiej przeszłości i o jaką przyszłość walczy. Tyle mówiono o śmierci państwa narodowego w naszym zglobalizowanym świecie, a ratunek Ukraińców i świata leży w rękach tych, dla których Ukraina to coś więcej niż życie. ●



Ukraińskie światy Rzeczypospolitej

Natalia Starczenko; tłum. Tomasz Hodana, Katarzyna Kotyńska
Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2024

Antypolityka historyczna

Rządu silnego nie mieliśmy...

Bobrzyński w czarnej epoce po powstaniu styczniowym nie poddał się presji idealizacji przeszłości.

Janowski



Nikt nigdy nie głosił w Polsce bardziej kontrowersyjnych tez niż tzw. krakowska szkoła historyczna w II połowie XIX wieku. Wykształceni Polacy czytali świetnie napisane książki Waleriana Kalinki, Józefa Szujskiego i Michała Bobrzyńskiego i gorączkowo dyskutowali – czy naprawdę sami jesteśmy winni rozbiorów; czy Polska upadła z przyczyn wewnętrznych, czy przez zaborczość sąsiadów?

Minęły pokolenia i tezy szkoły krakowskiej, stopniowo wytarły się do podręcznikowego aksjomatu, że szlachta zgubiła Polskę.

Spójrzmy jednak bliżej na najmłodszego ze wspomnianych historyków, Michała Bobrzyńskiego (90. rocznica śmierci przypada 3 lipca). Przedstawił on schemat odejścia Polski od normalnej drogi rozwojowej Zachodniej Europy. Do XV wieku peryferyjna Polska, rozwijała się w miarę normalnie. W końcu średniowiecza wy-

tworzył się w Europie system, w którym główną rolę odgrywały stany, czyli prawnie wyodrębnione korporacje, zrzeszające uprzywilejowane grupy społeczne: szlachtę, mieszczan czy duchowieństwo. Na przełomie XV i XVI wieku monarchowie stopniowo ograniczają potęgę stanów i tworzą coś, co Bobrzyński określa jako „państwo nowożytne, prawne”. Opiera się ono na fachowej biurokracji, podległej królowi, działającej w oparciu o przepisy prawa i tworzącej sprawną strukturę zarządzającą.

Właśnie ta biurokracja jest kluczem: kiedy Bobrzyński pisał, że „nie mieliśmy rządu i ta jest jedna, jedyna upadku naszego przyczyną” (to zdanie weszło do Wikicytatów), nie miał na myśli rządu jako rady ministrów, lecz system zarządzania. W dzisiejszej polszczyźnie napisałby „nie mieliśmy sprawnej administracji”.

Otóż ten etap budowy państwa w Polsce się nie dokonał. Dlaczego?

Na Zachodzie monarchowie sprzymierzili się z mieszczaństwem dla poskromienia szlachty. Miało to same dobre skutki: silne mieszczaństwo rozwijało kraj gospodarczo, władca tworzył zręby aparatu administracyjnego, a osłabiona szlachta nie była w stanie wprowadzić pańszczyzny. W Polsce jednak miasta były głównie niemieckie. W zasadzie nie ma

w tym nic złego, ale odrębność kulturowa utrudniła miastom włączenie się w polską politykę; pozostawały na uboczu. Sami Jagiellonowie także nie doceniali miast i poparli szlachtę przeciw możnowładztwu, które wówczas zdawało się być najważniejszym rywalem króla. Niestety, w efekcie szlachta zdobyła władzę, podporządkowując sobie i króla, i miasta, i możnowładztwo.

To nie byłoby jeszcze tragedią, gdyby sama szlachta wytworzyła sprawne instytucje państwowe. Bobrzyński nie był zwolennikiem autokracji dla jej samej. Ostatecznie, nie ma znaczenia, czy nowoczesną biurokrację zbuduje król, czy sejm. Wydawało się, że w XVI wieku szlachecki ruch reformatorski, tak zwany ruch egzekucyjny (nie chodzi o egzekucję w dzisiejszym znaczeniu tylko o egzekwowanie prawa) będzie mógł wykonać to zadanie, jednak wkrótce upadł, a szlachta chciała już tylko osłabienia władzy królewskiej.

Do tego dochodzi pańszczyzna: Bobrzyński chyba pierwszy postawił ważną tezę, że popyt na zboże w Zachodniej Europie w końcu XV wieku doprowadził do powstania w Polsce folwarku pańszczyźnianego. Dochodzi też ekspansja na wschód, której albo nie należało podejmować, albo też należało tak zorganizować państwo, aby prawosławna ludność

ruska mogła uznać je za swoje (wtedy byłaby sprzymierzeńcem przeciw Moskwie). Tego szlachta nie potrafiła, traktowała bowiem Rzeczpospolitą jako swoją własność, którą nie zamierzała się dzielić. Efektem było nie tylko odejście od zachodniej drogi rozwojowej, ale i atrofia samej instytucji państwa. Historyk Rafał Stobiecki pokazał kilka lat temu, że słowna książka Jana Sowy „Fantomowe ciało króla” jest w swych głównych wątkach zaskakująco zbieżna (z pewnością nieświadomie) z koncepcjami Bobrzyńskiego. Bobrzyński nie znał pojęcia „failed state”, używanego dziś przez politologów; ale Polska szlachecka jest dlań właśnie „failed state”. Efekt znany.

Czy Bobrzyński miał rację? Częściowo tak, ale nie to jest najważniejsze. Sam fakt, że był ktoś, kto w czarnej epoce po powstaniu styczniowym nie poddał się presji idealizacji przeszłości, kto umiał pokazać – z przesadą – obraz samokrytyczny, stanowi olbrzymią zasługę Bobrzyńskiego (i jego kolegów). Dzięki nim kultura polska nie zasklepiała się w samochwalstwie i rozpamiętywaniu zbiorowych nieszczęść, lecz ocalała swą zdolność do krytycznej autorefleksji – a więc po prostu do istnienia. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Jasne strony dziejów

Te niepozorne prawa człowieka

Porozumienia Helsińskie liczą sobie już pół wieku. Dokument zapewne zaraz po podpisaniu nie zwrócił szczególnej uwagi, a zmienił życie milionów ludzi.

Brzezieski

Andrzej Celiński, z którym niedawno rozmawiałem o Towarzystwie Kursów Naukowych, uważa datę podpisania porozumień helsińskich za jedną z najważniejszych w historii PRL. Całkiem możliwe, że bez nich nie byłoby Komitetu Obrony Robotników i wielu innych opozycyjnych inicjatyw.

Co ciekawe, dokument, który w efekcie tyle krwi napsuł komunistom, był poniekąd ich dziełem. To między innymi z Polski wyszły jeszcze w latach 60. XX wieku apele o zwolnienie konferencji państw Układu Warszawskiego i NATO.

Było to na rękę zachodnioniemieckim socjaldemokratom, którzy szukali sposobu, by jakoś rozszczelnić mur berliński. Idea obrony praw człowieka niezbyt podobała się za to administracji Richarda Nixona, a zwłaszcza jego doradcy Henry Kissingerowi, który z Moskwą chciał rozmawiać z pozycji siły, a nie bezsilnych dysydentów.

Politycy i dyplomaci jednak siedli do rozmów. Gadali i gadali przez kilka lat, aż tu latem 1975 roku zaczęli spisywać podstawowe „koszyki”, czyli bloki,

porozumień. Mowa w nich była o poszanowaniu praw człowieka oraz jego wolności do religii czy swobodnej wypowiedzi, a także o prawach do suwerenności, wspomniano o mniejszościach narodowych i wielu innych słusznych i ważnych sprawach. W sumie więc były to bardzo ładne deklaracje, o których nazajutrz po podpisaniu można było zapomnieć. Tak na pewno myślał Leonid Breżniew. On i inni komunistyczni partnerzy nie przywiązywali szczególnej wagi do deklaracji, które podpisali. Jeśli już, to uważali, że pozwoli im to na propagowanie komunizmu w Europie, a zarazem na zwalczanie „obcych wpływów” w swoich krajach, bo porozumienia zakładały nieingerencję jednych sygnatariuszy w sprawy wewnętrzne drugich. W pewien sposób w porozumieniach tych Zachód wręcz zaakceptował radziecki stan posiadania w Europie. To komunistom wydawało się najważniejsze. A te prawa do własnych poglądów... Któż będzie kontrolował ich przestrzeganie?

A tu już w maju 1976 roku powstała w Moskwie pierwsza Grupa Helsińska i grupy takie powstały także w innych republikach, informowały one

o represjach władz. W Polsce powstał KOR, po nim ROPCiO, w Czechosłowacji narodziła się Karta'77, zaś w Nowym Jorku założono organizację Helsinki Watch, z której po latach wyłoniła się wszystkim znana organizacja Human Right Watch, i której celem było nadzorowanie przestrzegania porozumień z 1975 r. Także w 1977 roku Amnesty International otrzymała pokojową nagrodę Nobla. Ameryka Jimmy Cartera i jego doradcy Zbigniewa Brzezieskiego z praw jednostki do wolności swój sztandar. W 1979 r. środowisko skupione wokół Tadeusza Mazowieckiego i miesięcznika „Więź” zorganizowało wielką sesję na temat praw człowieka. O tym wydarzeniu mówiło się potem miesiącami.

Oczywiście, że reżimy komunistyczne po staremu tępiły dysydentów, aresztowały ich, w Związku Radzieckim zsyłały do łagrów, ale całego procesu nie były w stanie już zatrzymać. Całkiem możliwe, jak twierdzi wielu historyków, że o upadku komunizmu nie przesądziły dysydenci, „Solidarność” i papieskie pielgrzymki, ale niewydolność gospodarki centralnie sterowanej i przegrana w wyścigu zbro-

jeń, który w latach 80. XX w. narzucił ZSRR Amerykanie, co zmusiło Michała Gorbaczowa do szukania nowych rozwiązań. Możliwe też, że wszystkie te czynniki miały wpływ – można się klócić o to, jak wielki.

Ale pewne jest, że gdy ta wolność w Europie Środkowej już nadeszła, za jej zagospodarowanie wzięli się ludzie, dla których prawa człowieka miały wielkie znaczenie – wychowanie na tekstach dysydentów, takich jak Adam Michnik, Jacek Kuroń, czy Václav Havel, słuchacze wykładów organizowanych przez TKN, czytelnicy samizdatu i bibuły. I to może jest nawet ważniejsze, niż to, kto był szybszy w obalaniu komunizmu. Ludzie, dla których prawa jednostki były podstawą ustroju państwa, dali Polsce i innym krajom w regionie kilka dekad liberalnej demokracji, możliwości realizacji własnych planów i rosnącej zażyłości. Wszystko to niedoskonałe, w skali globu może nawet nie tak istotne, a dziś nawet niemożliwe.

A jednak jest – psiakrew – czego bronić. ●

Andrzej Brzezieski – historyk, dziennikarz, publicysta

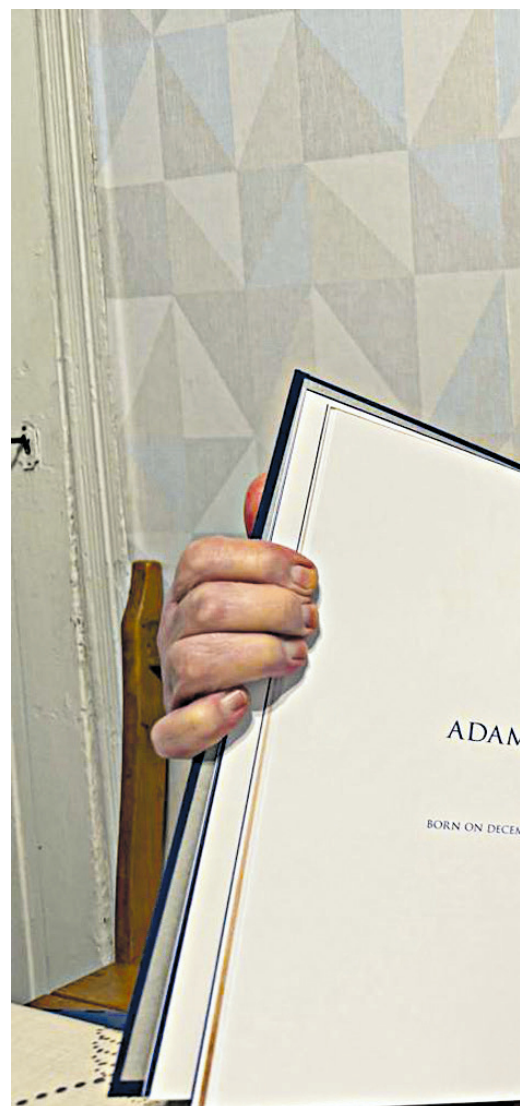


◀ Rodzice Janiny Rościszewskiej-Krawczyk (ur. 1932), mieszkający w czasie wojny we wsi Szaniec w Dolinie Będkowskiej, uratowali kilkuletniego wówczas Pawła Pinchasa Wagnera

FOT. BENJAMIN REICH

▶ Rodzina Lucjanny Adamczyk-Kuźnickiej (ur. 1928) z Denkowa koło Ostrowca Świętokrzyskiego ukrywała przez dwa lata okupacji braci Chaima i Mojżesza Frymelów

FOT. BENJAMIN REICH



Z MAŁGORZATĄ QUINKENSTEIN
ROZMAWIA MARTA GRZYWACZ

Od jak dawna organizacja Claims Conference, która wspiera ofiary Holocaustu, zajmuje się także pomocą dla Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata?

– Jako pierwsi na świecie, bo już w 1962 roku, uruchomiliśmy program pomocy dla Sprawiedliwych. Naszym głównym celem jest dbanie o prawa, w tym prawo do odszkodowania dla ocalonych z Holocaustu, natomiast podkreślamy zawsze, że nie byłoby na świecie wielu ocalonych, gdyby nie było Sprawiedliwych. Dlatego fundusz emerytalny Righteous Rescuers utworzony dzięki umowie o współpracy z niemieckim ministerstwem spraw zagranicznych ma dawać wsparcie emerytalne Sprawiedliwym. W podziękowaniu za akt niezrównanej odwagi.

A jaką rolę ma odgrywać książka „Stronger Than Fear” (Ludzie silniejsi od strachu), którą właśnie opublikowaliście?

– W naszej publikacji prezentujemy zbiór 36 portretów Sprawiedliwych – osób nie-żydowskiego pochodzenia, które podczas Zagłady z narażeniem życia ratowały Żydów przed nazistowskimi prześladowaniami. Są to osoby z kilku krajów: Polski, Litwy, Słowacji, Węgier, Rumunii, Ukrainy, Holandii, Niemiec i Francji. Tworzyliśmy ją w holdzie i w podziękowaniu dla tych, którzy mieli odwagę pomagać Żydom w czasie wojny. Warto przy tym dodać, że te 36 osób uratowało łącznie 220 Żydów, którzy potem mieli możliwość założyć własne rodziny, stworzyć nowe życie.

To są wartości nie do przecenienia. W naszej publikacji chcieliśmy pokazać codzienność, z którą musieli się zmagać, strach, z którym żyli na co dzień przez wiele lat, złamane biografie. Bo przecież niejednokrotnie jako dzieci żyjące w rodzinach, które pomagały Żydom, musieli przerwać naukę. Potem nie zawsze już do niej wracali ze względów finansowych.

Jedna ze Sprawiedliwych mówi, że opuściła szkołę, bo nie była się w stanie skupić. Cały czas żyła w strachu, czy jej bliscy przeżyją i czy jeśli wróci do domu, to kogoś jeszcze zastanie.

Dobroć SILNIEJSZA NIŻ STRACH

Nigdy nie usłyszałam od Sprawiedliwych, którzy byli wtedy dziećmi, że mają pretensję do rodziców, bo ci narazili ich na niebezpieczeństwo.

– Tak było w czasie wojny, a po wojnie Sprawiedliwi musieli czasami zmienić miejsce zamieszkania z powodu antysemityzmu, który był zresztą nie tylko polską specyfiką. Na przykład jedna ze z naszych bohaterek, która mieszka w Paryżu, nie znalazła się w książce, bo nie chciała pokazać twarzy na zdjęciu. Do dziś boi się swoich sąsiadów. Inna Sprawiedliwa, z Holandii, której ten strach udało się już pokonać, opowiadała nam, że długo po wojnie dzieciaki rzucali w nią kamieniami i przezywały „przyjaciółką Żydów”.

Książka prezentuje 36 postaci. W czasie wojny w większości były to dzieci, które pomagały swoim rodzicom w ukrywaniu Żydów.

Czy te narzucone role ich nie przerosły?

– Te role nie zawsze były narzucone. W wielu przypadkach było tak, że to dzieci same prosiły rodziców o przyjęcie pod dach dawnych sąsiadów czy przyjaciół. A czy ich to nie przerosło, niech odpowiedź będzie taka historia: pewna kobieta, Polka, podejrzewana o to, że pomaga Żydom, zostaje zamknięta w więzieniu na sześć miesięcy. W domu zostaje dwójka jej dzieci: sześć- i dziewięcioletnie, które muszą nie tylko mieszkać, ale też utrzymywać się samodzielnie. I mało tego – wciąż ukrywają jedną kobietę, bo podejrzewania wobec ich matki były oczywiście słuszne! Korzystają z pomocy sąsiadów, ale konspirację muszą zachować.

Inna historia: dwie siostry cioteczne z Wrocławia, jedna lat 9 druga 14, mieszkają same, bo rodziców wywieziono na roboty, i one z kolei ukrywają u siebie w mieszkaniu czterech mężczyzn! Muszą ich wyżywić, prać ich rzeczy itd. I nagle się okazuje, że sąsiedzi zwracają uwagę na te męskie ubrania, które się suszą, więc wszystko trzeba przeorganizować. A jednak dzieci się nie wycofują, nie wychodzą ze swoich ról. Skąd ta siła? O to pewnie trzeba by pytać psychologów.

To są chyba przypadki ekstremalne?

– Oczywiście najczęściej było tak, że dzieci pomagały rodzicom. Ale to do ich zadań – w chwili gdy powinny się były bawić czy



uczyć – należało wynoszenie nieczystości czy dostarczanie ukrywającym się jedzenia. Dlaczego? Bo jak małe dziecko idzie przez las, to nikt go specjalnie nie zaczepia. Mamy taką Sprawiedliwą na Litwie. Egle w wieku 7 lat codziennie pokonywała z plecakiem trasę 10 kilometrów, donosząc ukrytym w le-sie Żydom jedzenie. A plecak ważył dobrych parę kilogramów. Były w nim ziemniaki, marchew, pewnie cebula. I ona szła, udając, że w tym plecaku nic nie ma. I tak przez dwa lata, dzień w dzień. Dziś jest starszą panią ze skrzywionym od dźwigania tych ciężarów kręgosłupem. Ale robiła to, nie pytając, czy da radę, czy nie da. Rodzina pani Ireny Senderskiej chowała u siebie w stodole rodzinę Banderów. Irena miała wtedy 13 lat. Wojna zbliżała się do końca. Niemcy się wycofywali, ale wciąż było niebezpiecznie. Tymczasem sąsiedzi zaczęli coś podejrzewać i wypytывali Irenę, która nosiła do szopy jedzenie, dlatego go bywa tam tak często. Mówiła, że do kozy chodzi, bo chce jej towarzystwa dotrzymać.

A jak pokonać strach? Przecież to uczucie niemal fizjologiczne. Jedna ze Sprawiedliwych opowiada, że prawie zmoczyła majtki, gdy przyszli Niemcy szukać u nich w mieszkaniu Żydów.

– Oni nie pokonywali strachu. Nauczyli się z nim żyć. Pan Lucjan, który mieszka w Kraśniku na wschodzie Polski, na pytanie, czy się bał, odpowiedział mi: „Ja się boję do dzisiaj. To jest uczucie, które już nigdy nie minie. Całe życie się bałem. Moi rodzice także. Może dlatego mówili mi zawsze: »Nie wychylaj się za bardzo, niech nikt na ciebie nie zwraca uwagi. Nawet jak coś wiesz, to zachowaj to dla siebie«”. Więc on nawet na wiejskich potańcówkach, jak podobała mu się jakaś dziewczyna, to do niej nie podchodził. Nie dlatego, że był nieśmiały, tylko żeby nie rzucać się w oczy.

Oczywiście jego żona jakoś żartobliwie to skomentowała, że w końcu dał się zauważyć, ale widać, jaką przeżył traumę. Janina Rościszewska-Krawczyk – jej rodzina uratowała 20 osób, które ukrywała przez prawie cztery lata – zapytana przeze mnie, w jakim momencie bała się najbardziej, odpowiedziała: „W każdym.

W każdej sekundzie. Nie było tak, że bałam się bardziej, jak Niemcy robili rewizję czy jak tylko przyszli o coś zapytać. Strach był ciągle ten sam. Całe życie w strachu. Nie

było innego uczucia”. I nie pamięta, czy przez te lata przespała spokojnie choć jedną noc.

A co było silniejsze niż strach?

– Dobroć. Oni wszyscy, a znam osobiście ponad 120 Sprawiedliwych, mają jeden wspólny mianownik – są po prostu dobrymi ludźmi. Jest coś w ich oczach, w ich charakterach, w duszach, w sposobie mówienia o świecie, co jest bardzo wspólne. Nigdy w ich opowieściach nie usłyszałam zdania, że trzeba było kogoś ratować czy trzeba było czynić dobro, tylko że trzeba było coś zrobić, bo taka była konieczność chwili.

Oni sami różnie to interpretowali, niektórzy mówili, że nakazywała im to religijność rodziców, inni – że patriotyzm, „bo moi rodzice byli wielkimi patriotami i uważali, że każdy członek społeczeństwa zasługuje na życie i szacunek”, ale ja myślę, że te tłumaczenia były wtórne. Najpierw była potrzeba wynikająca z okoliczności. Odruch serca.

Nigdy nie mieli wątpliwości? Że może się nie udać, że narażają siebie i innych?

– Tej wątpliwości nigdy od nikogo nie usłyszałam. Nie usłyszałam też od Sprawiedliwych, którzy byli przecież dziećmi, że mają pretensję do rodziców, bo ci narażili ich na niebezpieczeństwo. Leokadia z Litwy była dzieckiem, gdy jej matka przyjęła pod dach żydowską dziewczynkę Fajgę. Kazała Fajdze położyć się spać we wnęce na piecu, a swoim córkom na niej. Przykryła wszystkie pierzynami. Kiedy weszli Niemcy szukający Żydów zbiegłych z Ponar, za kotarą na piecu zobaczyli tylko dwie litewskie dziewczynki. Rodzina zachowała zimną krew. Ale to właśnie Leokadia tak strasznie się bała, że prawie popuściła ze strachu.

Często sytuacja materialna rodzin, które ukrywały Żydów, pogarszała się znacząco, bo przecież musiały żywić dodatkowe osoby. Nikt się temu w rodzinie nie sprzeciwiał?

– Żydom, którzy mieli lepszy wygląd, często załatwiano papiery, żeby mogli pracować i wносить coś do domowego budżetu, część uciekła z jakimiś pieniędzmi czy kosztownościami, więc mieli się z czego dokładać, ale w wielu przypadkach takiej możliwości nie było. Zdarzały się więc takie rodziny jak pani Bronisławy Bakun, które razem ze „swoimi” Żydami głodowały, bo niewiele

było do podziału. Żydzi, których ukrywała ta rodzina, 12 osób, uciekli z getta bez grosza, w lachmanach. Nic nie mieli. Bakunowie żyli w jednej izbie z wielkim piecem. Żydzi spali w stodole, ale jak się robiło zimno, to na noc przychodzili do domu. I jakoś w tym jednym pokoju musieli się pomieścić.

Nietrudno w takiej sytuacji o napięcia, pretensje.

– Akurat tej historii nie ma w książce, bo Sprawiedliwa zmarła, zanim zaczęliśmy nasz projekt, ale była to pani z Węgier, z Budapesztu, która przyjęła do siebie żydowską rodzinę. Sama była dobrze sytuowana, mieszkała w dużym domu, miała gospozię. Ale dla bezpieczeństwa tę gospozię zwolniła. Dlatego uznała, że każdy z „gości” coś będzie musiał w domu robić. Ten posprząta, ten ugotuje itd. Jakoś sami dadzą radę. Poza tym, co mają robić, siedząc w ukryciu. Nie przewidziała tylko tego, że część z tych osób o robieniu porządków, gotowaniu itd. nie miała zielonego pojęcia. „Strasznie mnie to denerwowało – mówiła nasza Sprawiedliwa – ale co miałam zrobić? Nie mogłam ich przecież wyrzucić, ponieważ natychmiast zostaliby zabici”.

Czy warunkiem koniecznym opisania danej historii w książce była zgoda Sprawiedliwego na umieszczenie zdjęcia? Bo słyszę, że wiele ciekawych historii pominęłaś ze względu na brak zdjęć.

– Tak, zdjęcia były kluczowe. Stanowiły integralną część projektu. I to nie archiwalia, ale współczesne zdjęcia Sprawiedliwych, które robił wspaniały fotograf Benjamin Reich. A nawet jeśli mieliśmy już bohatera i jego zgodę na zdjęcia, to wybór 36 postaci był bardzo trudny. Zdecydowaliśmy się na tę liczbę, bo wiąże się z nią legenda o 36 sprawiedliwych, którzy według Talmudu rodzą się w każdej generacji i po cichu, w ukryciu podtrzymują istnienie świata. Kiedy zaczynaliśmy ten projekt, żyło jeszcze 195 Sprawiedliwych. No i jak tu teraz wybrać? Dlaczego ten człowiek, a nie inny? To była straszna walka, która toczyła się pomiędzy mną a Benjaminem Reichem. „Czemu odrzuciłaś tę postać? Przecież jej rysy twarzy są jak obraz!” Nie mogliśmy jednak spierać się w nieskończoność. Pracowaliśmy nad tym projektem trzy lata, a w tym czasie zmarło 50 osób. Trzeba było z bólem serca dokonywać wyborów.

Jest jedno zdjęcie moim zdaniem wyjątkowe. Elegancko ubrana kobieta siedzi przy stole, a przed nią leży duża połać mięsa.

– Tak, to jest nasza Lucjanna z Poznania. Niesamowicie aktywna kobieta. Wszystkie spotkania z nią, a miałam ich sporo, odbywały się w ten sposób, że ja chodziłam za nią po całym mieszkaniu, a ona to odkurzała, to ścierała kurze, to układała w szafie, to robiła obiad. I cały czas opowiadała. I tylko rzuciła w wolnej chwili pytanie: „Masz jeszcze herbatę? Coś ci podać?”. I ja wtedy mówiłam: „Nie, nie, Lucjanno, usiądź choć na chwile”.

Małgorzata Quineknstein

• Historyczka sztuki, autorka, badaczka proveniencji dzieł sztuki zagrabionych podczas II wojny światowej. Pracowała m.in.: w Muzeum Zamek w Kórniku, Muzeum Zamkowym w Malborku i Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. Od wielu lat menedżerka projektów w Claims Conference w biurze berlińskim.



„Stronger Than Fear”

Małgorzata Quinkenstein, fotografie Benjamin Reich

Wyd. Claims Conference

le”. Kiedy przyjechaliśmy z Benjaminem, sytuacja się powtórzyła. Lucjanna cały czas biegła. Była wtedy jeszcze jej córka i wyglądało to tak, że ja chodziłam za Lucjanną, za mną Benjamin, a za Benjaminem ta córka. Mieszkanie było w amfiladzie, i tak sobie krążyliśmy. W końcu poprosiłam, żeby choć na chwilę usiadła do fotografii. I ona wtedy mówi: „Mam usiąść? Dobra, to chodźcie do kuchni, bo obiad trzeba zrobić”. I przy tym mięsie usiadła. Mnie kazała obierać fasolkę, żeby się ręce nie marnowały chyba. Śmiała się do leż, kiedy zobaczyła to zdjęcie. Tę jej reakcję Muzeum Polin umieściło na zaproszeniu na premierę naszej książki. Ale taka już była, nauczyła się tego w czasie wojny: cały czas być w ruchu.

A jak często się zdarzało, że Sprawiedliwi i Ocaleni utrzymywali ze sobą kontakty po wojnie?

– Niektóre rodziny są bardzo zaprzyjaźnione do dzisiaj. Ale bywały sytuacje, że kontakt się urywał. Po wojnie Sprawiedliwi zajmowali się odbudowywaniem życia we własnych krajach, a Żydzi szukali swojej drogi na emigracji. Niektórzy wyjeżdżali do Izraela, gdzie musieli walczyć o byt, budowali nowe państwo, myśleli raczej o przyszłości niż przeszłości. Albo jechali do Australii. Ale i Sprawiedliwi się przeprowadzali. Przenosili się z zachodniej Ukrainy na Dolny Śląsk albo z Litwy do Gdańska. I jak się potem odnaleźć? Jak znaleźć tę rodzinę, która nas uratowała?

A jeśli rodzice umarli, a w rodzinie były dwie córki, które wyszły za mąż i zmieniły nazwiska, to rzecz jeszcze bardziej się komplikowała. Niemniej przyjaźń niektórych naszych bohaterów, jak Janiny Rościszewskiej-Krawczyk czy Witolda Lisowskiego, przetrwała do dziś i przeszła na kolejne pokolenia. Niesamowicie wzruszające było, gdy do Limoges, gdzie odbyła się premiera naszej książki, przyjechały wnuki uratowanego przez Janinkę Żyda. Oni się tak wszyscy cieszyli! Janinka nie mówi po angielsku, oni nie mówią po polsku, a mimo to nie opuszczali jej na krok. To są niesamowite i bardzo głębokie więzi. Rodzina Leona Godlewskiego uratowała z getta żydowskie niemowlę, dziewczynkę. Już jako dorosła Misia Borensztajn znalazła się w Ameryce, ale do mamy Leona pisała czule listy zawsze z nagłówkiem „najukochańsza, jedyna, niezapomniana Mama”.

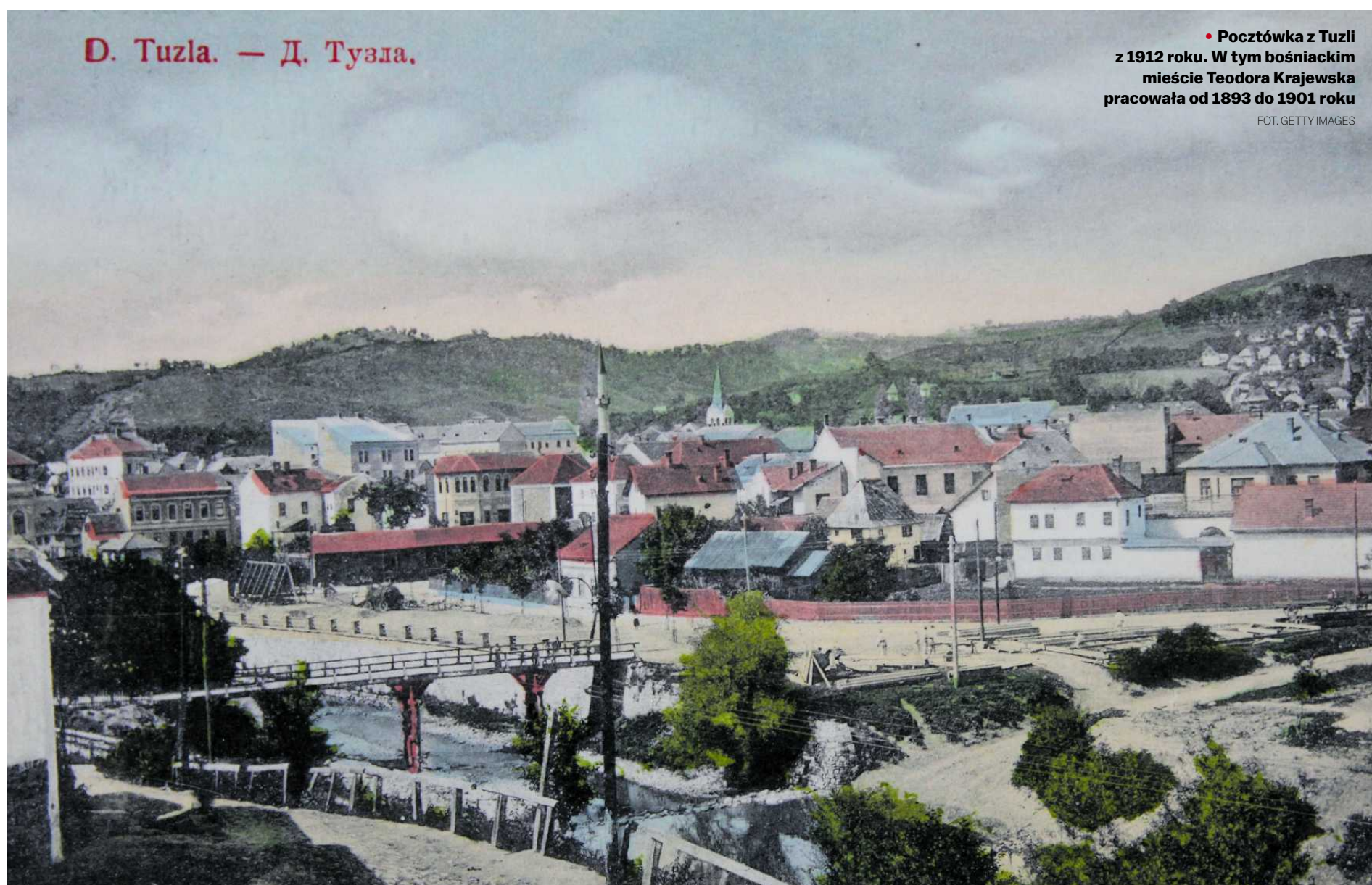
Jest w albumie Sprawiedliwa, która pochodzi z Niemiec. Ta kobieta do dziś nosi w sobie winę za to, co robił z Żydami jej naród.

– Johannę Meyer od lat zajmuje ten temat. Nie może się pogodzić z tym, jaka odpowiedzialność spoczywa na Niemcach. Tym bardziej że jej ojciec od samego początku, czyli od 1933 roku, był w opozycji do nazistów. W czasie wojny został „zesłany” do Generalnego Gubernatorstwa jako ten niewygodny dla reżimu i tam był szefem Departamentu Zaopatrzenia i Rolnictwa.

W jednej z piekarni w Łodziowie wspólnie z Żydem Szlomo Altmanem przygotowali spiszek, żeby móc dostarczać żywność głodującym w getcie. Ojciec Johannы wymyślał nieistniejące instytucje niemieckie, którym jakoby wysyłał żywność, podczas gdy w rzeczywistości wszystkie te nadwyżki szły do getta. Johanna pamięta, jak poszła kiedyś z ojcem do magazynu z olejem. Do kilku konwi wrzucili jakieś zgnile resztki, a ojciec odegrał przed kierownikiem teatralną scenę: „Czy to trzymacie dla nas, Niemców?! Chce pan nas otruć?!”

– wrzeszczał. Poślijcie to Żydom! W ten sposób getto dostało 200 litrów oleju. Tuż przed akcją likwidacyjną jej ojciec uratował też Szlomo i jego żonę, którym pomógł się ukryć, a potem kilkoro innych Żydów.

Johanna wielokrotnie powtarzała mi, że obojętność na zbrodnię jest grzechem, bo ta obojętność zabija. W ten sposób ona sama, dając świadectwo, niesie w świat słowa Romana Kenta i Mariana Turskiego, dwóch Ocalałych, które są także mottem naszej książki: Jedenaste przykazanie – nie bądź obojętny! ●



Teodora

OTWIERA BOŚNIACZKOM OKNA

Mogła pracować w Zurychu lub Wiedniu, ale pojechała do świata,
w którym ciało kobiety należało do wszystkich poza nią samą.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Od 27 czerwca rusza bezpośrednie połączenie z Warszawy do Rijeki. Chorwacja, śródziemnomorski raj Polaków, od ćwierć wieku jest drugim po Grecji wyborem wśród wyjazdów zagranicznych w Europie. W ostatnich latach rocznie podróżuje tam prawie milion Polaków. Ale coś się zmienia. Ceny w euro rosną, a Polacy szukają dalej, głębiej, taniej. A tuż obok Bośnia i Hercegowina – kraj urokliwych miasteczek, kawy z tygielka i górskich trekkingów. Właśnie tam 130 lat temu pracowała Polka, która przekraczała granice znacznie trwalsze niż tylko państwowe.

KRZYK OSOBISTY

Teodora Krajewska mogła wybrać Zurych czy Wiedeń, ale pojechała leczyć kobiety w najbardziej ubogim regionie ówczesnej Europy – Bośni i Hercegowinie. Kobiety, które nie mogły pokazać się obcemu mężczyźnie, a tym bardziej lekarzowi. Jeździła od wioski do wioski, odbierała porody, opatrywała rany. Pokazywała, że medycyna nie musi być wrogiem religii czy obyczaju. Była pierwszą lekarką, która pojechała tam, by dać kobietom prawo do zdrowia.

Wysoka, szczupła, powściągliwa, zawsze uczesana praktycznie. Z pozoru – typowa warszawianka drugiej połowy XIX wieku. A jednak coś w tym standardowym obrazie zgrzytało. Pisała, uczyła, wybrała naukę i samotność.

Urodziła się w 1854 roku w Warszawie w inteligenckiej rodzinie o ziemiańskich korzeniach. Ojciec Ignacy Kosmowski był urzędnikiem oświatowym. Matka Seweryna z Głowczyńskich unikała wszystkiego, co pachniało caratem. To właśnie ona, jak wspominała Teodora, „była żywym protestem przeciw rusyfikacji”.

Teodora pracowała jako nauczycielka matematyki i literatury. Wyszła za Antoniego Krajewskiego, znanego łacinnika z warszawskiego III Gimnazjum. Po jego śmierci w 1880 roku została młodą wdową – bez dzieci, z nieprzeciętną wolą działania. Ich mieszkanie znała elita postępowej Warszawy: Zygmunt Miłkowski czy Aleksander

Świętochowski, który po śmierci Antoniego zachęcił Teodorę do pisania.

W 1883 roku w „Kuryerze Codziennym” ukazała się nowela „Anka” podpisana inicjałami T.K. Opowieść o wiejskiej dziewczynie, która ginie w miejskiej rzeczywistości, była konwencjonalna, ale – jak zauważył Świętochowski – był w niej „krzyk osobisty”. I może właśnie dlatego zwrócił na Krajewską baczniejszą uwagę.

Poprosił Ludwika Straszewicza, by przysłał jej broszury uczelni genewskich. Tam przyjmowano już kobiety także na studia medyczne. To był moment przełomowy – 29-letnia kobieta miała odwagę zadać sobie pytanie: co dalej?

Rodzice się wahali. Ojciec liczył jeszcze na Petersburg i tam Kursy Bestużewskie. Ale to matka miała decydujący głos. Dzięki niej jesienią 1883 roku Teodora stanęła na dworcu w Warszawie. Sama. Gotowa wsiąść do pociągu do Genewy – miasta, które miało ją nauczyć nowego życia.

„Ukochaną jego córka, wbrew jego woli, jedzie do Genewy na studia przyrodnicze, a może i medyczne. Co powiedzą znajomi? Jest zgubiona!” – zapisała, mając w pamięci wyraz twarzy ojca.

NAJLEPSZA NA ROKU

Teodora zamieszkała w Genewie w wynajętym pokoju przy Boulevard James-Fazy II. Na uniwersytecie zapisała się w zimowym semestrze 1883/1884 roku na zajęcia na wydziale nauk przyrodniczych. W wykazie uwzględniającym wszystkich 729 studentów i asystentów przy jej nazwisku widnieje: narodowość polska. Znajdziemy tam jeszcze jedenaścioro innych Polaków, choć faktycznie musiało być ich nieco więcej, bo zwyczajowo przy studentach z Wilna czy Białegostoku wpisywano „Rosjanin”.

Po dwóch latach uzyskała bakalaureat – dziś nazwalibyśmy to licencjatem – i dopiero wtedy rozpoczęła medycynę. Wkrótce dołączyła do niej siostra Zofia Kosmowska, przyszła dentystka, i we trzy, z Anną Lipnowską, kolejną polską lekarką in spe, zamieszkały przy Chemin Neuf.

Teodora była nie tylko uzdolniona, ale i pracowita i już w 1890 roku jeszcze jako studentka została asystentką profesora Maurice’a Schiffa. Niemiecki fizjolog słynął z eksperymentów na psach, badań nad tarczycą, a dziś znany jest z objawu Schiffa-Sherringtona opisującego patologiczne napięcie kończyn u zwierząt. Był pedagogiem o... wyraźnie rewolucyjnej przeszłości. Schiff, Żyd z Berlina, uczestnik wydarzeń 1848 roku, znał Bakunina, portretował go Nikołaj Ge, kiedyś miał za współpracownika Hercena juniora, syna słynnego Aleksandra, a później wybrał sobie właśnie ją.

Krajewska, pierwsza na Uniwersytecie Genewskim kobieta, asystująca profesorowi badała reakcje zwyrodnieniowe mięśni. Temat ten stał się podstawą jej doktoratu, który w styczniu 1892 roku obroniła z wyróżnieniem. Wcześniej zakończyła studia z najwyższą lokatą.

I właśnie wtedy, gdy powinna była objąć etat i rozpocząć karierę naukową, coś się urwało. „W Genewie podziękowałam już poprzędnio za miejsce asystenta fizjologii z powodu nieporozumienia z profesorem Schiffem” – napisała. Tylko tyle. Żadnych szczegółów, żadnych emocji. O dalszych badaniach nie było mowy – nie miała środków ani znajomości. Nie mogła też pracować w zawodzie, bo nie miała uprawnień. W Warszawie nostryfikacja dyplomu nie była jeszcze możliwa. Wybrała inną drogę. Dalszą i trudniejszą.

KIERUNEK BAŁKANY

Jeszcze w Szwajcarii posłuchała rady wspierających ją Polaków: Zygmunta Miłkowskiego znanego jako Teodor Tomasz Jeż oraz profesora anatomii Zygmunta Laskowskiego, i zdecydowała się zaważczyć o nietypową pracę.



• **Teodora Krajewska (1854-1935), lekarka, nauczycielka** FOT. ZBIORY MUZEUM KRAKOWA

W 1892 roku wiedeńskie ministerstwo finansów oraz rząd krajowy w Sarajewie wspólnie rozpisali konkurs na posadę lekarki w Bośni. W ogłoszeniu można było przeczytać, że celem działań wybranej kandydatki będzie opieka nad muzułmańskimi kobietami niepozwalającymi badać się lekarzowi mężczyźnie. Padaly też okragle zdania: „oświata ma nie tylko świecić z wysokości jak słońce [...], ma przenikać do mrocznych zaułków, gdzie panuje ciemnota”.

Rok wcześniej do Bośni wysłano Czeszkę Annę Bayerovą. Lekarkę po kilku miesiącach przeniesiono do Sarajewa, a niedługo potem sama zrezygnowała. Nie podolała wyzwaniu. Nowy konkurs – nowe rozdanie. Tym razem wybrano dwie kandydatki: kolejną Czeszkę, Bohuslavę Keckovą, oraz właśnie Teodorę Krajewską. Pierwszą postanowiono wysłać do Mostaru, drugą – do Tuzli.

Krajewska otrzymała stanowisko, ale musiała się jeszcze zatrzymać w Wiedniu, żeby uzyskać uprawnienia lekarskie oraz przejść praktyki w klinice położniczej. Zobligowano ją też do przyjęcia austriackiego obywatelstwa. Zamieszkała przy Lange Gasse II, niedaleko Hofburga. Pobyt wykorzystwała maksymalnie. Jako wolna słuchaczka uczestniczyła w wykładach ginekologa Fryderyka Schauta, anatomo-patologa Achillesa Montiego czy Richarda von Kraffta-Ebinga, twórcy pojęcia masochizmu. Hermann Nothnagel – wybitny internista – odmówił jej przyjęcia, ale pochwalił doktorat. Znalazła też czas na lekcje bośniackiego. Uczyl ją niejaki Alaupowicz, student i samozwańczy poeta.

I tak nieświadomie Krajewska stała się pionkiem w wielkiej grze o bałkańską cywilizację. Austro-Węgry, które objęły „opieką” Bośnię i Hercegowinę, potrzebowały czegoś więcej niż armii i kolei, by dowieść pozastrzałym krajom, że niosą tam światło cywilizacji. A to światło, jak wiadomo, padało najpiękniej z okien gabinetu lekarskiego.

LEKARKA NA KONIU

W październiku 1892 roku Krajewska, trzydziestoosmioletnia lekarka, stanęła na stacji w Tuzli – mieście położonym na północno-wschodnich krańcach Bośni i Hercegowiny.

Tuzla końca XIX wieku była wieloetniczną mozaiką: żyli tu muzułmańscy Bośniacy, prawosławni Serbowie, katolicy Chorwaci, Żydzi sefardyjscy, a od niedawna także urzędnicy z całej monarchii i nieliczni emigranci, w tym z ziem polskich. Dominowały minarety, kamienne ulice, a nad miastem unosiła się wilgoć znad solnych wyrobisk.

Choć formalnie od roku 1878 Bośnia była terytorium cesarskim, obyczaje wciąż wyznaczała tradycja osmańska. Poziom życia był niski, umieralność wysoka, a analfabetyzm – zwłaszcza wśród kobiet muzułmańskich – powszechny. Szerzyły się choroby zakaźne, a zorganizowana opieka zdrowotna dopiero raczkowała.

W tych warunkach Krajewska rozpoczęła swoją misję i już zimą 1893 roku objeżdżała konno okoliczne wioski. Wizyty domowe

były jej codziennością: tylko w pierwszych miesiącach odwiedziła ponad dwieście kobiet w muzułmańskich domach. Leczyła chorych, przyjmowała porody, opatrywała rany, organizowała szczepienia. Prowadziła też edukację zdrowotną – nie tylko wśród pacjentek, ale i w szkołach dla dziewcząt. Współpracowała z miejscowymi nauczycielami, a dla nielicznych polskich dzieci prowadziła zajęcia z języka ojczystego.

Pacjentki, z początku nieufne wobec lekarki, zaczęły ją stopniowo akceptować – dzięki jej cierpliwości, znajomości podstaw języka bośniackiego i szacunkowi dla lokalnych obyczajów. Z czasem w koleje do gabinetu stawały kobiety wszystkich wyznań i narodowości. W listach pisała, że czuje satysfakcję z pracy „wśród tych prostych, życzliwych kobiet”, ale codzienność bywała trudna. Austro-węgierska administracja nie zapewniła ani gabinetu, ani mieszkania – musiały wynająć oba z własnych środków. Brakowało też leków i pieniędzy na ich zakup, więc – wbrew poleceniom przełożonych – leczyła ubogie pacjentki za darmo, pokrywając koszty z własnej kieszeni. Ci sami przełożeni oczekiwali, by ograniczyła się do opieki nad muzułmanami, ona zaś upierała się, że obowiązkiem lekarki jest pomagać wszystkim.

Tak budowała swoją pozycję w społeczności. Mieszkańcy żartowali, że Tuzla „doczekała się pani szejka” – kobiety na koniu przemierzającej błotniste drogi z torbą lekarską. W rzeczywistości to właśnie pierwsze miesiące – pełne prowizorki, konfliktów, ale i przełomów – ukształtowały ją jako lekarkę społeczną. Tuzla pozostała dla niej miejscem szczególnym: to tu po raz pierwszy zdobyła zaufanie w świecie, który początkowo odrzucał wszystko, co kobiece i nowoczesne.

KOBIETY W ZADUCHU

Wśród najważniejszych i najbardziej poruszających doświadczeń lekarskiej praktyki znalazła się walka z osteomalacją – wyniszczającą chorobą, która w Bośni zbierała śmiertelne żniwo wśród kobiet. To dla nich, zamkniętych w domach, niewidzialnych dla administracji i urzędników, chowanych w cieniu patriarchalnego porządku, Krajewska uczyniła coś, co bez przesady można nazwać medycznym aktem emancypacji: otworzyła okna.

Choroba, którą dziś łączymy z niedoborem witaminy D i wapnia, wówczas nie przez wszystkich medyków była uważana za schorzenie.

Jej symptomy – zmiękczenie kości, deformacje miednicy, bóle, osłabienie – uznawano często za „typowe dla stanu kobiecego”, przypisywano im naturę płci, nie patologii. „To słabość Bośniaczek” – mówili mężczyźni. A kobiety... milczały, leżały, znikwały w ciemnościach.

W pamiętniku Krajewskiej znajdujemy opisy muzułmańskich domostw. Wnętrza zasłane gąszczem haftowanych poduszek i miękkich narzut, pełne świeżej woni przypraw, zamknięte przed światłem i ruchem, zatrzymane w czasie. Im bogatsza rodzina – zauważyla Teodora – tym mniej ruchu dla matron leżących całymi dniami, w niezdrowym powietrzu, w kurzu. Ciała kobiet zapadały się powoli w siebie, a kości dosłownie miękły jak nieopalone cegły.

Krajewska dostrzegła to, czego nie widzieli miejscowi lekarze: że osteomalacja to nie tylko kwestia medyczna, ale też społeczna. Że kobiety zapadają na nią z powodu braku światła, ruchu czy mleka. Ich dieta była uboga i monotonna, pozbawiona wapnia. I tu Krajewska wprowadziła antidotum – dokarmianie. Nie tylko leczenie, nie tylko diagnoza, ale też codzienna, cicha praktyka: nauka o jedzeniu, otwieranie okien, zachęcanie do ruchu. Uczyla kobiety gotować prostą kaszę z mlekiem, rozdawała oliwę. Zalecała chodzić, nawet kilka kroków dziennie, a równocześnie naklaniała, aby rozbierać niemowlęta, wietrzyć pokoje.

W listach widać początkową bezsilność. Pisała, że nie wie, od czego zacząć, że „nie-

chodzenie” kobiet jest jak ciemność nie do przebicia. Ale z czasem pojawiły się zmiany.

DWIE OJCZYZNY

W 1894 roku przeniosła się z Tuzli do Sarajewa. Zostawiła za sobą dwie przelomowe zimy, setki wizyt, pierwsze zaufanie i pierwsze porażki. Tuzla nauczyła ją, że w Bośni każda pacjentka to osobna historia, a lekarka zawsze działa pod prąd.

Sarajewo przyjęło ją inaczej. To już była stolica prowincji, wielonarodowa, ale coraz silniej modernizowana, z ambicją bycia Wiedniem Bałkanów. Została zatrudniona jako lekarka miejska. W jej rewirze znajdowały się nie tylko dzielnice muzułmańskie, ale też żydowskie i serbskie. Prowadziła ambulatoria, doglądała porodówek, organizowała szczepienia przeciw ospie i tyfusowi, szkoliła położne. Była pierwszą kobietą w bośniackiej służbie zdrowia, która objęła samodzielne stanowisko kierownicze. Równolegle rozpoczęła pisanie tekstów naukowych – jej raport o występowaniu osteomalacji u bośniackich kobiet trafił do urzędów w Wiedniu i Pradze.

Z czasem zaczęła współpracować z organizacjami kobiecymi, m.in. z Sarajewskim Towarzystwem Oświaty Kobiet, gdzie prowadziła wykłady o higienie i żywieniu. Nawiazała też kontakt z bośniackimi elitami lekarskimi.

W 1908 roku, gdy Austro-Węgry już oficjalnie anektowały Bośnię i Hercegowinę, sytuacja polityczna się zaostrzyła. Krajewska, choć w listach nie komentowała szerzej kwestii narodowych, miała coraz mniej złudzeń. Pisała o znużeniu, o niekończących się przepychankach administracyjnych i o tym, że „każda rewolucja społeczna kończy się rachunkiem za leki”.

Pierwszą wojnę światową spędziła w Sarajewie, po jej zakończeniu zamierzała powrócić do niepodległej Polski. Z powodu trudności z otrzymaniem odpowiedniej pracy pozostała jednak jako lekarka rządowa nowo powstałego Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, zwanego potocznie Jugosławią, czyli południowym krajem Słowian. Jej wzrok się pogarszał, pojechała do Pragi na operację, zabieg się nie powiódł. Krajewska w 1922 roku musiała przejść na emeryturę. Nie miała oszczędności, podjęła pracę w przychodni przeciwgruźliczej w Sarajewie.

Do Warszawy wróciła dopiero w 1927 roku. Była nieznana środowisku lekarskiemu. Mieszkała skromnie przy ul. Jezuickiej 6, a później Świętojańskiej. Bogusława Czajeczka, autorka szkicu historycznego o Krajewskiej, cytuje dr Bronisławę Prašek-Calczyńską, Polkę, która pracowała w Zagrzebiu: „[Krajewska] żyła biednie, z sercem rozdartym między południową a północną ojczyzną”.

Zmarła 5 września 1935 roku w Warszawie, pochowano ją obok męża na Powązkach.

PIJ WODĘ Z BUTA MĘŻA

Historia Krajewskiej ma na sobie odcisk świata, w którym ciało kobiety należało do wszystkich poza nią samą. Kobieta nie mogła pójść do lekarza, bo nie wolno jej było pokazać obcemu mężczyźnie nawet dłoni. Kobiety rodziły w pozycji kucznej, a jeśli zdarzyły się komplikacje, znachorki i „babiczki” kazały „pić wodę z prawego buta swojego męża i trzykrotnie przejść przez sito”. Ale kiedy to nie działało, a ból stawał się nieludzki, domownicy podejmowali decyzję: wzywamy pomoc. I przyjeżdżała ona.

To, że zaczęto szukać pomocy lekarki, że otwierano przed nią drzwi, pozwalano się dotknąć – było największym sukcesem Krajewskiej. Nie zmieniała świata, ale potrafiła go leczyć. W bośniackich wsiach, gdzie dostęp do medycyny był iluzoryczny, dawała nadzieję i realną pomoc. Pracowała tam, gdzie tradycja i brak zasobów tworzyły barierę nie do przejścia dla większości lekarzy.

I dlatego dziś, kiedy z Chorwacji ruszamy do Bośni i Hercegowiny, dobrze wiedzieć, że tu była. ●



weekendówka
161

07 > 007

Noc. W tle majaczą światła reflektorów kilku samochodów, które po chwili rozmazują się. Budująca napięcie muzyka i po chwili na ekranie pojawia się pomarańczowy napis „07 zgłoś się”.

Światła przysłania cień kroczącej sylwetki, słychać stukot podeszew o ziemię. Już za chwilę dowiemy się, jaką kryminalną zagadkę przyjdzie tym razem rozwiązać Sławomirowi Borewiczowi.

Źródło sukcesu serialu reżyserowanego przez Krzysztofa Szmagiera upatrywało już wielu. Jacek Szcerba wymienił ich 5: sympatyczny bohater – Bronisław Cieślak był Borewiczem idealnym, Szmagier wynalazł go w Krakowie (choć nie obyło się bez podpowiedzi!), w miejskim ośrodku TVP, gdzie ten prowadził „Bez togi” – program o autentycznych sprawach kryminalnych; dobre dialogi i klimat; dokumentalne oko kamery („serial tracił na sile, ilekroć starał się być widowiskowo »amerykański«, , np. w scenach z udziałem antyterrorystów Jerzego Dziewulskiego w »Bilecie do Frankfurtu«” – pisał Szcerba.)

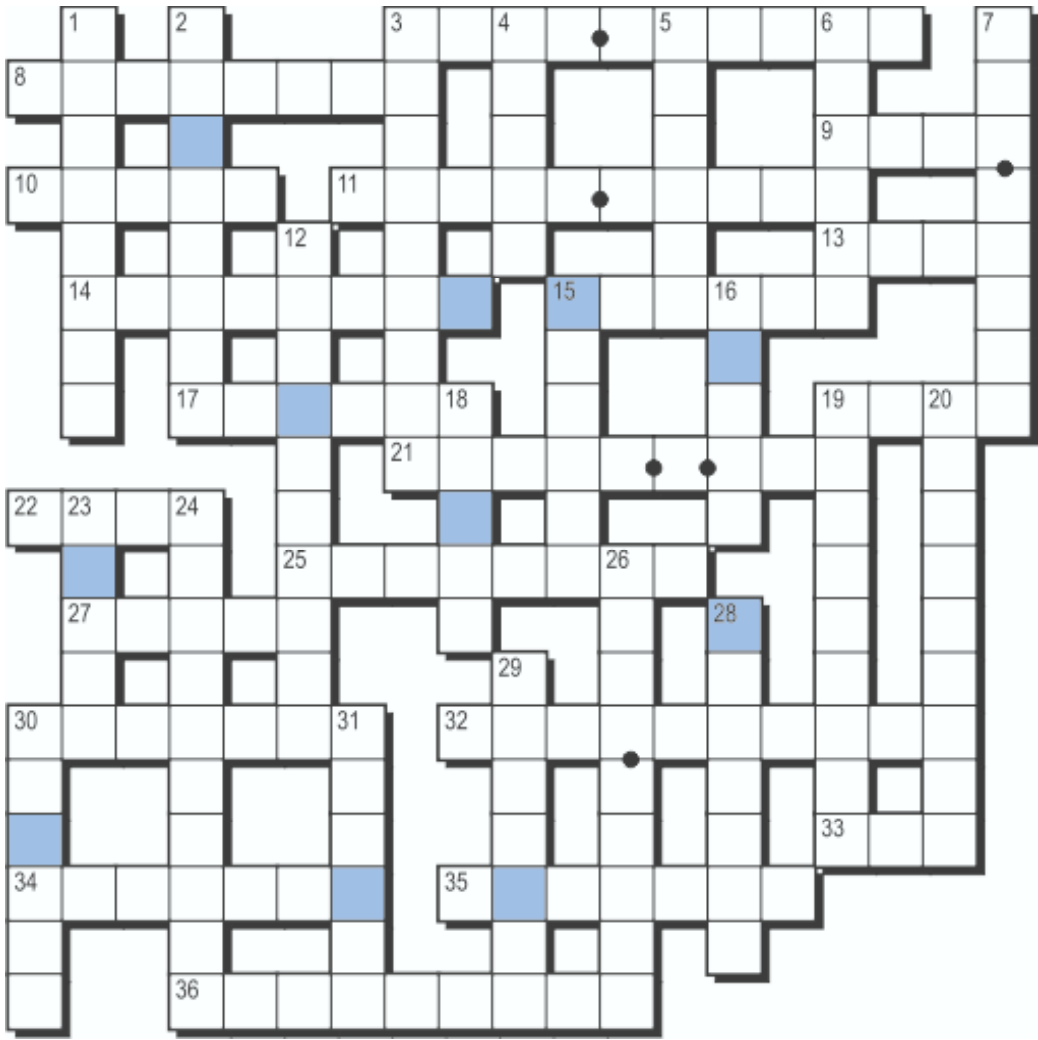
I co jeszcze? Ironia, której dowodem choćby nazwisko jednego z głównych, obok Borewicza, protagonistów serii, czyli porucznika Zubka (Z-UB-ek) oraz niesamowita muzyka, którą skomponował Włodzimierz Korcz, a zaserwował w formie wokalizy, którą słyszymy na koniec każdego odcinka Grzegorz Markowski. Swoją drogą w napisach końcowych występujący jako Ryszard...

Skąd owo „07”? Wcale nie jest to, jak z pewnością wiedzą nie tylko zagorzali fani produkcji, których jest bez liku, nawiązanie do Jamesa Bonda, agenta 007. Otóż 07 to numer wywoławczy jednostek operacyjnych MO. Pomyśl na serial zaczerpnięto zresztą z popularnej serii kryminalnej „Ewa wzywa 07”. Pierwotnie miał nosić tytuł „Przygody porucznika Bolskiego”, ale ani ten tytuł, ani to nazwisko nie przypadły do gustu Cieślakowi. Stało się na „07 zgłoś się”, a Bolski stał się Borewiczem za sprawą asystenta operatora, Bohdana Borewicza.

Tak się składa, że w sobotę, 5 lipca przypada 95. rocznica urodzin Krzysztofa Szmagiera (zmarł 17.12.2011). Dlatego przypomnieliśmy nieco sylwetkę jego serialowego dzieła, a Państwa zapraszamy do „Weekendówki” z liczbami i cyframi w tytułach: będą filmy, serie, piosenki i książki. A pozostając w temacie liczb: jedynie 22 proc. widzów ankietowanych po emisji pierwszej serii serialu uznało, że Borewicz to postać fikcyjna (Za TVP.pl).

A jeśli chcieliby Państwo „krzyżówkę z Borewicza”, to oczywiście zobaczymy, co da się zrobić!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 160 z 28.06:

Poziomo: 4) morszczuk 8) tetra
9) rekin ludojad 11) okonie
12) boleń 13) skalar 15) akary
16) ryba piła 18) brzanka
20) szczupak 22) amur 24) raja
25) karmazyn 28) śledź 29) troć
30) szkaradnica 33) różanka
34) minogi 35) kometa 36) welon
37) akwarystka.

Pionowo: 1) ikra 2) marliny
3) turboty 4) makrela 5) sola
6) złota rybka 7) belona
10) dorada 13) skarp
14) niszczuka 16) rybak
17) bystrzyk 19) karaś
21) sardynka 23) mintaje
26) neonki 27) potrawa
30) sumy 31) aloza 32) wahoo.

HASŁO: TUŃCZYKI.

LICZBOWE TYTUŁY

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3) tytuł cyklu filmów Krzysztofa Kieślowskiego
8) rola Barbary Krafftówny w serialu o czterech pancernych
9) Sanah i ... Koteluk, nagrały piosenkę „Maj 1939”
10) śpiewa „12 groszy”, „6 lat później”, „100 000 000”
11) wykonawczyni piosenki o dziewięciu milionach rowerów w Pekinie
13) „Trzy ... z deszczem” (Robert Gawliński)
14) główny bohater „Siedemnastu mgieł wiosny”
15) Bruce, zagrał w filmach „Szósty zmysł”, „12 małp”, „Jak ugryźć 10 milionów”

- 17) Trzy ..., zespół kojarzony z przebojem „10 w skali Beauforta”
19) była wokalistką Maanam („Nic dwa razy”)
21) film Felliniego, w którym zagrałi Claudia Cardinale i Marcello Mastroianni
22) kapitan MO z dawnej serii komiksów (m.in. „Pięć błękitnych goździków”)
25) góry, w które wyruszył bohater filmu „Siedem lat w Tybecie”
27) E.L. ..., na okładce „Pięćdziesięciu twarzy Greya”
30) „Dwaj ... z Weroną”, komedia Szekspira
32) Władysław, poeta, którego wiersze można znaleźć w zbiorze „Trzy salwy”
33) zespół Artura Gadowskiego, nagrał płytę „1993 rok”
34) „3.10 do Yumy” albo „Siedmiu wspaniałych”

- 35) film taki jak „Naga broń 33 1/3: Ostateczna zniewaga”
36) niemiecka grupa rockowa („Links 2 3 4”)

Pionowo:

- 1) Roman, reżyser filmu „Dziwne wrota”
2) zagrał Dolasa w komedii „Jak rozpętałem II wojnę światową”
3) nazwisko reżysera „Nienawistnej ósemki”
4) imię Wichłacz, aktorki („Miasto 44”)
5) napisał „Rok 1984”
6) „... na dwie noce”, komedia romantyczna
7) „Dumka na ...”
12) nazwisko odtwórcy roli Piłsudskiego w filmie „1920 Bitwa warszawska”
15) „Cztery ... i pogrzeb”
16) „1000 ...”, piosenka Mariki (świecą)

- 18) szwedzkie miasto, miejsce akcji powieści Henninga Mankella „Piąta kobieta”
19) Roman, zagrał Maliniaka w serialu „Czterdziestolatek. 20 lat później”
20) zespół znany z piosenek „13 cyfr”, „Raz na milion lat”, „Śmierć na pięć”
23) „101 dalmatyńczyków”
24) Siergiej Prokofiew („Miłość do trzech pomarańczy”) lub Antonio Vivaldi („Cztery pory roku”)
26) autor powieści „19 razy Katherine”
28) „... numer pięć” (Vonnegut)
29) dwie w tytule powieści Philippy Gregory
30) „Siedem ...”, powieść Eduarda Jáuregui (wpisujemy w mianownik)
31) raper, zagrał główną rolę w „8 Mili”

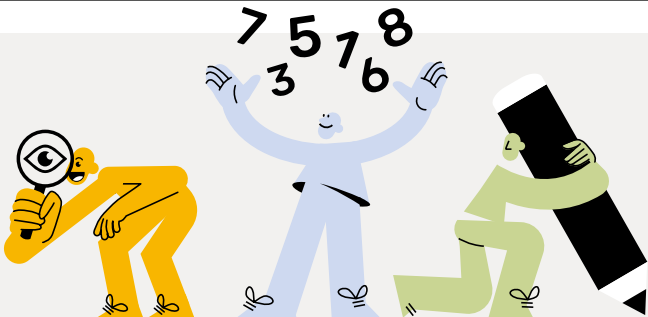
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY

APLIKACJA WYBORCZEJ Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

